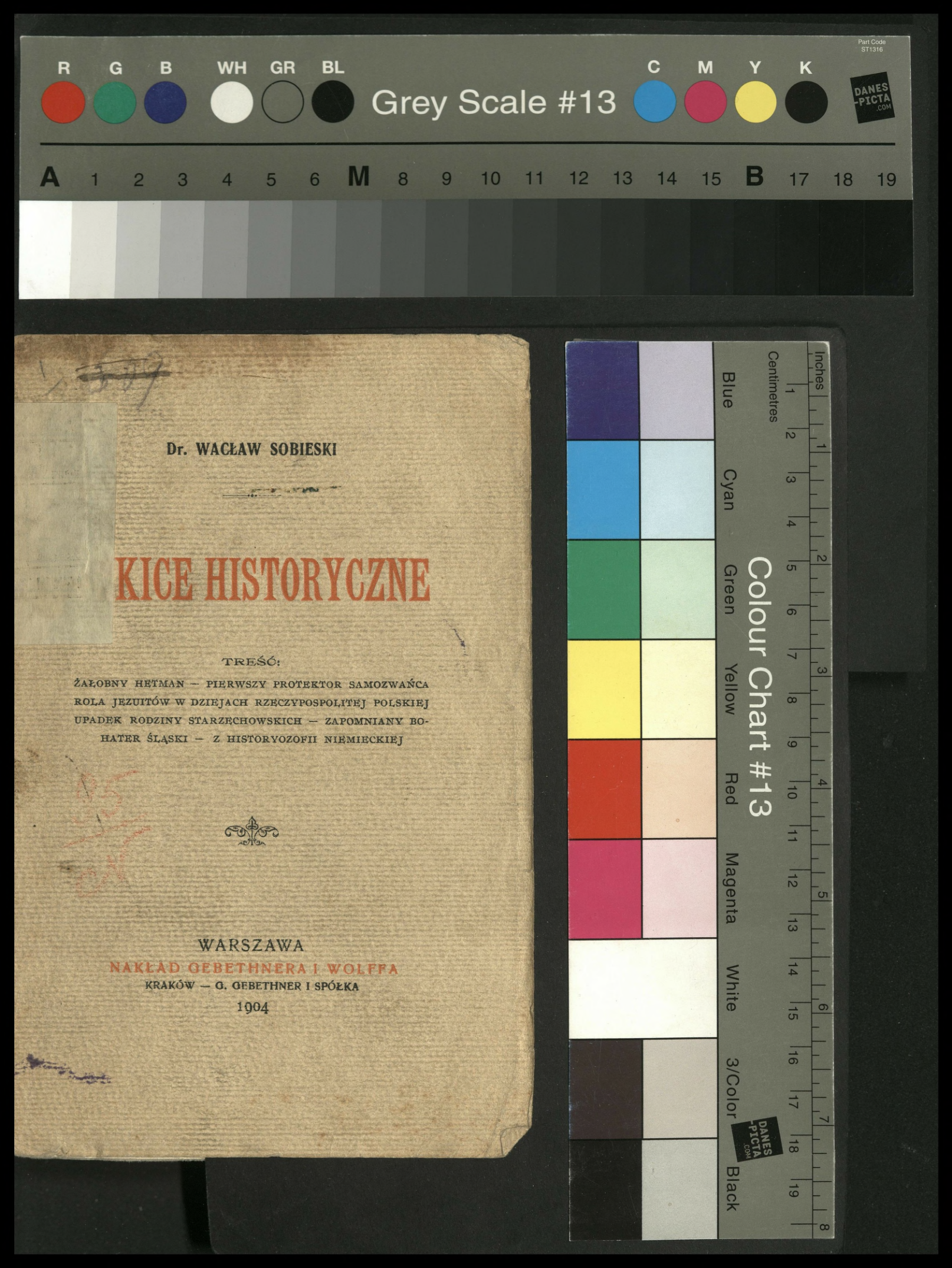


Dr. WACŁAW SOBIESKI

KICE HISTORYCZNE

TREŚĆ:

ŻAŁOBNY HETMAN — PIERWSZY PROTEKTOR SAMOZWAŃCA
ROLA JEZUITÓW W DZIEJACH RZECZYPOSPOLITEJ POLSKIEJ
UPADEK RODZINY STARZĘCHOWSKICH — ZAPOMNIANY BOHATER ŚLĄSKI — Z HISTORYOZOFII NIEMIECKIEJ

WARSZAWA
NAKŁAD GEBETHNERA I WOLFFA
KRAKÓW — G. GEBETHNER I SPÓŁKA
1904

Dr. WACŁAW SOBIESKI

KICE HISTORYCZNE

TREŚĆ:

ŻAŁOBNY HETMAN — PIERWSZY PROTEKTOR SAMOZWAŃCA
ROLA JEZUITÓW W DZIEJACH RZECZYPOSPOLITEJ POLSKIEJ
UPADEK RODZINY STARZĘCHOWSKICH — ZAPOMNIANY BOHATER ŚLĄSKI — Z HISTORYOZOFII NIEMIECKIEJ

WARSZAWA
NAKŁAD GEBETHNERA I WOLFFA
KRAKÓW — G. GEBETHNER I SPÓŁKA
1904

609 Kdt.

9856 W

W 275 W

SZKICE HISTORYCZNE

96 b
V

Dr. WACŁAW SOBIESKI

SZKICE HISTORYCZNE

TREŚĆ:

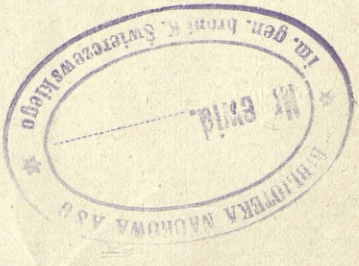
ŻAŁOBNY HETMAN — PIERWSZY PROTEKTOR SAMOZWAŃCA
ROLA JEZUITÓW W DZIEJACH RZECZYPOSPOLITEJ POLSKIEJ
UPADEK RODZINY STARZECHOWSKICH — ZAPOMNIANY BOHATER ŚLĄSKI — Z HISTORYOZOFII NIEMIECKIEJ

VIII. 6. 4. 2. 3
95 N
408 IV

WARSZAWA
NAKŁAD GEBETHNERA I WOLFFA
KRAKÓW — G. GEBETHNER I SPÓŁKA
1904

KSIĘGOZBIÓR KORPUSU KADETÓW W MODLINIE
BIBLIOTEKA NAUKOWA ASG
Nr ewid.
im. gen. broni K. Świerczewskiego

17085



KRAKÓW. — DRUK W. L. ANCZYCA I SPÓŁKI.

Stefanowi Żeromskiemu

PRZEDMOWA.

Garść skreślonych tu szkiców ma dorzucić kilka promyków światła na czasy pierwszego Wazy, — czasy, za mało zbadane, jak na dobę, w której zadzierzgnęły się węzły wielu następnych epokowych przeobrażeń: rokosz — pogrom reformacyi — unia brzeska — —

Czy na szali owoczesnych wahań dziejowych nie zaważył wpływ rozrastającej się wówczas po Polsce i coraz potężniejącej organizacyi Jezuitów? W jednym ze szkiców zagadnienie to przechodzi przez próbę ogniową, na tle postaci tak potężnych i szczytnych, a jednak tak różnych, jak ognisty apostoł wiary — Skarga, a wielki wódz i polityk — Zamoyski — —

Ten ostatni to jeden z głównych bohaterów poniższej wiązanki szkiców. W trzech szkicach zrywa się do zapasów z trzema możnymi rodami: raz, kiedy jeszcze jako młodziuchny sekretarz królewski, w imię haseł przełomowego wówczas ruchu «egzekucyi dóbr», mocuje się z potężną rodziną

Starzechowskich; drugi raz, kiedy, już piastując wielką buławę, ściera się z rodem Zborowskich, odpiera od bram Krakowa najazd rakuski i wychodzi z tych walk, jako tryumfator na polach Byczyny; trzeci raz wreszcie, kiedy pod koniec już sędziwego żywota opiera się prośbom panów kresowych, Wiśniowieckich, i zakłada protest przeciw wspomaganiu Dymitra Samozwańca — —

Pierwsze kroki tego zagadkowego «czerńca-carzyka» udało mi się oświetlić na podstawie nieznanych dotąd archiwaliów — —

Śród pracy dziejopisarskiej niepokoi nieraz i dzwoni nad uchem myśl-dręczycielka, oplątując pióro siecią natarczywych zapytań w rodzaju takich: jakiż jest cel gromadzenia tych stosów rozpraw i materyałów historycznych? czyż historya to nauka? czy nie raczej sztucznie ułożona mozajka lub nawet jakiś bezładny skład antykwarski? Odpowiedzi szukałem, badając świeże pomysły syntezy historycznej w Niemczech, i stąd urósł szkic z dziedziny historyozofii.

Warszawa 2 lutego 1904.

ŻAŁOBNY HETMAN.

I.

Pod Warszawą.

Umarł król.

Wieść żałobna wybiegła z Grodna, leciała szparko przez całą Rzeczpospolitę i wszędzie, dokąd zawitała, budziła poruszenie i niepokój. Nieopisany zgiełk i hałas wywołała na właśnie odbywających się sejmikach. «Być bez pana» nie była to wprawdzie Polakom nowina, ale nigdy dotąd «interregnum» nie zapowiadało tylu burz, tylu zatargów, może nawet krwi rozlewu, jak teraz właśnie. Wszystkie namiętności i zawiści, kiełzane silną dłonią «nie malowanego» władcy, mogły teraz buchnąć na jaw, i mimo wszystkie «kaptury» zawiązane zaraz po województwach, zamącić spokój publiczny.

W obawie przed niepewną przyszłością, jakiś żal ścisnął serca za zmarłym królem Stefanem. Wyraz powszechnemu smutkowi zaczęli dawać różni domorośli poeci, podnosząc «nieutulone płacze» i «lamenty» z wezwaniem do powszechnej żałoby:

Obleczcie zemną żałobne ubiory,
A zarzućcie dziś ustrzępione wzory,
Któreście brali na się i swe sługi
Nie przez czas długi...
A tego teraz zemną opłakajcie,
Wszyscy już teraz tańców zaniechajcie,
Zacznijcie zemną treny macierzyńskie
Pospólstwa wszystkie.
Lutnia i harfo zaniechaj swojego
Grania... [1])

Byli jednak i tacy, których śmierć królewska nietylko nie okryła żałobą, ale przeciwnie natchnęła szaloną radością i weselem: — Zborowscy.

Zdawało się, jakby ciężki kamień spadł im z piersi. Boć to umarł, ich zdaniem, «król-okrutnik», co «podgolił mieczem» Samuela Zborowskiego, skazał na infamię Krzysztofa — boć to dziś, z śmiercią tego króla, nareszcie kończy się ich prawie ośmioletnia «niewola egipska», nastaje ich wyzwolenie, ich «jubileusz» [2]).

Na dwóch poprzednich bezkrólewiach, potężny ród Zborowskich przeparł swoich kandydatów, robił co chciał, czyżby więc i teraz nie miał popróbować szczęścia, rzucić się z nadzieją zwycięstwa do walki, a przedewszystkiem do... zemsty?

---

[1]) Druk. J. Miączyński, Lament matki korony polskiej w Płocku 1586 uczyniony.

[2]) Dyaryusz elekcyi r. 1587. (Scr. rer. pol. XI) 136; Przestrożnik. (Przezdziecki, Listy Annibal. 239); Dyaryusz. 26, 37.

Nie było króla, ale został sprawca ich nieszczęść — Zamoyski — ten mąż, który jak wołali, «kość na wolności i szyje nasze naostrzył» [1]). Na nim dokonać «vendetty» zaprzysiągł sobie, od czasu śmierci Samuela cały ród Zborowskich i złączone z nimi grono przyjaciół i sług. Ten miał teraz odpowiadzieć za głowę Samuela, za infamię Krzysztofa i za wszystkie klęski rodu.

Gdy dla Zborowskich wyzwoleniem, to dla Zamoyskiego strasznym a niespodziewanym ciosem była śmierć Batorego. On był tego zmarłego króla powiernikiem i druhem, i prawą ręką. Batory wyniósł go wysoko, zrobił podkanclerzym, potem kanclerzem, potem hetmanem, potem się z nim «zbracił» dając mu swą bratankę za żonę...

Postawiony przez króla u steru nawy państwowej, i obdarzony najwyższymi godnościami, niespodzianie teraz po śmierci królewskiej, ujrzał się samotnym, niemal bezbronnym, sam jeden wystawiony na przekleństwa wszystkich swoich dawnych zazdrosnych spółzawodników. Zaczęły teraz raz wraz przylatywać do Zamościa złowróżbne wieści, że po kraju szerzą Zborowscy pisma «uszczypliwe» i «exorbitancye», przeciw kanclerzowi i zmarłemu królowi, że sprzysięgli się odebrać mu buławę hetmańską, że «Dyabeł» Stadnicki, siostrzeniec Zborowskich, już napadł na oddziały jego dwo-

[1]) Dyaryusz elek. 211.

rzan [1]). Hetman czuł, że nadciąga straszna burza, że zbliża się chwila, w której opuszczony przez wszystkich będzie musiał stawić czoło, idącej nań ławie nieprzyjaciół. W obliczu coraz rosnącej przeciw niemu niechęci, hetman wprawdzie innych uspokajał, dowodząc, że to wzburzenie jest tylko stucznie podniecane, czyli — jak mówił — «to piwo z sieczki uwarzone, prędko będzie tam, gdzie Miechowicine grzyby» [2]); ale w duszy rozumiał dobrze, że to nadchodzi walka na śmierć i życie.

Nie uląkł się. Zrozumiał doniosłość walki i podniósł rzuconą rękawicę. Nie myślał cofać się teraz i zwalać czynionych mu zarzutów na barki zmarłego króla; owszem postanowił bronić pamięci wielkiego Stefana, stanąć w szranki w imię haseł i wyroków swego pana, przyjaciela i powinowatego. Na dowód też tego, zaraz w czasie zjazdu szlachty we Lwowie, urządził tam uroczyste nabożeństwo żałobne za króla nieboszczyka i przywdział sam z całym orszakiem swoich przyjaciół i sług, strój żałobny.

Od tej chwili cała Polska rozpadła się na dwa obozy, jednych, co deptali pamięć Batorego i zwali go tyranem; drugich, co postanowili bronić jego pamięci i na znak ten odziali się w żałobę. Rzecz-

[1]) Arch. dworu i państwa w Wiedniu, Polonic. 15 I 1587.
[2]) Scr. rer. Pol. VIII, 93.

pospolita podzieliła się na dwa wrogie stronnictwa: «czarnych» i ich przeciwników.

Obie partye rozpoczęły teraz gorączkowe przygotowania do nadchodzącej elekcyi, czując, że na polach pod Warszawą rozstrzygająca zakipi walka. Niczego innego nie mógł się na elekcyi spodziewać hetman, kiedy już na przedwstępnem zebraniu konwokacyjnem stronnicy Zborowskich wprost strzelali z półhaków lub rzucali czekanami na tych [1]) którzy śmieli bronić Zamoyskiego.

Hetman zrozumiał, że chyba tylko z oddanem sobie wojskiem będzie musiał pociągnąć na elekcyę. W tej myśli zaraz też zaczął rozdawać w dożywocie swym wojakom wsie, z tym warunkiem, że «powinni będą przeciw każdemu nieprzyjacielowi i każdemu innemu (!) pod chorągwią moją na koń wsiadać» [2]).

* * *

Do Warszawy na elekcyą niebawem zaczęły napływać fale za falami, ciągnęły niezliczone rzesze senatorów i szlachty i wojsk najemnych i cudzoziemskich posłów. Zapełniło się tak miasto i wszystkie przedmieścia, że kwaterować musiano

[1]) N. p. Żółkiewskiego. Był on acerrimus cancellarianus (Dyar. 42) i Bielow. Pisma Żółkiew. 385.

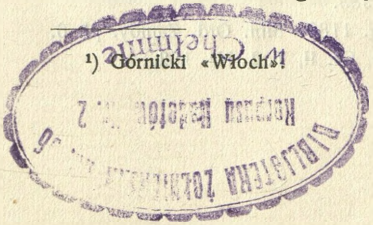
[2]) Rel. castr. bels. 195, str. 1180. Bibl. Ord. Zamoy. pl. 6. Nr. 5; Arch. jugo zapad. Ross. Cz. II, T. I, Nr. 152.

aż po dalekich wsiach okolicznych. Warszawa w czasie elekcyi przedstawiała widok niepowszedni, w Europie zgoła niewidziany.

Boć takiego ludnego, a wolnego obierania króla nie w murach ale w polu, jakie bywało u Polaków, ziemia żadna nie miała na świecie [1]). Na Woli zakwitło nagle tysiące namiotów, szałasów, taborów, formowały się całe obozy, jakby z pod ziemi wyrastało nowe miasto. Każdy magnat otaczał się osobno, każde województwo stawało oddzielnie. Przy panach rozwinęły się w różnych barwach liczne hufce zbrojne, a każdy wielmoż prześcignąć chciał drugiego przepychem zbroi i strojów swych orszaków, olśnić wspaniałością ozdobnych namiotów. Cała Rzeczpospolita, jak długa i szeroka, wysłała tu pod Wolę wszystko, co miała najznamienitszego i najświetniejszego, swój wybór i kwiat, na pokaz przed Europą i jej wysłańcami. Najznamienitsze rody, wybitna, z wszystkich województw szlachta, wszyscy biskupi i dostojnicy, i pierwszorzędnych miast przedstawiciele, wszystko ściągało do Warszawy. Nigdy Warszawa nie mogła o sobie powiedzieć szczerzej, że jest sercem całej Rzeczypolitej, jak właśnie w czasie bezkrólewia, kiedy to ważyły się w niej jej przyszłe dole i niedole.

Śród tak wielkiego rojowiska ludów i zgiełku,

[1]) Górnicki «Włoch»!



nie obeszło się oczywiście w mieście bez ciągłych bijatyk, strzelaniny i morderstw. Często mieszczanina przebudzał w nocy huk strzałów, krzyków i odgłosy gonitwy. Nietylko w nocy, ale i we dnie nieraz człek idzie sobie, albo jedzie, aliści kule z półhaków mimo ucha lecą [1]).

Błonie pod Wolą zdawało się jak wielkie jakie targowisko. Miano targować na niem o rzecz cenną, o dyadem nie małej wartości, bo o koronę polską. Na środku pola wznosiła się buda ogromnych rozmiarów, pokryta tarcicami i otoczona parkanem i rowem. Była to «szopa» senatorska. Do niej to spieszyli posłowie zagraniczni, niby kupcy ze stron dalekich, by się panom polskim pokłonić, zachwalać swoich «kompetitorów» i wyliczać zyski.

Z dalekich krain, od wielkich potentatów Wschodu i Zachodu dążyły ku tej szopie poselskie orszaki; i nuncyusze papiescy i poselstwa cesarza rzymskiego Rudolfa, i wysłańcy trzech arcyksiążąt rakuskich, Ferdynanda i Ernesta i Maksymiliana, i Macieja, i poselstwa od elektorów czeskich i z Madrytu od władcy państw na obu półkulach ziemi

[1]) Ł. Górnicki, Włoch; w czasie konwokacyi «in dieser grosser Licenz, da das Würgen u. Todtschlagen so gar gemein ist, dass vom 2. Februarii bis den 26 eiusdem 187 Personen... allhier umkommen«. (Arch. Wiedeń. 28 i 29 II 87). Aby przeciw temu działać, marszałek Opaliński kazał stracić 350 ludzi. (Dyar. 63).

rozsiadłych i z Moskwy dalekiej i od króla szwedzkiego.

Wreszcie i od władcy Islamu z Carogrodu biegł tu czaus turecki. Przypędził nawet wysłaniec od chana tatarskiego z listami, w których ośmielał się polecać siebie na tron. W listach tych, które wywołały homeryczny śmiech w senacie wskazywał władca Krymu, że przez jego wybór skarb Rzeczypospolitej zaoszczędzi wydatków na wojsko, bo stanowić je będą sami Tatarzy, którzy przecież skromne mają potrzeby, bo sami sobie sporządzają łuki i strzały, a żywią się tylko mięsem końskiem. W razie wyboru obiecuje zmienić wiarę, tak, aby był «twój papież, mój papież» [1]).

Od Krymu, aż po daleki Madryt, wszystkie potęgi w Europie: Rzym, Islam i protestantyzm, wytężyły z niepokojem wzrok ku tej szopie senatorskiej, w której rozgrywały się wypadki dziejowego znaczenia. Szala układu politycznego państw europejskich zależała od tego, na którą stronę przechyli się to rojowisko szlachty rozprawiającej pod gołem niebem pod Warszawą, i kogo posadzi na tronie jednego z najobszerniejszych mocarstw Europy. A na los tego wyboru wpływał głos choćby najuboższego szlachcica, choćby chodaczkowego.

Tej najuboższej mazowieckiej szlachty szaraczkowej przybyła na obecną elekcyę z najbliższych

[1] Arch. dworu i państwa w Wiedniu. Polonic (1 VIII 1587).

okolic Warszawy spora gromadka bo 2.000. Wprawdzie bogata szlachta śmiała się z ich nędzy: szydząc przypominała jak to ci Mazurowie w czasie pierwszej elekcyi Henryka Andegaweńskiego, zwali tegoż panem «Gaweńskim» a arcyksięcia Ernesta, panem «Rdestem» lub «Agrestem» wytykała im, że mało nie wszyscy są o kijach, że niektórzy z nich mają szyszaki z łubu świerkowego, a gęsie pióra na wierzchu dla swojej ważności. Ci jednak nie zważając na te drwiny obstąpili okop senatorski i wołali głośno, że nie chcą mieć królem tylko Moskwicina, a co rychlej oń prosili. A gdy wśród nich niejaki Podoski, starosta nurski, zachwalał Niemca, a samej mazowieckiej szlachcie przymawiał i radził im raczej orać jak króla wybierać, wołając na głos: «Przystojniej wam grabarka patrzy z oczu, niźli elekcya» — stał się huk, zaburzyła się krew w Mazurze, owóż mało mu jeden nie dał stołkiem, drugi siekierką, prawie dobrze oszczepami go przykryli i zaledwie go panowie niektórzy wywiedli, że na miejscu nie ostał [1]).

Ile tam śród tego kotłującego mrowiska ludzkiego było swarów, kłótni, ubiegań się, targów, przekupstwa, walk, trudno wyliczać. Nad wszystkiemi sprawami górował jednak antagonizm Zborowskich z Zamoyskim. Uderzał on w oczy choćby w strojach szlachty zgromadzonej, z których jedna

[1]) Dyaryusz elek.

nosiła żałobę, druga, jakby naumyślnie bawiła oko jaskrawym kolorem odzieży.

Najgęstszą żałobą pokrył się obóz samego hetmana, rozłożony blizko Powązek na tle pobliskiego lasu.

Dla zabezpieczenia się przed atakiem, hetman kazał go otoczyć wałem i rowem. Smutna żałoba wyzierała z każdego kąta tego obozu. Patrzyła ona i z namiotów kirem odzianych, osiadła na snujących się śród nich czarnoubranych służebnikach Zamoyskiego, tchnęła z marsowych twarzy starych weteranów, nie licznych, ale osiwiałych w krwawych potrzebach zmarłego króla-bohatera, którzy teraz przystali do Zamoyskiego i jakby w ogniu jakiej wojny zaciekłej, nie puszczali na chwilę, nawet w nocy oręża z dłoni.

Śród tego jednolicie czarnego obozu, oko widza dostrzegało z zdumieniem wyjątek: Oto jeden oddział nie przywdział żałoby. Zwracał tem na siebie powszechną uwagę, a w hetmanie budził ku sobie nieufność. Była to piechota z 200 ludzi złożona, którą za pieniądze hetmańskie zebrał Jordan Spytek, starosta sandecki. Nie wiedzieć dlaczego, kiedy mu hetman jeszcze przed elekcyą «posłał sukien czarnych luńskich [1]) na przyodzianie ludzi,

[1]) To jest właściwie «londyńskich». Lundysz, gatunek sukna. Pozew Jordana z 2 III 1589 Bibl. hr. Tarnowskich w Dzikowie, p. 2 Nr. 22. Jordan otrzymał od hetmana 7,000 zł.

on mając już (podobno z góry) umysł ku odmianie skłonny, zaniechawszy tych sukien czarnych, nabrał w Krakowie błękitnych», za które nawiasem mówiąc i tak hetman musiał zapłacić.

Jak przyszłość okazała, różnica «barwy», istotnie była objawem i różnego usposobienia Jordana. Był on krewniakiem Zborowskich i w nocy wychodził z obozu na «kryjome schadzki», aby czynić z nimi praktyki, i w końcu istotnie zdradził hetmana, przechodząc w chwili stanowczej z swym «błękitnym» oddziałem na stronę przeciwną, i odsłaniając tem nagle część obozu hetmańskiego.

W głębi swego zresztą jednostajnie czarnego obozu, śród ciągłych trosk i niepokojów sumował hetman żałobny.

Choć żałoba po stracie króla zmarszczyła mu czoło, wierzył on jeszcze w swoją gwiazdę przewodnią i bacznie wsłuchiwał się w pogwar huczącego na błoniach elekcyjnych morza ludu szlacheckiego, aby odgadnąć, ku któremu z kandydatów najżyczliwiej biją serca braci szlachty i kogo zechcą mieć za swego pana. A może powiodą na Wawel Piasta? może synowca Batorego, kardynała Andrzeja [1]), a kto wie, może i jego samego?...

---

i zobowiązał się za to służyć mu 3 miesiące. (Dyar. Reszki Ms. Bibl. Akad. Krak. pod 27 IX 1587).

[1]) Wielu pisało do kard. Batorego do Rzymu, aby przybywał zaraz do Polski: regni spem offerebant; venit epistola D. Cancellarii Regni Zamoysky, ut veniat. (Dyar. Reszki), por. też

Iskry gniewu sypały się z ócz Zborowszczyków, na widok tego żałobnego namiotu hetmańskiego, tej, jak mówili: «czarnej, zdradliwej stodoły», w której siedział hetman, ten «smok jadowity» [1]). Nie posiadali się z gniewu, że hetman obóz postawił nazbyt blizko szopy senatorskiej, w zapamiętałości strzelali wprost do szlachciców, odzianych w szaty żałobne, jak np. do Garwaskiego [2]).

Nienawiść dwóch stronnictw była tak żywiołową, że szlachta bojąc się, «by sobie po łbie nie dali» [3]) i pragnąc choćby trochę spokojniej obradować, musiała rozpaść się na dwa koła. Jedno stanowili Zborowsczycy, drugie stronnicy Zamoyskiego. To drugie dla żałoby nazwano «kołem czarnem».

Koło Zborowskich było więcej atakującem, koło czarne więcej biernem, i początkowo mniej licznem. Kiedy śród czarnych panował ton więcej obronny, więcej ostrożny, śród Zborowskich «potrząsano porożem» i raz wraz rozlegały się przeciągłe gwizdania, «huk i aklamacye» szczękania bronią i różne despekty, urągania, któremi witano

1. c. pod 1 X 1587 o kandydatach na tron «vel cancellarius vel. cardin. Battoreus».

[1]) Paprocki, Pamięć nierządu. Por. Dyar. elek., 147: aby ten smok jadem swoim nas nie zaraził, «opressor libertatis nostrae».

[2]) Dyar. elek. 97 i 107.

[3]) 1. c. 59.

poselstwa przeciwnej partyi lub przygłuszano głosy im niemiłe.

* * *

W kole Zborowszczyków zwracała na siebie uwagę wszystkich niezwykła postać. Był to starzec niewidomy, wiedziony przez pacholę. Gdy stanął w kole i oparłszy się o swój kostur, jął przemawiać do braci szlachty, padały z jego ust słowa wymowne i porywające, ale zarazem pełne zgryźliwości i jakiejś utajonej pasyi, jak gdyby dyktowane zawziętą nienawiścią do świata, jakąś zemstą za życie złamane, wykolejone... Ten stary szlachcic, którego szlachta dla jego ślepoty przezywała Żyszką [1]), zwał się Stanisław Sędziwój Czarnkowski. Dzisiaj był on niczem innem, tylko najzapamiętalszym agitatorem dworu austryackiego.

Swego czasu zaczął swą karyerę polityczną świetnie, wszak on to marszałkował sejmowi unii lubelskiej, zadziwiając wszystkich swą oratorską swadą, wszak marzył nawet o... prymasostwie! Dziś pełnił szpiegowską misyę na rzecz Rakuzów, stojąc na żołdzie tegoż dworu. Batory który osiągnął koronę polską na przekór Habsburgom, dostrzegł w nim najzaciętszego swego wroga i karząc go za to, że go nie chciał w ża-

[1]) Ms. Bibl. Ossolin. 186. Por. Mosbach, Wiadomości 211. T. Wierzbowski, Jakób Uchański, 626.

den sposób uznać królem, złożył go z urzędu referendarza i odebrał mu starostwo płockie.

W ten sposób zniweczył za jednym zamachem wszystkie marzenia Czarnkowskiego o infule biskupiej, którą mu już istotnie nadał Henryk Walezy.

Odtąd «obłupiony jak węgorz» [1]) całą duszą znienawidził Batorego, a nienawiść tę przelał oczywiście teraz na jedynego przedstawiciela rządów Batorego, — na Zamoyskiego, który właśnie miał być głównym sprawcą niepotwierdzenia go na koadiutoryi gnieźnieńskiej.

Aby obecnie w czasie elekcyi rozbić partyę hetmana i to jego zaklęte «czarne koło», tem silniej jeszcze musiał się związać z dworem habsburskim. To też jeszcze dobitniej niż dawniej rozwodził się przed posłami cesarza Rudolfa, że go uważa za głowę całego świata i na dowód tego w ich obliczu całował ten «jurgieltnik« austryacki listy cesarza, kładąc je sobie z wielkiem uszanowaniem na głowę.

Mimo swej ciemnoty, starzec ten trzymał w swych rękach wodze całej agitacyi rakuskiej w kraju i słał na wszystkie strony listy agitacyjne i raporty do dworu cesarskiego pisane niewprawną ręką swego pachołęcia [2]). Zaraz po śmierci Bato-

[1]) Dyar. elek. 61—2.

[2]) «Pueri scribentis imperitiam et meam caecitatem» Arch. tajne dworu i państwa cesar. w Wiedniu. Polonica. Czarnkow. do Hassa 20 I 1587. Por. Polon. 20 I 1587 i 25 IV 1587.

rego rozpoczął akcyę w Poznaniu. Wówczas to późnym wieczorem, albo równo z brzaskiem wkradali się chyłkiem do niego przez przedmieścia poznańskie agenci austryaccy. On to sprawił, że Zborowscy jeszcze za rządów Batorego związali się ściśle z dworem cesarskim, on to obecnie na wieść o śmierci królewskiej, razem z nimi pojechał do Kórnika, do Górki, wojewody poznańskiego i tam na tajnej naradzie utwierdził tego magnata wielkopolskiego w jego związkach z Rakuzami, podsycając gniew jego na Zamoyskiego, o starostwo jaworowskie.

W ten sposób zorganizowane kółko przybyło już z gotowym z góry planem na elekcyę, aby przeprzeć Habsburga i zgnieść hetmana.

Na elekcyi rozpoczął Czarnkowski gorączkową agitacyę. Sam zachłanny na pieniądze rakuskie, nie chwalił zupełnie hojności posłów austryackich, którzy przekupywali szlachtę, siejąc w prawo i lewo talary Rudolfowe. Wolał je sam brać i przestrzegał, że wielu ze szlachty nabrawszy się tych pieniążków Rudolfowych, potem, gdy przyjdzie do samych wyborów, w kułak się będzie śmiało z Austryaków [1]). Czarnkowski lepszego używał środka na szlachtę. On agitował w imię wolności i z coraz to większą emfazą rzucał pioruny na tyranię Batorego i Zamoyskiego, aby w końcu podburzyć

[1]) Arch. w Wiedniu, Pol. 9 IX 1587.

przeciw Zamoyskiemu masy szlacheckie i urządzić nań coś w rodzaju «ostracyzmu» [1]). W tym celu podniósł wraz z innymi zapalonymi teoretykami złotej wolności szlacheckiej, bodaj pierwszy, wyraźne hasło «rokoszu», jako rodzaju sądu powszechnego na tych senatorów, którzy nieboszczyka króla wiedli ku deptaniu wolności szlacheckich, jaśniej mówiąc, byli winni kar wymierzonych na Zborowskich.

* * *

W owym dniu oznaczonym na rokosz i zagładę hetmana, zaczęły się rano jak zwykle nibyto zwykłe, spokojne narady. W tem ujrzano na polu elekcyjnem błysk broni. Wojska Zborowskich wystąpiły z swoich okopów i ruszały na Zamoyskiego, który podobnież rozumiejąc znaczenie rokoszu i z góry powiadomiony o zamiarach Zborowskich, sunął przeciw nim z swoimi hufcami, sprawionymi w szyk bojowy. Rokosz zmieniał się w oka mgnieniu w otwartą bitwę. Na krzyk ogólny rzucili się wszyscy obradujący na koń i każdy wiódł swe szyki, stawiając je przy przyjaznej so-

[1]) Solikowski. Po kilku dniach usprawiedliwiał się Czarnkowski, że nie on pierwszy wymyślił to słowo «rokosz», bo «parlamentum, colloquium, congregationem, coitionem — «rakusz» apellant *Ungari*, apud quos etiam aliquandiu sum commoratus», por. «Rakusz» Arch. dworu i pań. w Wiedniu, Polonica (28 VII) VIII 1587.

bie partyi. W zamieszaniu padł strzał. Jeden ksiądz padł trupem. Dwa stronnictwa gotowe do boju stanęły o cztery stajania naprzeciw siebie. Patrzyły na siebie oko w oko. Przed żałobne zastępy Zamoyskiego wysunęło się 8 wielkich dział i zwróciło groźne paszcze swych wylotów ku 12 wielkim i 12 polowym armatom Zborowskich.

Skwar lipcowy burzył krew zapaśników i nęcił ku harcom, wiatr gorący wiał w oczy wojakom Zamoyskiego. Walka zdawała się tak nieuchronną, że w samej Warszawie pozamykano już bramy, a na murach straż rozstawiono z obawy, aby strona zwycięzka w rozmachu nie zabrała się do łupiestw w samem mieście; na wieżę katedry św. Jana nuncyusz papieski, choć kulawy, wdrapał się, aby wzrok nasycić niezwykłem widowiskiem i z bijącem sercem wyczekiwać, czy nie zwyciężą zwolennicy Habsburgów, których z całych sił popierał.

Miał nastać bój, w którym na polach pod Warszawą nawzajem mordować się miały mnogie zastępy najcelniejszych ludzi w Polsce, właśnie «kwiat Rzeczypospolitej» [1]).

Na szczęście skoczyło między szeregi kilku senatorów, aby zgodę zapośredniczyć. Zebrali się zaraz, aby się nad tem naradzić i układać

[1]) Piasecki. Listy Annib. z Kapui. 68. Uniwersał z 19 VIII 87. Castr. bels. 183, 536.

BIBLJOTEKA KORPUSU KADETÓW Nr. 2 w MODLINIE

z wysłańcami jednej i drugiej strony. Zaczął podawać środki wojewoda krakowski Tęczyński, ale gdy zobaczył, że prymas Karnkowski, jakoś nie zbyt zważając na jego oracyę szepcze coś do ucha wojewodzie sandomierskiemu, Szafrańcowi, obruszył się i krzyknie: «Nie chce mnie słuchać, więc odejdę pewnie stąd, godny jest chyba Tęczyński, którego niech ten ksiądz słucha». Nie w wodzie kąpany prymas, znowu na to: «Żaden z Karnkowskich dotąd nie był poświęcony (sacrificatus), ani u Tęczyńskiego mszy nie odprawiał». I tak chcąc innych rozjąć, sami między sobą się powadzili [1]).

Rozbiła się nararada pośredników, ale wzięło jeszcze na swe barki sprawę pojednania dwóch senatorów: biskup kamieniecki Goślicki i Szafraniec, wojewoda sandomierski. Oni to pospieszyli sami do burzliwego obozu Zborowskich, a gdy i tu nic nie zyskali, popędzili z przedstawieniami do samego Zamoyskiego.

Hetman nie znał «komedyi». Wystąpić z obozu na pole w szyku bojowym, to znaczyło bić już nie na żarty i «iść w bród».

Mówił potem, że gdyby tak na Tatarów lub innych nieprzyjaciół wyciągnął sprawnie z obozu, a nie rzucił się do bitwy, toby chyba kazał rózgami siebie przepędzić nazad do obozu; on bitwy

[1]) «Rakusz» Arch. dworu i pań. w Wiedniu.

się nie bał, był gotów do niej, ale ustąpił dla dobra ojczyzny i Rzeczypospolitej, boć widział przed sobą chrześcijańską krew ziomków swoich [1]). Pierwszy też kazał jednej chorągwi ustąpić z pola, byle przeciwnicy również jeden oddział zwrócili.

Zaczem po całodziennem od rana staniu na skwarze słonecznym zaczęły teraz w krwawych blaskach zachodzącego słońca wracać do obozu pojedyncze oddziały, śród trąb grania i bębnów warczenia.

Na ustach wielu wracających słychać było nazwiska tych dwóch senatorów, którzy rozwiedli zapaśników. Obaj oni, i Goślicki i Szafraniec należeli do biegunowo sobie przeciwnych, zwalczających siebie zaciekle w całej ówczesnej Europie światów, jeden był biskupem, drugi «aryaninem» [2]) a jednak jedna chwila ogólnego niebezpieczeństwa obudziła w ich duszach jedno i to samo uczucie i związała ich ręce do spólnego czynu. Co prawda obie te postacie należały bodaj czy nie do najszlachetniejszych typów swej epoki i już nieraz umiały zaświadczyć czynem i poświęceniem swe wielkie uczucia. Ten sam biskup jedyny z całego duchowieństwa polskiego odważył się podpisać

[1]) Arch. dworu i państw. w Wiedniu, Polonic. (1 VIII 1587).

[2]) Dowodem «Respons Marc. Czechowicza na skrypt St. Farnowskiego» (1581). Notatkę tę zawdzięczam prof. H. M. z Petersburga. Zresztą o Szafrańcu zob. pr. W. Zakrzewskiego: Dyaryusz zjazdu w Radomiu, Krak. 1903, str. 8.

właśnie w czasie obecnego bezkrólewia, artykuł o tolerancyi wyznaniowej, a podpisał go dla dobra kraju z całą świadomością, że krok ten ściągnie nań srogi gniew i niełaskę Rzymu i sarkanie innych polskich biskupów.

Drugi senator Szafraniec szedł pod podobnem hasłem dobra publicznego. Śród obecnej zapamiętałej zawiści stronnictw umyślił nawet stworzyć stronnictwo «neutralistów» i bodaj to on wystawił na polu elekcyjnem ową chorągiew z napisem: «Bonum publicum» [1]) co prawda bez wielkiego rezultatu, pod koniec bowiem elekcyi, stronnictwo jego zupełnie zanikło, a Szafraniec entuzyasta z goryczą w sercu wyjechał przed czasem precz z pola elekcyi do domu, złożywszy przedtem, ku zdumieniu wszystkich ubiegających się o wysokie dostojeństwa, — godność wojewody sandomierskiego. Marzyciel piękny, choć może trochę pozujący, nie stworzył swego stronnictwa, nie dał podstaw do fortuny rodu Szafrańców, który wnet wygasł, nie zostawiając śladu w dziejach, — nie umocnił nawet swej sekty aryańskiej, która gardząc wszelkiemi dostojeństwami, walką o byt i krwi rozlewem, kazała mu być apostołem pokoju. Długo jednak jeszcze szlachta małopolska, śród której żył odtąd, piastując pokojowy urząd wojskiego krakowskiego, wspominała o zasłudze tego staruszka, spełnionej

[1]) Heidenstein. Rerum polon.

BIBLIOTEKA NAUKOWA AS
Nr ewid.
Im. gen. hrabi K. Świerczewskiego

w chwili krytycznej na polach elekcyjnych pod Warszawą [1]).

Skończył jak weredyk wierny swemu hasłu, które powtarzał na elekcyi patetycznie: «Nie dobrze, gdy się co widzi i baczy zamilczać» [2]).

* * *

Stronników idealisty Szafrańca zagarnął teraz ku sobie inny wódz, który pojmował świat takim jakim jest, więcej milczał, niż rzucał górnymi hasłami i coraz rósł i olbrzymiał — Zamoyski. Rokosz był pierwszem jego niemem zwycięstwem. W nim hetman pozwolił Zborowskim wybuchnąć całym szałem gniewu i skompromitować się...

Od czasu bowiem tego rokoszu, cały senat przeraził się rokoszańskich zapędów Zborowszczyków i z obawy, że «pany chcą pobić», przeszedł na stronę hetmana. Coraz to bardziej i bardziej rosło koło czarne, bo i niższa szlachta zaczęła dorozumiewać się «praktyki» Zborowskich z Habsburgami. Dla mas zaś szlacheckich nie było kandydata mniej sympatycznego nad Austryaka. Austryak ściągnąłby, jej zdaniem, nawałę całej tureckiej potęgi na Polskę, Austryak zaprowadziłby «absolutum dominium», Austryak przedewszystkiem,

[1]) Dyar. Reszki, 17 VIII 1587.
[2]) Dyar. elekcyi. 230.

to Niemiec, a szlachta raczej zgodziłaby się na kogokolwiek byle tylko nie był «w kusej sukience» [1]). Już na poprzednich bezkrólewiach stanowczo oświadczyła: «Aż do gardł naszych Niemca nie chcemy».

Zamoyski tymczasem zręczny polityk, z początku rozgłaszał, że chce wynieść na tron polski «Piasta», czem jednał sobie [2]) panów polskich (Tęczyński), którym uśmiechała się nadzieja polskiej korony. Choć w duszy nieubłagany wróg Habsburgów, nie zdradzał się odrazu z tą niechęcią ku Rakuzom, owszem, przyjmował grzecznie listy arcyksiążęce, które Żydzi tajemnie donosili jemu (i jego przyjacielowi politycznemu, Opalińskiemu). Co więcej, aby rozerwać obóz Zborowskich, którzy postanowili zgodnie głosować za arcyksięciem Maksymilianem, zaczął nawet udawać, że kto wie czy nie zgodziłby się na drugiego arcyksięcia Ernesta. Tym manewrem wywołał dosyć żwawe

---

[1]) Dyaryusz 166, por. też 111. Nomen to «Niemiec» jest u wszystkich exosum (150). Zdawna przodkowie nasi zakazowali nam pana z Niemiec obierać i, byśmy go stamtąd mieli wziąć teraz, wyszłoby na to, że ojciec przeciw synowi podniósłby miecz, a brat przeciw bratu kopią złożyłby, skądby żałość wielka była (151).

[2]) Jednano sobie też obietnicą wakansów, Dyaryusz 157, 207, 217, 133. Roztrząsał z nim marszał. Opaliński kandydatury w «Judicium de candidatis» (Bibl. pub. Petersb. F. IV 21. str. 240).

współzawodnictwo śród samych arcyksiążąt, ku zgorszeniu znowu szlachty, która na widok rywalizacyi arcyksiążąt, zaczęła sarkać, mówiąc: «Azaż do nas jakie prawa mają? Czemu się o nas wadzą...» [1]). Zamoyski długo jeszcze łudził partyę austryacką, aż dopiero pod sam koniec elekcyi, przy samem głosowaniu, odrazu zrzucił przyłbicę.

* * *

Zbierało się głosowanie, które rozstrzygnąć miało o losie tylu ścierających się tu z sobą dążności politycznych Europy, tylu krzyżujących się tu z sobą interesów, tak rozległego, a tak różnorodnego państwa, głosowanie, w którem miała się przedewszystkiem przesilić walka «czarnych» z Zborowskimi.

Nic dziwnego, że chwila zagajenia, przybierała charakter chwili istotnie poważnej, pełnej uroczystego namaszczenia i oczekiwania...

«Panowie rady i rycerstwo, przyklęknąwszy «Veni Creator» z płaczem serdecznym śpiewali, co widząc słudzy i inne pospólstwo i ci, którzy około koni jeździli, zeskoczywszy z koni, społu z nimi klęczeli. Takie było wzruszenie nabożeństwa i skruchy w ludziach, iż żaden nie był, któryby się nie

[1]) Arch. Wiedeń.

miał łzami oblać, Pana Boga o ratunek i błogosławieństwo prosząc. A potem już przystąpili do elekcyi, jakby do sakramentu. Była chwila milczenia z wzdychaniem ku Panu Bogu z wielką uczciwością i pokorą»[1]).

Padające następnie głosy ukazały, że tłumy szlacheckie śród licznych kandydatów, podobają sobie[2]) szczególnie w Zygmuncie, królewiczu szwedzkim. Chwalili go sobie, że był synem Jagiellonki, że wychowanie wziął z młodości swej nasze, polskie i język polski umiał i polską nawigacyę morską na Bałtyku by poparł.

«Ponderować vota» i rozstrzygać wśród wahających się głosów, powinien był prymas, ale byłto charakter tak niestały i chwiejny, że pewnie długo musiałaby jeszcze szlachta czekać na jego decyzyę, gdyby nie wpłynęła na niego wdowa po Batorym, Anna Jagiellonka. Była to bodaj jedyna osoba w Polsce, która od początku myślała tylko o jednym kandydacie i nie szczędząc trudów, kosztów i obietnic, z całą konsekwencyą i energią od zarania elekcyi pracowała na rzecz tylko... swego ukochanego siostrzeńca Zygmunta.

Już oddawna królowa «Jej Mość Stefanowa» układała się w tej mierze z Zamoyskim, i ona też

---

[1]) Dyaryusz.

[2]) «Wszystek gmin ludzi szlacheckich, to w uściech swoich mieli». Dyar. elek. 111—2, «in ore omnium» 143, 143, 102.

w końcu zjednała dla tej myśli zupełnie prymasa, tak, że w końcu odważył się zerwać z partyą austryacką i publicznie oświadczyć: «z Niemcem nie pojadę do domu, bo widzę, że to jest przeciwko braci» (woli szlachty). Jakoż dnia 19 sierpnia, przed świtem jeszcze, przyszedł do namiotów Zamoyskiego, aby ostatecznie porozumieć się co do nominacyi, i zaraz tegoż samego dnia pod osłoną hufców Zamoyskiego — nie bez trwogi przed zamachem ze strony Zborowskich — mianować królem Zygmunta. Z tysiąca piersi zgromadzonej szlachty w odpowiedzi na tę nominacyę wyrwał się gromki okrzyk «Amen».

Zborowscy nie dali za wygraną. W kilka dni potem, na tem samem polu elekcyjnem rozległy się powtórnie donośne krzyki: «Vivat! Vivat!» i strzelanina z strzelb i dział. To Zborowscy, choć w mniejszości, na przekór «czarnemu kołu», wybrali swojego króla, arcyks. Maksymiliana i cieszyli się teraz, że ten potrafi być «srog» [1]) na Zamoyskiego.

Ale nawet i w kole Zborowszczyków wybór ten nie odbył się bez żywych protestów. Część bowiem szlachty i Litwa, którą łudzili Zborowscy obietnicą obioru cara moskiewskiego, zaczęła teraz okazywać niezadowolenie i wołać na głos: «Dajecie nam pana gwałtem na *szyje* nasze».

[1]) Dyar. elek. 151 i passim.

Prędko jednak przygłuszył te okrzyki Andrzej Zborowski, marszałek nadworny, wołając do nich bez ceremonii: «Pójdziecie precz tam szyjowie z koła do dyabła!» [1].

II.

W obronie korony.

Wybrano dwóch królów. Chodziło teraz o to, które stronnictwo zdoła swego elekta szybciej wprowadzić na Wawel i ukoronować.

Główną troską hetmana było teraz zabezpieczyć sobie Kraków, który leżał tak blizko granic austryackich. Zaraz tedy po elekcyi popędził hetman do Krakowa. Po drodze wpadł ze świtem «z trąby, z bębny» na cały tabór Zborowskich i ich przyjaciół, pogrążonych w głębokim śnie po nocnej hulance. Nie skorzystał z sposobności pomszczenia się na swoich wrogach, kazał tylko dla przestrogi wychłostać nieczujną straż Zborowskich i pomknął do Krakowa [2].

O Kraków Zamoyski był niespokojny, bo «trzę-

[1] Dyar. elek. 154.

[2] Powiadali niektórzy, że przy tem spotkaniu jeden z rotmistrzów Zamojskiego «na despekt chłopcu kazał do sadu, mało nie w gospodzie samych panów Zborowskich, wiszni rwać i czekał w tej wsi, aż mu ich narwano». Arch. Sapiehów I, 21.

sły się» po kraju głuche wieści, jakoby mieszczanie krakowscy sprzyjać mieli Niemcom i skoro tylko Rakuszanin zjedzie, zaraz mu bramy otworzą [1]).

Wieści tem więcej były niepokojące, że śród mieszczaństwa naszego utrzymały się wówczas jeszcze znaczne oazy niemieckiego osiedlenia. Na tem też tle uwypukla się cała groza kandydatury austryackiej dla swojskich elementów miejskich. Habsburg mógł odświeżyć i podsycić owe ogniska niemiecczyzny, mógł je wzmocnić napływem z Austryi i powstrzymać proces przyswajania żywiołów napływowych, może nawet pchnąć Polskę na tory takiej germanizacyi, jakiej widownią stały się pod berłem Habsburgów — Czechy.

Nie trzeba zapominać, jaką rolę śród miast naszych odgrywały miasta pruskie z Gdańskiem na czele, który ledwo pod naciskiem wojsk Batorego odstąpił od kandydatury austryackiej. W razie wyboru cesarzewicza austryackiego miasta pruskie prymby trzymały w roli germanizacyjnej reszty kraju. Wszystko to podnosi powagę chwili dziejowej i wyjaśnia znaczenie walki stronnictw. Słychać tu jakby spóźnione echo owych przebrzmiałych walk od samego zarania dziejów prowadzonych o stosunek nasz do nacyi niemieckiej, a zarazem do reprezentującego ją cesarstwa.

Nie bez powodu mówili spółcześni, że wojna

[1]) Dyar. elek. 157.

ta to wojna dwóch rektorów, to jest Zamoyskiego, który osiągnął za czasów swych studyów w Padwie godność rektora tegoż włoskiego uniwersytetu i to po zapamiętałej walce z przeciwną temu partyą studentów niemieckich, a Górką, wojewodą poznańskim, który piastował urząd rektora w... Wirtemberdze. Nie bez kozery stronnicy Zamoyskiego, natrząsając się, ukazywali stronnikom Górki i Zborowskich, że najprzystojniejszem miejscem dla ich elekcyi byłoby «psie pole»; z oburzeniem szlachta krakowska podnosiła, że Maksymilian nosi wrogi Polsce urząd mistrza krzyżackiego [1]).

Co prawda sam Maksymilian przekraczając granice Polski, uważał to za dobrą wróżbę, że przekroczył ją w sobotę, bo w ten właśnie dzień uzyskał ową naczelną godność w zakonie niemieckim [2]).

* * *

Oprócz tej jednak przepowiedni trochę kalendarzowej, nic dobrego nie wróżył dalszy ciąg pochodu Maksymiliana w głąb kraju. Gdzieniegdzie

[1]) Dyaryusz elek. 48 i Arch. w Wiedniu, 21 V 1587. Marg. branderb. Joachim Fryd. w liście 3 IX 1587 (l. c.) cieszy się, że królem polskim wybrano «Hochmeistern deutschen Ordens» i godzi się wspomóc Maksymiliana 300 końmi.

[2]) Arch. w Wiedniu. 11 X 1587.

spotykał nawet zacięty opór. Tak po drodze, gdy zażądał poddania mu zamku Rabsztyna, dowodzący tym zamkiem rotmistrz Zamoyskiego, kniaź Hołubek «jako był złej gęby odpowiedział, że już więcej innych między Polakami zdradziec nie ma oprócz tych, którzy u Maksymiliana».

Była to wróżba, że gdy stanie pod murami Krakowa, którego bronił sam hetman — nie słodszą go tam przywitają oracyą. Dlatego też postanowił naprzód zjednać sobie Kraków łagodnością i zaczął od układów. Słał listy do miasta, do uniwersytetu, do kapituły; słano nawet tajnie przez pewną żebraczkę list do jezuity Piotra Skargi [1]). Gdy jednak wszystkie te starania okazały się bezskuteczne, Maksymilian postanowił 23 listopada przypuścić szturm do Krakowa.

Zamoyski opasał miasto dwiema liniami obronnymi. Jedną węższą przedstawiały same mury miasta stojące na miejscu dzisiejszych plantacyi, drugą dalszą stanowiły wały i rów opasujące dokoła przedmieścia krakowskie.

Właśnie w nocy szturm poprzedzającej, nocował Zamoyski przy samej owej najdalej wysuniętej linii szańców. W czasie tego noclegu miał sen dziwny. Zdało się mu, że Maksymilian dyadem iskrzący najdroższymi klejnotami podniósł z ziemi, a Marek Sobieski, chorąży koronny, dziad późniejszego

[1]) O usposobieniu Skargi por. niżej «Rola jezuitów».

króla włożył go na skronie samego hetmana Zamoyskiego... [1]).

Te majaczenia senne niezupełnie jednak zgadzały się z wieściami, jakie przyniosły hetmanowi przeszpiegi i wywiady. Maksymilian bowiem dla niepoznaki, naumyślnie kazał swemu wojsku wieczorem dnia poprzedzającego tę wyprawę, wyruszyć przy blasku pochodni precz z pod okolic Krakowa, udając, że niby się cofa z pod miasta. Ze świtem zaś pod osłoną wielkiej mgły ruszył jak najszybciej pod Kraków.

Ażeby łatwiej wtargnąć do Krakowa użyto zdrady. Tuż przed bramą «szewską» na przedmieściu mieszkali garbarze, prawie wszyscy Niemcy. Z nimi to porozumieli się Maksymilianiści. Jeszcze o północy arcyksiążę wysłał naprzód dwa oddziały najlepszych knechtów muszkieterów, których zaraz garbarze podstępnie przeprowadzili przez straż polską, stojącą na szańcach, i ukryli po swych domach. Tu ukryci mieli wyczekiwać chwili, póki Maksymilian całą siłą nie uderzy na Kraków, aby wtedy napaść na ową bramę szewską, słabo bronioną i następującej masie wojska otworzyć wstęp do grodu.

Jakoż z blaskiem dnia, wynurzyło się z mgły wojsko rakuskie i zaroiło na polach pod Krakowem.

---

[1]) Heidenstein, Vita J. Zamoyski.

Zatrzymawszy przy sobie jazdę, wysłał Maksymilian przodem 2000 wybranej piechoty. Przewodnikiem tej piechoty był sam banita, Krzysztof Zborowski, który głównie miał skłonić arcyksięcia do podjęcia tego szturmu i być duszą całej tej imprezy [1]). Postępował on z oddziałem swoich osławionych wywołańców włoskich, których zebrał jeszcze w Wiedniu i przywiódł swego czasu nawet na pole elekcyjne jakby na większe jeszcze pośmiewisko wydanych nań dekretów banicyjnych. Wraz z tym, jak go zwał Zamoyski «Krzychnikiem niecnotą», trzech innych kapitanów austryackich wiodło niemiecką piechotę, która niezmiernie szybko pędziła na szańce krakowskie. Krzysztof Zborowski dał słowo owym trzem kapitanom, że ich nigdy nie opuści i do ostatniego tchu przy nich wytrwa.

Już teraz po drodze, pełen otuchy, zapewniał owych kapitanów, że za półtory godziny Kraków będzie w ich rękach. Jakoż istotnie wskutek mgły rannej, a nadto gęstego dymu snującego się po polu ze zgliszczy pewnych części przedmieść krakowskich, które kazał spalić, przestrzegany o napadzie [2]) Zamoyski, piechota nasza stojąca na szańcach, nie rychło spostrzegła nieprzyjaciela. Zaczęła strzelać, lecz Niemcy zaraz wyparli ją precz poza wały, tak że niebawem część piechoty niemieckiej znalazła się za

[1]) Ciampi, Rerum 60.

[2]) Ciampi, Rerum.

szańcami i docierała już swobodnie do kościoła karmelickiego. Równocześnie owe ukryte po garbarzach knechty rzuciły się ku bramie szewskiej i rozpoczęły ogień na straż stojącą na murach.

Chwila, a panami miasta mieli zostać Niemcy.

Śród żwawej utarczki charakterystyczne było zachowanie się Krzysztofa Zborowskiego: zapomniał trochę o swoich przechwałkach i śród gęstego ognia niebawem schował się za chałupę. Aliści niedługo potem «Krzychcik niecnota» nie zważając na napominania innych kapitanów austryackich, nagle rzuca się sam do ucieczki, skacząc w całym pędzie przez rowy i szańce.

Kapitani opuszczeni przez przewodnika przystanęli zdziwieni, nie rozumiejąc, czego się uląkł, aż wkrótce ujrzeli źródło owego przestrachu. Według słów jednego z tych kapitanów [1]) nagle od boku przypadł jakiś czarno ubrany rycerz, krzyknął gromko do wysypującej się za nim również czarnoubranej piechoty, porwał chorągiew i sam pierwszy z sztandarem w ręku skoczył do ataku w sam środek piechoty austryackiej. Porwana jego brawurą czarna piechota, rzuca się na oślep za owym żałobnie ubranym jeźdźcem i zaraz zaczyna spychać Niemców z ich stanowiska i śród mor-

[1]) Dyar. Reszki.

derczej walki wypiera ich precz poza szańce, daleko na pole.

Ów czarny rycerz był nikt inny, jeno sam Zamoyski, który tu osobistą interwencyą i rozbudzeniem zapału w swym żołnierzu w chwili krytycznej uratował Kraków i... insygnia na Wawelu. W samą też porę wsparł go Marek Sobieski, który widząc, że nasi ciężko jeszcze pracują, pobudził kilkudziesięciu rezolutów (a najwięcej tam jego krewnych było), że skoczyli cwałem do Niemców onych pieszych i kopie w nie połamawszy, siec je z koni poczęli tak dobrze, że już w zupełnej rozsypce rzucili się do odwrotu [1]).

W ogólnym popłochu, puszkarze sunący z działami na tyłach piechoty niemieckiej, teraz porwani falą uciekających zeskoczyli z koni i zostawili w polu działa i wozy z prochem i kulami, na które w te pędy wpadł Zamoyski ze swoją czarną piechotą [2]). Opanował je i kilka śmigownic odwróciwszy na uchodzącego nieprzyjaciela, zaczął ogniem prażyć — ich dawnych właścicieli.

---

[1]) Lubieniecki, Poloneutychia 125.

[2]) Nad tą piechotą wybraniecką był starszym Wawrzyniec Wybranowski. Za waleczność tu okazaną i zdobycie chorągwi nieprzyjacielskiej dostał potem miasto Tyrawę (Metr. koron. 133 f. 207). Bramy szewskiej bronił odważnie rajca Walenty Rimer (z szlachcianki Szelesiowskiej (sic!) urodzony) za co nobilitowany otrzymał herb wyrażający czerwoną bramę (szewską), a przed nią męża z mieczem (Metr. koron. 133 f. 450).

Na całej linii został nieprzyjaciel odparty.

Hetman sam zmęczony, bo czynnie występował w boju, a ciągle serca walczącym dodając, własną ręką położył trupem kilku Niemców, — ciągnął teraz w tryumfie w mury Krakowa siedm zdobytych dział, a radość tem większa biła z jego twarzy, że działa te były własnością jego rywala, wojewody Górki, jak o tem najlepiej herb i napisy na nich świadczyły.

Porywczy garbusek Górka, który podobno wiele przedtem rozpowiadał o strasznych pociskach tych dział swoich, miał na wieść o dostaniu się tych jego kolubryn do rąk Zamoyskiego, łzami się zalewać i w gniewie włosy sobie wyrywać.

Rektor padewski tryumfował nad wirtemberskim.

* * *

W oka mgnieniu jednak, radość z odniesionego tryumfu zamącił gniew i chęć zemsty na zdrajcach, Niemcach krakowskich.

Na wieść, że z niektórych domów sami garbarze niemieccy w czasie bitwy strzelali na polskich żołnierzy, rzuciło się pospólstwo i chłopstwo z «Ogrodników» z drągami i kołami na domy zdrajców-garbarzy. Znajdowano tam kryjących się po bitwie żołnierzy niemieckich, jednych w skrzyniach, drugich w pierzynach zaszytych, wielu ukrywały żony garbarzy w piwnicach, gdzie odkrywano też «prochy w faskach masłem z wierzchu przy-

kryte». Lud uniesiony zemstą, mordował i samych garbarzy «heretyków», wyławiał ich po ogrodach, po bagnach, po kościołach nawet. Śród krzyku i błagania o litość Niemek, zrównano domy «lutrów» z ziemią. Taki szał nienawiści ku tym zdradzieckim Niemcom ogarnął tłumy, że sam Zamoyski musiał przybyć osobiście na przedmieście i kazać kijami rozpędzać nacierające tłumy.

I hetman zresztą nie ufał oddawna Niemcom-mieszczanom. Jeszcze przed miesiącem kazał był ściąć sześciu mieszczan, którzy umyślili otworzyć bramy nieprzyjacielowi, wydalił następnie wszystkich tych kupców Niemców, którzy stale w Krakowie nie mieszkali, a nad resztą rozciągnął baczny nadzór. Zakazał nadto krakowskim mieszczanom jakichkolwiek stosunków hadlowych z Wrocławiem.

Gdy pomimo wszystkich tych środków dopuścili się teraz garbarze zdrady, Zamoyski kazał ściąć 23 garbarzy, a nadto wraz z nimi puszkarza, który z 4 dział stojących na murach, naumyślnie na jazdę Maksymiliana, «miasto kul, sianem strzelał», — przekupiony w tym celu przez garbarzy sumą 40 talarów.

Po Niemczech gruchnęła wieść, że Zamoyski stracić kazał puszkarza, który był — «ein Hochdeutscher» [1]).

---

[1]) Polnische Zeitung r. 1588, Arch. w Wiedniu 8 X, 12 X 4 XII, 1587; kronika Zelnera (Groby A. Grabow.); Dyar. Reszki.

Zamoyski straciwszy już zupełnie zaufanie do mieszczan, zwrócił się na zebraniu w ratuszu z prośbą do szlachty, aby wobec takich objawów zdrady, zechciała dla pewności pełnić sama straż na murach obok mieszczan. Jakoż pod wieczór, śród kłębów iskier, które ogromny wicher z doszczętnie spalonego obecnie przedmieścia «Garbarzów» niósł na miasto, dojrzeć można było stojącą na murach obok mieszczan i szlachtę.

Łuna pałająca nad miastem zarumieniła blade zwłoki 2000 pobitych pod Krakowem nieprzyjaciół. «Pełna Rudawa była trupów i woda ze krwią się zmieszała, tak iż ryby opiwszy się krwie zdychały. Wszędzie trup na trupie leżał» [1]). I wyszedł ks. Skarga z drugim księdzem ku miejscu bitwy i widząc ciała pobitych Niemców, dał tym, którzy szańce sypali, kilka groszy, aby nieco trupów pogrzebali... [2])

* * *

Jak wiadomo, dopiero wskutek tego niefortunnego szturmu, Zygmuntowi III, dążącemu od Gdańska otworem stanęła droga do Krakowa.

Zamoyski rozumiał dobrze znaczenie tego zwycięstwa i dlatego kiedy Zygmunt III wjeżdżał ostatecznie w mury Krakowa, on stojąc przy szańcach, witał elekta jak prawdziwy tryumfator. Z prze-

[1]) J. Bielski.

[2]) Dyaryusz Reszki.

pychem barokowym kazał wystawić łuki tryumfalne, a na nich na naczelnem miejscu umieścić obraz ukochanego króla Stefana, na dalszem zaś planie wierne wizerunki [1]) dziadów Zygmunta, Jagiellonów. Na tle trofeów zdobytych na Maksymilianie, obok dział Górki, sztandarów Maksymilianowych, hartownych zbroic, jeńców rakuskich i powrozów, którymi mieli Zborowscy wiązać Zamoyczyków, — hetman wypowiedział do Zygmunta mowę powitalną. Było to pierwsze zetknięcie się dwóch tak często później niezgodnych potęg. Hetman przedstawił, że bronił ojczyzny i ślubował, że zawsze będzie ją osłaniał, przyczem, rozmiłowany w wzorach klasycznych nie mógł się powstrzymać, aby nie zestawić się z... Scipionem. Nadspodziewanie król w odpowiedzi na tę uroczystą przemowę, bąknął ledwie kilku słowy. Zdumiało to wielu tem więcej, że dopiero co na powitanie biskupa Goślickiego, odpowiedział król tak szeroko i taką czystą polszczyzną, że wprawił obecnych w entuzyazm. Hetman dotknięty tem do żywego, miał wówczas szepnąć do ucha kasztelana podlaskiego Leśniowolskiego, owe pamiętne słowa: «A cóżeście to nam za niemą marę z Szwecyi przywieźli» [2]). Później miał się przekonać, że

[1]) Były to obrazy nie fantystyczne, ale wierne kopie, Chytraeus; Ciampi, Rerum; Grochowski.

[2]) Kobierzycki, 44. «Daemonium» zbyt ostro tłumaczono dotychczas na «dyabeł», «dyable». — Już 22 X 1587 sami Zamoy-

w czasie podróży z Gdańska znalazł się w otoczeniu królewskiem jego niby przyjaciel, a w gruncie rzeczy rywal, który już po drodze zniechęcić króla potrafił do Zamoyskiego (Opaliński).

Na teraz w obliczu wroga nie było czasu na swary i rywalizacye. Jeszcze się nie skończyły uroczystości koronacyjne, kiedy zamąciła je wieść, idąca od Karpat i wszystkich oczy zwróciła ku Tatrom. Szły «ponowy», że zamek Lubowlę zdobył rakuski oddział. Zamek ten warowny, panujący nad całym Spiżem, a wiszący na skale mało dostępnej, — choć bronił go z swymi góralami Żerosławski «pachołek urodziwy a rycerski» [1]), wpadł jednak w ręce nieprzyjaciół dzięki znowu zdradzie Niemców i zaciężnych Węgrów, którzy związawszy podstarościego zamek wydali. Węgrzy zacierali ręce z radości, że Spiż, który od tylu lat był w posiadaniu Polski, napowrót wcielono do Węgier. Przeciwnie w naszem społeczeństwie bardzo zawsze czułem i dbałem o te urocze góry Karpackie, dał się teraz słyszeć jednozgodny krzyk oburzenia na Maksymilianistów i wezwanie do natychmiastowego odzyskania straty. Wszyscy teraz zrozumieli, że to walka z obcym najazdem, kto mógł wdziewał zbroję, brał karaceny, wydobywał

---

czycy w listach poufnych przezywali Zygmunta «tardum mobile». (Arch. w Wiedniu, Polonic).

[1]) J. Bielski, 84.

koncerze, szedł walczyć z wrogiem o Spiż, o Lubowlę [1]). Co szlachetniejsi odpadali od Niemca. Nawet Jan Zborowski, najszlachetniejszy tego rodu przedstawiciel odjechał teraz precz od Maksymiliana, który krzepił się na naszej granicy i czekał na nadciągające posiłki z Węgier, aby z większemi siłami nanowo kusić się o Wawel.

Przeciw niemu teraz ruszyć miał hetman i w walnej bitwie w otwartem polu się rozprawić, jako już z obcym najezdnikiem. Pełnia była księżycowa, a mróz tęgi, kiedy ruszał hetman z Krakowa ku... Byczynie. Z zapartym tchem czekano wyniku tej wyprawy. Trudno było sobie wiele po niej obiecywać, trudno pokładać nadzieje przedewszystkiem i... w źle płatnym żołnierzu hetmana. Jeśli hetman legnie, źle; jeśli zwycięży, a da umknąć arcyksięciu lub go trupem położy, też źle, bo sprowadzi to na Rzeczpospolitą długą wojnę z Habsburgami.

Minęło kilka dni.

Wtem nadbiegł do Krakowa zwiastun z pod... Byczyny, jeden, potem drugi, potem trzeci z listem od hetmana i z wieścią, że nieprzyjaciel porażon, zasłał 5000-mi trupów pole pod Byczyną,

[1]) Jeszcze przedtem Izdebski pisze (13 X 1587) do przyjaciela St. Przerębskiego: «Co mie WM. żądać raczysz o zbroję, acz nie w czas, bom już rozpożyczał, com miał przy sobie... jednak, com był zostawił sam dla siebie i synowca swego, to WM. ślę: zbroję a dwa karacenie». Ossolin. Ms. 2566. f. 5.

że arcyksiążę żyw jest pojman, że Spiż z Lubowlą śród warunków kapitulacyi zwrócony.

Jasną było rzeczą, że hetman za jednym zamachem sprawę ubił i cel uzyskał. Jaki szał radości wywołał ten list w Krakowie, trudno opisać [1]). List ten hetmański w tysiącach kopii, jaskółczym lotem, podawany z rąk do rąk, rozbiegł się po całej Rzeczypospolitej tak, że dziś niema prawie zakątka archiwalnego, gdzieby nie znajdywał się w kilku dawnych odpisach. Przez długie wieki z dumą czytywano sobie ten list, przypominając młodszym pokoleniom, jako to prosty szlachcic polski bił na głowę i brał w niewolę brata cesarza rzymskiego.

A za tym listem sunął sam hetman tryumfator, a za nim w karetce w dwa białe konie zaprzężonej, jeniec dostojny a żałosny bardzo, arcyksiążę Maksymilian, a za nim w powozach inni jeńcy, a więc i rektor wirtemberski Górka i ślepy «Żyszka» Czarnkowski i Zborowski marszałek nadworny i inni. Za nimi 30 dział zdobytych i snop zdobytych chorągwi, a przedewszystkiem żółta z czarnym orłem, którą zdobył sam Żółkiewski, późniejszy bohater z pod Cecory, okupiwszy tę świetną zdobycz w tej pierwszej swojej bitwie ciężkimi ranami [2]).

---

[1]) Magna fuit omnium laetitia. Dyar. Reszki.

[2]) Dyaryusz Reszki; Ms. Ossolin 186; J. Bielski: Chorągiew ta przechowana w Bibl. Ord. Zamoyskiej.

Tego samego hetmana, którego na polach elekcyi chciano postawić pod pręgierz sądu rokoszowego, witano teraz po drodze jako zbawcę ojczyzny; gromady szlachty biły mu czołem i czyniły «gratyfikacye», a on nie nadymał się, ale witał czule i obejmował w ramiona każdego brata-szlachcica, co widząc szlachta chwaliła go sobie, jako na nim najmniej znać było, żeby zwycięstwo odzierżał, tak był wszystkim humanus, a zda się jeszcze humanior, niźli przed zwycięstwem.

I zawiózł hetman brata cesarza rzymskiego do Krasnego-stawu, a że były wnet mięsopusty zaprosił go do siebie do Zamościa i był mu rad bardzo. Mściciel Batorego pokazał tu dostojnego jeńca swej «różano-ustej» Gryzeldzie Batorównie i synowcom króla, kardynałowi Batoremu i Baltazarowi.

Na domiar szczęścia, żona powiła mu syna, i sam arcyksiążę trzymał go do chrztu. Było to południe żywota hetmańskiego.

W owej chwili w Zamościu zestrzeliło się życie złotej epoki Zygmuntów. Śród przyjęć wystawnych, godów i tańców, w których kwitł wdzięk klasyczny, śród hymnów, w których poeci zwali go «Herkulesem polskim», «Gedeonem», «ojcem ojczyzny» [1]), otoczony gronem artystów i uczonych,

[1]) «Gedeon» przez Suskrajowskiego (Bibl. sztab. gener. w Petersb. Ms. 37530); Grochowski, Listy Annib. z Rzymu.

kupiących się około nowej, przez niego zakładanej akademii, dawny rektor padewski niecił nowe ognisko kultury i odrodzenia na wschodzie.

* * *

Choć bezkrólewie się skończyło, stronnictwo «żałobnych» miało niebawem sposobność jeszcze raz wystąpić w całym majestacie: na pogrzebie króla Batorego [1]).

Przy wtórze żałosnej muzyki, biciu «Zygmunta» i wszystkich dzwonów, dwanaście koni w czarnych kapturach z herbami królewskimi wiozło ciało królewskie na Wawel. Dwa długie szeregi chorążych z sunącym z nimi nieprzejrzanym lasem chorągwi z wszystkich województw, ziem i państw hołdowniczych, wiodły swego króla po raz ostatni — do grobu.

Wraz z nimi oddział hussarzy z poszumem piór i poświstem chorągiewek, postępował smutnym korowodem za bohaterem z pod Wielkich Łuków. Trzy dni odprawiano uroczystości żałobne, a potem wzniesiono w katedrze ponad trzydziestu marami i morzem świec jarzących, trumnę królewską, pokrytym na nim krzyżem ze złotogłowia.

---

[1]) Wielewicki i A. Grabowski. Starożytności I, 67. Mosbach, Wiadomości 220.

Na dowód rozpaczy i żalu po stracie króla-wojownika jeden dostojnik po drugim rzucali na posadzkę kościoła przed wielkim ołtarzem części zbroi królewskiej z wetkniętymi w nie zapalonymi świeczkami: padał hełm, padła tarcz królewska, padł goły miecz królewski...

Na koniec sobowtór króla Batorego, rycerz w kirysie, z proporcem w ręku wpadł konno do kościoła i wspiąwszy wierzchowca, spadł z niego na ziemię, niby gromem rażony... Wówczas jeden z obecnych złamał drzewce proporca, uderzając niem z całym rozmachem kilka razy o ziemię, a za nim marszałkowie trzaskali o ziemię swe laski marszałkowskie, kanclerze tłukli pieczęcie...

Wielki kanclerz koronny nie łamał pieczęci. On właśnie w czasie pogrzebu, na wieść o niebezpieczeństwie grożącem od Tatarów, musiał popędzić na Podole, aby «czynić z pogany». Sam będąc moralnym sprawcą tego wspaniałego pogrzebu i zadosyćuczynienia pamięci Batorego, nie potrzebował teatralną pozą dokumentować, ile go bolów i cierpień kosztowała śmierć króla-przyjaciela.

PIERWSZY PROTEKTOR SAMOZWAŃCA

Więc od stóp do głowy
Miłoby mi wyglądać jako król dzwonkowy.
W koronie, z jabłkiem w lewej, z berłem na
prawicy...

Nietylko Grabiec w świecie poezyi snuł takie marzenia i widział je spełnione na jawie. I dzieje mają swoich «Grabców», których jakieś «chochliki» nagle wynoszą na trony i w dyadem stroją.

Ze wszystkich tego rodzaju historycznych postaci, żaden dotychczas nie przykuł tak do siebie uwagi dziejopisarzów, jak Dymitr Samozwaniec. Przez trzy okrągłe wieki ten «wyborny aktor» ciągle wabi i nęci ciekawych widzów, nie tracąc na chwilę nic z swego powabu i czaru. Zawdzięcza to nietylko temu, że zjawieniem się swojem wstrząsnął do głębi stosunkiem dwóch sąsiednich narodów słowiańskich, a co większa dwóch cywilizacyi: łacińskiej i wschodniej; przypisać należy to głównie temu, że owa dziwna postać, jakby z bajek wyjęta, mimo usilnych dociekań, zawsze dotychczas nie przestaje być dla nas nie rozwiązaną zagadką...

Tylu spółczesnych patrzało mu w oczy, tylu uczonych tropiło jego ślady — Sfinks ten przez trzy wieki zdawał się niezgłębionym, nieprzeniknionym, dwoił się (Gryszka Otrepiew a Dymitr), troił (czerniec Leonida, syn Stefana Batorego, Samozwaniec II), uchodził gonitwy, wyprowadzał w pole...

Byłże to istotnie ostatni potomek Ruryka? Według ostatnich «wyników badań», nader utrudnionych z powodu wyraźnej tendencyjności i sprzeczności świadectw — odpowiedź brzmi przecząco. Nawet ksiądz Pierling, który początkowo uznawał go za prawdziwego «carewicza», cofnął w ostatniem dziele poprzednie poglądy i przyłączył się zgodnie do chóru reszty historyków[1]).

Obecnie spór zeszedł na inne tory i toczy się już tylko o to, czy owa postać była istotnie Gryszką Otrepiewem, czy też jakąś inną (chociaż również samozwańczą) osobistością. Zarazem upadły wszelkie podejrzenia, jakoby Samozwańca narzuciły Moskwie jakieś z góry uplanowane intrygi polskie, czy jezuickie. Myśl «samozwaństwa» urodziła się w samej Moskwie, wywołana nagłem wygaśnięciem panującego rodu Rurykowiczów. Nie skąd-

[1]) Pierling: «La Russie et la S. Siège», III, Paris, 1901 (na str. 451 podana cała literatura). Jedyną u nas obszerniejszą monografię o Samozwańcu I, napisał na podstawie nader bogatego materyału rękopiśmiennego Aleksander Hirschberg: «Dymitr Samozwaniec», Lwów, 1897.

inąd też, tylko z bram miasta Moskwy, według samych źródeł rosyjskich, puścili się w podróż ku Ukrainie trzej prawosławni duchowni: stary Barłaam Jackij, Misaił Powadin i młody «czerniec Hryćko Otrepiew».

Tam na Ukrainie ostatni z nich miał nazwać się carewiczem Dymitrem i w mieszkającym na pograniczu Adamie ks. Wiśniowieckim znaleźć swego protektora.

I.

Kniazie na Wiśniowcu.

Na samem pograniczu Rzeczypospolitej, na krańcach Ukrainy, śród stepów bezkresnych rozsiadł się ród Wiśniowieckich, przodkowie sławnego «Jaremy» i króla Michała. Niezmierne latyfundya, słynne Wiśniowiecczyzny urastały poza Dnieprem na wielkich pustynnych przestrzeniach, gdzie bezustannie trzeba było mieć czujne oko na najazdy nieprzyjacielskie, a idąc za pługiem, dzierżyć przy sobie broń gotową, aby snadź nie pozbawił cię życia lub mienia czy to «pies pogański», czy jaki inny włóczęga pograniczny.

W takiej to okolicy stała «straż» królewska nad Dnieprem: Czerkasy, i to właśnie starostwo przez szereg lat (od 1559) powierzał król Wiśniowieckim.

Śród tego rodzaju nieustannej walki pograni-

cznej wyrasta ów typ nieokiełzanego junaka, opiewanego przez poetów — natura szeroka, stepowa, awanturnicza, Dymitr Wiśniowiecki. Czy z rozpaczy, że nie dostał ręki Halszki Ostrogskiej, czy przez zemstę na króla za to, że mu nie dał starostwa czerkaskiego, pogonił wichrem do Iwana Groźnego, oddał się mu w służbę, obiecał mu całe Zadnieprze zhołdować, potem porwał się z Olbrachtem Łaskim osadzić na tronie hospodarskim w Wołoszech — «samozwańca» Heraklidesa (który podawał się za krewnego wojewodów wołoskich), w końcu sam ogłosił się hospodarem wołoskim, ale ujęty w zasadzce i odstawiony do Carogrodu, zginął... na haku.

Mimo ten pierwszy niezbyt lojalny występ, królowie darzyli i nadal ród Wiśniowieckich swoimi względami. Ten ród tak zżył się i zrósł z kozaczem życiem pogranicza, tak otrzaskał się z walkami nadgranicznemi, że nikt chyba nad nich nie wydawał się odpowiedniejszym do czuwania nad Dnieprem i do zajęcia takiej placówki, jak starostwo czerkaskie. Dostało się też to starostwo dwom z kolei braciom (bratankom owego Dymitra), Michałowi i Aleksandrowi. Ten ostatni, to właściwy założyciel potęgi domu Wiśniowieckich. On to zakupił od niejakiego Bajbuzy niezmierzone pustynie, leżące hen za Czerkasami na Zadnieprzu nad rzeką Sułą, i uzyskał na sejmie

roku 1590-go zatwierdzenie posiadania na własność tych stepów razem «z ich przyległościami» [1]). To była podwalina późniejszych latyfundyów, fundament całego późniejszego znaczenia Wiśniowieckich. Zagospodarowywać się w tych dobrach było mu tem dogodniej, że wszystkie sąsiednie pograniczne zameczki królewskie, jak Czerkasy, Kaniów, Korsuń, dzierżył sam w swych rękach i z tych słabo opatrzonych — jak sam je zwał pogardliwie «kurników», mógł się jako tako opędzać atakującym go nieustannie Tatarom. W tych «krwawych kątach» osłaniał «biedną Ukrainę» także i od swawolnych Kozaków, odwzajemniających się mu za to znowu pustoszeniem jego własnych majętności. Czasem starł się z nimi nie na żarty, jak np. wówczas, gdy trupem położył Kosińskiego (1593), kiedy ten, przyrzekłszy carowi zhołdować Zadnieprze, przypuścił szturm do Czerkas... [2]).

Niestety po zgonie tego bohatera kresowego, syn jego, Michał, dziad późniejszego króla, nie dostał z kolei po ojcu starostwa czerkaskiego. Nagle wypada im z rąk ta placówka, tak cenna i dogodna dla zagospodarowania i ubezpieczenia ich posiadłości zadnieprzańskich, a bez przerwy dotych-

---

[1]) «Vol. leg.» II. 1355—6.

[2]) Listy Żółkiew. 127. List jego do podkancl. Baranow. z 26 lut. 1590. (Bibl. Ord. Zamoj. «Czarne pudła») i list jego z 15 wrześ. 1599 r. w (drukującem się obecnie «Archiwum Jana Zamoyskiego»).

czas przez nich dzierżona. Podubiegają bowiem Wiśniowieckich Ostrogscy. Dostaje ją kasztelan krakowski, Janusz Ostrogski.

Książę Michał dostał inne starostwo, owruckie, i przemieszkiwał stale w głównem gnieździe Wiśniowieckich na Wołyniu we Wiśniowcu, gdy jego bratanek, książę Adam, dla straży dóbr nadgranicznych osiadł nad Dnieprem w Brahiniu i tu stale przebywał z żoną Aleksandrą, siostrą sławnego Jana Karola Chodkiewicza.

«Książę Jadam» był wyznania greckiego, co jest cechą znamienną u pierwszego protektora Dymitra Samozwańca, którego jakoby «jezuicka intryga» miała wynieść na tron moskiewski...

«Książę Jadam» był żarliwym wyznawcą prawosławia, jak i wszyscy w czasie zjawienia się Dymitra Wiśniowieccy, jak i ojciec kniazia, Aleksander, który spoczywa w Ławrze Peczerskiej, jak i matka Kapuścianka, która zapisy uczyniła na rzecz cerkwi greckich. I bratanek Adama, ks. Michał wespół ze swą żoną, Reginą Mohylanką, szerzył greckie wyznanie na wschodzie Rzeczypospolitej, wznosząc w swych dobrach w latach 1610—1619 liczne monastery [1]). Powszechnie też w dobrach rodziny Wiśniowieckich, «jako na Wiśniowcu, w Brahiniu, w Manaczynie [2]) i indziej po miastach

[1]) Źródła dziejowe, XXII, por. też Wolff: Kniaziowie.

[2]) Majątek Konstantego ks. Wiśniowieckiego (por. Sobr. gosud. gram., II, 168).

i siołach ich — monasterów i cerkwi ruskich z wielkim nadaniem była siła» [1]).

Ze wszystkich jednak Wiśniowieckich najwybitniejszym propagatorem i bojownikiem greckiej wiary był sam kniaź Adam. W tej gorliwości o dobro greckiej wiary szedł ręka w rękę z innymi ukraińskimi kniaziami, z którymi wiązała go bliższa zażyłość przyjacielska, mianowicie z kn. Kirykiem Rużyńskim i jego synem Romanem. Gdzie tylko zajdzie sprawa greckiego wyznania, zaraz ujrzysz obu kniaziów, Wiśniowieckiego i Rużyńskiego, występujących na czoło jako gorących jej rzeczników w imieniu całej szlachty ukraińskiej. Tak z kniaziem Kirykiem Rużyńskim w r. 1595 wpisał się Wiśniowiecki do lwowskiego bractwa stauropigialnego tak wkrótce potem obaj, jako posłowie ukraińscy, żarliwie ujmują się za swymi wyznawcami we Lwowie, wnosząc protestacye przeciw presyi, którą na wyznanie greckie we Lwowie wywierać mieli «Polacy posłuszeństwa papieskiego» [2]).

Podobnież, kiedy całe wyznanie greckie podawszy rękę protestantom polskim, urządziło demonstracyjny zjazd w Wilnie w r. 1599, wymierzony przeciw Kościołowi katolickiemu, wtenczas to wśród

[1]) Suppl. ad Histor. Russ. Monum. str. 411: «u ks. Adama, który sam ruskiej wiary jest». List Jezuity Ławickiego («schismaticus»), Pierling, Rome et Dem. 211.

[2]) Suppl. Hist. Russ. Mon. Nr. 63, str. 153, inne źródła por. Wolff: Kniaziowie, 557.

głównych organizatorów figurują, jako przedstawiciele rycerstwa, obaj bratankowie, Adam i Michał Wiśniowiecy, i nieodstępny odtąd (w miejscu zmarłego ojca) towarzysz Adama, syn ks. Kiryka, Roman Rużyński [1]).

Do śmierci kniaź Adam był wierny kościołowi greckiemu. Jeszcze w r. 1609 robi nadania w swych dobrach brahińskich na rzecz monasteru w Sielcu i nie zwracając uwagi na coraz częstsze wśród wyższych rodów przykłady przechodzenia na katolicyzm, jeszcze w r. 1620 utrzymuje korespondencyę ze lwowskiem stauropigialnem bractwem.

O innych cechach jego charakteru pozostały nam niezbyt pochlebne świadectwa. Towarzysz Gryszki Otrepiewa, Barłaam Jackij, zwie go wprost głupim i pijanicą. Świadectwo to wprawdzie podejrzane, bo złożone później na indagacyi wobec władz moskiewskich, oburzonych na protektora Samozwańca; potwierdza je jednak jeszcze inny świadek naoczny. Według tegoż, Wiśniowiecki nie wahał się uznać za prawdziwego Dymitra także i Samozwańca Drugiego, lubo ten był już oczywistym i powszechnie znanym oszustem. Do tego to bowiem Samozwańca II w grudniu 1609 r. «przyjechał z Polski książę Jadam Wiśniowiecki; zaraz do Cara szedł, tak, że z nim pili obaj całą noc i jeszcze gorzałkę; któremu Wiśniowieckiemu wojsko przedtym z rok napomnienie uczyniło, aby do wojska nie przy-

[1]) Łukaszewicz: «Dzieje helw. Lit.» str. 131.

jeżdżał, alić właśnie tej nocy przyjechał. Byłem przy tym, kiedy Jego Mości Pana Zborowskiego, Pana Tyszkiewicza starszego i Pana Komorowskiego słał Pan Hetman do niego, aby zaraz odjechał, bo jakby Cara poznał inakszej cery, niż on był, tedy «damy kijem Wiśniowieckiemu». Tejże nocy dał mu Car biały ubiór teletowy, sobolmi cudnemi i perłami ochędożony, konia z bogatem rządem i szablą bogatą, o co się zaraz wojsko, przychodząc do hetmana, skarżyli na Cara, iż «plotce albo raczej łgarzowi ma co dać, a nam nie». Poszedł tedy Pan Hetman...; tam do Cara przyszedłszy, pytał Wiśniowieckiego: «Co tu czynisz łgarzu?! Bierzesz za swe plotki nasze zasługi! To ci się z drugiego krew leje, siła ich przychodzi, a nie masz co dać z naszych żadnemu». Nuż kulą Wiśniowieckiego, aż się spadała, który się podpierał:... i tak ci się wrócił» [1]). Blagier i pijanica — oto znamienne cechy kniazia, wyłaniające się z ram tego barwnego obrazka, w którym nie można się dopatrzyć, aby ten «Korybutowicz» cieszył się nazbyt wielkim szacunkiem u samych Polaków.

Szczególnie drugi przydomek zdaje się zupełnie słusznie przylgnął do postaci księcia Adama. Znany nam bowiem jego nieodstępny przyjaciel od serca, kniaź Rużyński, również nazbyt często zwykł był zalewać się gorzałą. O nałogu tego

[1]) Al. Hirschberg, *Kwartalnik Hist.*, r. 1889, str. 289.

druha Wiśniowieckiego tak nieposzlakowany sędzia, jak hetman Żółkiewski — swego czasu powiedział: «kniaź Rużyński niemal zawsze był pijany»[1]).

Obaj tworzyli wesołą kompanię, dobraną dwójkę hultajską, dwa typy nierzadkie śród polskich kondotyerów z czasów epoki Samozwańców; kondotyerów, doprowadzających czasem pijaństwo do granic, o których nawet... Zagłobie się nie śniło.

Sylwetka księcia nabiera dopiero odpowiednich konturów, gdy się ją ujrzy na tle okolicy stepowej, na tle tego pogranicza ukrainnego, śród którego zamieszkał.

Syn stepów, kochał się w koniach rasowych. Jak słyszeliśmy, wyprosił sobie u drugiego Samozwańca wierzchowca z bogatym rzędem. Gdy chodziło o konia pięknego, gotów był nie liczyć się z żadnymi skrupułami, gotów był poświęcić nawet swe przywiązanie do duchowieństwa prawosławnego. I tak nie wahał się nawet zabrać bezprawnie dwóch wspaniałych koni arabskich, chociaż szły w darze dla Sofroniusza, patryarchy jerozolimskiego... [2]).

Mieszkaniec stepów pogranicznych, musiał pędzić życie awanturnicze, być przygotowanym na grabież i odwzajemniać się podobnież, szarpać na

[1]) Pisma Stan. Żółkiewskiego. Progres wojny. Aug. Bielowski, str. 114.

[2]) Skargi na to przed Dymitrem I Samozwańcem, por. Pierling: «La Russie», 208—209.

prawo i lewo, musiał sam napadać i odpierać najazdy. Ze wszystkich Wiśniowieckich on najwięcej borykał się na tem pograniczu. Gdy jego starszy bratanek przebywał sobie spokojnie we Wiśniowcu, na nim spoczywała straż nad Zadnieprzem. Ze wszystkich Wiśniowieckich on to miał przedewszystkiem osiedlać i rozszerzać pograniczne przestrzenie — jak najdalej za Dniepr.

Obok Tatarów stawała w tej robocie ks. Adamowi i inna zawada na drodze. Kolonizując Zadnieprze, musieli Wiśniowieccy zetknąć się tu z osiedleniem, prowadzonem od strony państwa Moskiewskiego, z osiedleniem rozpoczętem jeszcze za Iwana Groźnego za pomocą materyału szczególnie awanturniczego, bo za pomocą złoczyńców [1]).

Między tymi kierunkami osiedlenia dlatego były starcia nieuniknione, że mimo pokoju z Moskwą z r. 1601, pas graniczny między Czernihowem a Putywlem [2]) nie był wyznaczony dokładnie. Wynikłe stąd dopiero nadgraniczne zatargi i zaczepki skłoniły oba państwa do wyznaczenia jakiejś komisyi nadgranicznej, która jednak nie przyszła ostatecznie do skutku.

Na tej to zaś jeszcze nie wytyczonej linii granicznej leżały dobra Wiśniowieckich, a przede-

[1]) Por. Szczepkin: «Wer war Pseudo-Demetrius?» Arch. f. slavische Philologie, XXI, 580 i następ.

[2]) Por. list Borysa Godunowa do Zygmunta III z r. 1605, Bibl. publ. Petersb. Pol. F., IV, 119.

wszystkiem najdalej z nich na wschód wysunięte zameczki: Przyłuki i Śnietyń. Były to dwie najniepewniejsze placówki, które trzeba było jednak koniecznie obronić przed atakiem i utrzymać w swych rękach. Bez tych punków oparcia wszystkie zadnieprzańskie włości Wiśniowieckich stawały się nader iluzoryczną własnością. A właśnie do tych zameczków rościł sobie pretensye (od r. 1602) car Borys Godunow, dowodząc, że należały one zawsze przedtem do państwa Moskiewskiego, a tylko Wiśniowieccy bezprawnie je sobie przywłaszczyli [1]).

O te placówki miała wcześniej czy później rozegrać się walka między Wiśniowieckimi a ich potężnym sąsiadem. Wcześniej może, niż się spodziewali, dostaje się im do rąk wyśmienity atut do przyszłej walki z Borysem Godunowem. We drzwiach dworu brahińskiego zjawia się nagle czerniec zagadkowy.

Zjawia się w samą porę, jak «deus ex machina»: Dymitr, wróg Borysa Godunowa, oskarżonego o skrytobójcze usunięcie ze świata właśnie tego ostatniego z Rurykowiczów, — «Dymitr», który podważy tron uzurpatora; — «Dymitr», który nagrodzi w przyszłości swych protektorów.

Tego «Dymitra» nie stworzono, nie przygotowano gdzieś w głębi rdzennej Polski. Węzeł całej

[1]) L. c. W r. 1628—9 Przyłuki liczą dymów 40, Śnietyń 35 (Źródła dziejowe XXII, 502). Nie trzeba tych zadnieprzańskich Przyłuków mieszać z Przyłukami Zbaraskich pod Winnicą.

następnej «tragedyi moskiewskiej» zadzierzgnął się tutaj, w tych krwawych kątach, w tych ostatnich skrawkach Rzeczypospolitej, które wysunięte po za brzegi Dniepru, a zakreślone granicami bardzo niejasnemi, pchały ich właścicieli Wiśniowieckich do obrony i do rozszerzania tych pustyń wbrew dążnościom państwa sąsiedniego.

II.

Swawoleństwo Kozackie.

Myliłby się ktoby sądził, że głównie osobistemu poparciu Wiśniowieckiego zawdzięczał Samozwaniec swoje powodzenie. Była inna jeszcze potężna fala, która go wyniosła na wierzch, zawsze wspierała i w końcu zapewniła mu zwycięstwo. Fala ta nawet pierwej niż Wiśniowieccy, wzięła go już na swój grzbiet. Nie od rzeczy tedy będzie napomknąć tu słów kilka o tej sojuszniczce księcia Adama.

Chcę mówić o znacznem wzburzeniu społecznem, jakie współcześnie wybuchło w państwie moskiewskiem, sprowadzając za sobą przewrotowe wprost przesilenie.

W chwili, gdy gaśnie ród Rurykowiczów, następuje przytwierdzenie na wieki chłopa moskiewskiego do gleby. Chłopstwo uchodzi tej niewoli i umyka na południe, zasilając watahy kozackie potężnemi falami zbiegów, gdy tymczasem w centrum państwa wybuchają głody o rozmiarach

wprost trudnych do uwierzenia. Mimo ulg pewnych wprowadzonych przez Borysa Godunowa, na południu rozpala się bunt pod wodzą Chłopka Kosołapa. Bunt rośnie, posuwa się pod Moskwę, a w walce z nim prawie pod samymi murami stolicy, pada nawet sam wódz carski Basmanow. Właśnie w też tropy za tą falą uderza na Moskwę druga, a na jej czele kroczy już nasz Samozwaniec i to nie z innej strony, ale od południa, od strony burzliwego Kozactwa.

Czy między Dymitrem a Kozactwem i zbuntowanem chłopstwem, nie było bliższego związku? Bardzo wiele źródeł rosyjskich wspomina, że zanim jeszcze Samozwaniec odkrył przyłbicę u Wiśniowieckiego, już porozumiał się z Zaporożem i Kozakami a nawet osobiście z nimi «łotrował». Przez pewien czas przebywał śród Zaporożców czerkieskich i choć był czerńcem «jadł z nimi mięso i nazywał się carewiczem». «Młody czerniec» w ich gronie przypomniał sobie, że był synem bojarskim, dawny pisarz patryarchy moskiewskiego wolał może przedzierzgnąć się... w asawułę? Dość, że zaczął się z Kozakami «łotrowstwem bawić». Nie z kim też innym ale w towarzystwie kupy kozackiej przewija się Samozwaniec po Kijowie i wraz z Zaporożcami przychodzi do sklepu niejakiego Stefana, mieszczanina jarosławskiego, aby kupić sobie jaki obraz święty. Wraz z Kozakami brał podobno udział nawet w pustoszeniu okolic Kijowa, a mimo to

sympatyzowali z nim «mużycy posadzcy, Kijowianie» i carewiczem go uznawali... [1]).

Jeżeli istotnie Samozwaniec już wychodząc w podróż z Moskwy, nie knuł w tajnikach swej duszy planów odegrania w przyszłości roli Dymitra Samozwańca, to chyba nigdzie łatwiej nie mogła się uląc taka myśl w jego głowie, jak właśnie tutaj śród burzliwego «towarzystwa» kozackiego. Któżby inny ośmielił się podsunąć jakiemuś młodemu zakonnikowi przez wszystkich lekceważonemu [2]) — myśl tak dziwaczną, tak szaloną?

Tu zaś w gronie tych szukających hazardu, nie bojących się nikogo awanturników, mógł śmiało zabłysnąć ów zawadyacki zamiar. Kozacy tęsknili za jakąś wyprawą, a tu ani czajkami płynąć pod Carogród, bo król zaczepki z Turkiem zabrania, — ani pohulać z Tatarami, bo hetman z nimi pokój pod Cecorą zawarł, — ani rzucić się na Wołoszczyznę, bo tam włada przyjaciel króla, Mohiła — ani im wreszcie ochota iść za przykładem nieszczęsnego Nalewajka i jego towarzyszów — więc dokąd? Wprawdzie z Moskwą też pokój zawarty, ale czyż nie skorzystać z nowo przybyłego gościa? Czyż nie wyzyskać jego

---

[1]) List B. Godun. do Zygm. III l. c. Kozakami, do których udał się Dymitr, miał dowodzić niejaki «Gerasim Ewangelik»; (por. Skazan. i pow. w Cztenia imper. obszcz. Nr. 9, II. Moskwa 1847).

[2]) «Ab omnibus leviter acceptus». Wielewicki.

znajomości tajemnic dworu carskiego, nie prowadzić go pod byle jakim pozorem na Moskwę za przykładem owego Chłopka Kosołapa?

Kozakom prowadzić rzekomych pretendentów na Wołoszczyznę, nie była nowina. Czyż więc nie mogą i teraz wieść tego młodego... — niby — carewicza do Moskwy, gdzie właśnie wygasł ród Rurykowiczów, gdy wokoło nich kipi wszystko buntem przeciw Borysowi Godunowi!?...

Nicby w tem dziwnego nie było nawet, gdyby inicyatywa w danym wypadku wyszła od samych Kozaków. Wszak nie inaczej postąpili z Samozwańcem Petruszką, który niebawem zjawić się miał pośród Kozaków, przebywających nad rzeką Terekiem. Wówczas z pośród grona swych młodszych towarzyszów wybierają dwóch, Ilejkę i Mitijkę i każą jednemu z nich podjąć się odgrywania roli «carewicza». Kiedy jeden z nich Mitijka wypraszał się od tego zaszczytu oświadczając, że on rodem z Astrahania, nigdy w Moskwie jeszcze nie przebywał i jej zupełnie nie zna — musiał wtenczas chcąc nie chcąc zostać carewiczem drugi Ilejka; miał odtąd zapomnieć, że poprzednio kupczył jabłkami i garnkami w Niżnym Nowogrodzie, i stale zwać się Piotrem, synem zmarłego cara Fiedora (więc niby synowcem Dymitra Samozwańca)... Widocznie zatem tu na południu śród wzburzonego morza tego kozactwa, które koniecznie chciało wystąpić z swych brzegów — Samozwańcy byli na dobie. Czy w cza-

sie «łotrowania» z Kozakami, Samozwaniec nie dostrzegł tej lawiny, która wzbierała już, aby potoczyć się zaraz za oną pierwszą prowadzoną przez Kosołapa? W każdym razie musiał Samozwaniec wielkie mieć zaufanie w siły tych Kozaków, kiedy w czasie początkowych swych występów, nie myśląc jeszcze zupełnie o jakiejkolwiek pomocy ze strony króla polskiego, chciał ruszyć na Moskwę li tylko przy pomocy Kozaków i Tatarów [1]).

I później, choć zyskał sobie w głębi Polski potężnych popleczników, mimo to zawsze wiele zawdzięczał poparciu Kozaków. U samych panów polskich dlatego głównie zyskał wiarę w swą sprawę i wzbudził ufność w skuteczność swej wyprawy, że na dowód słów swoich mógł w czasie pobytu swego czy to w samym Krakowie czy też pod Lwowem — wskazać na wysyłane doń raz wraz od Kozaków dońskich poselstwa z gorącemi wezwaniami do wyprawy przeciw uzurpatorowi jego tronu, Borysowi. Kiedy początkowo tych posłów więził Janusz Ostrogski, starosta czerkaski, wówczas Kozacy dońscy groźbą napaści na jego dobra zmusili go do wypuszczenia ich na wolność tak, że potem już bez przeszkody mogli czyto odesłać Sa-

[1]) Pierling. Rome et Dem. 175—177; «Dochodzi nas, jakoby do Niżowych Kozaków miał się udać, aby go na państwie moskiewskiem postawili». Listy Żółkiew. 128. W styczniu r. 1604 sami Kozacy rozbijają oddział Stefana Stefanowicza Godunowa (Bussow).

mozwańcowi w kajdanach wysłanego do nich dworzanina Godunowa, czyto przez ajenta świrskiego uwiadamiać go o zeznaniach, jakie ataman Sofron na próbach ognia wydobywa z nadgranicznej straży Borysa Godunowa [1]).

Obok Kozaków, garnie się ku Samozwańcowi i czerń buntownicza.

Nim jeszcze przekroczył Dniepr, już za granicą taiła się dlań «wielka miłość w pospólstwie» [2]). Ledwo przestąpił granice a garść jego Kozaków z aryaninem Buczyńskim na czele stanie przed jakim grodem, zaraz czerń się buntuje i jak w Morawisku przy Czernichowie rzuca się na starostów i wojewodów i odsyła skrępowanych do obozu Dymitra. Z Putywla, z Rylska, z Komornickiej włości przywiodła tak samo wojewodów. Nowogródek siewierski stawił opór dlatego tylko, że wojewoda «mieszczany z czernią... w zamku strażą opatrzywszy w ciasnych miejscach pozamykali», ale mimo to «czerń w zamku utęskniona z życzliwością swą przeciwko carewiczowi JMci się odzywała», który starał się ją «do rozruchu przywieść» [3]).

---

[1]) Supl. Hist. Russ. Mon. str. 421; List Borysa Godun. do Zyg. III.

[2]) Sobr. gosud. gram. II, 175.

[3]) Nowiny z Czernichowa z 17 listop. 1604. Bibl. Ord. Zamoy. «Pudła czarne» (pod «Żółkiewski»); Nowiny z Nowogródka Siewierskiego 22 grud. 1604 (l. c. dissoluta). Sobr. gosud. gram. str. 170. Przed sojuszem z tego rodzaju «swawoleń-

Tu jest widoczna rewolucya od dołu, robota przewrotowa zupełnie odpowiadająca wychowankowi aryańskiej «kuźni» w Hoszczy.

A kiedy wojsko Godunowa zadaje Samozwańcowi zupełną klęskę, któż wtedy otuchy mu dodaje jeśli nie jedni tylko «chłopi hospodarscy» z Siewierskiej ziemi w niezmiernie charakterystycznym liście, w którym zaklinali go, aby zbyt nie brał sobie tego do serca, że ich oto przyrodzonych jego chłopów i ubogich sierot... opuściło rycerstwo narodu polskiego? [1])

A kiedy już w końcu zbliżył się do samej Moskwy Dymitr-zwycięsca, czyż nie wybucha w stolicy przeciw bojarom bunt pospólstwa i mieszczan, bunt biorący w obronę posła Samozwańca? [2])

Rewolucya społeczna w łonie samego państwa moskiewskiego (o której dobrze wiedział współczesny czerniec Ławry Troicko-Sergiewskiej, Abraham Galicyn) — to była właściwa «intryga», która wprowadziła Dymitra na arenę dziejową, a za nim cały legion innych Samozwańców... Może mniej barwna i mniej dramatyczna to intryga od innych,

---

stwem kozackiem» i przed niebezpieczeństwem przeniesienia się tego ruchu w granice samej Rzptej przestrzega Janusz Ostrogski w liście do Zamoyskiego z 8 lut. 1604. (Arch. J. Zamoy.). Na sejmie podobnież przestrzega on przed napadami Kozaków na dobra biskupstwa kijowskiego. Szczepkin l. c. XX, 234.

[1]) Hirschberg, 87—8.

[2]) Bussow. i Suppl. Hist. Russ. Mon. 424—5.

które misternie dla tej «tragedyi moskiewskiej» układali tacy jak Schiller, Puszkin lub inni czarodzieje słowa, — ale zapewne więcej zbliżona do prawdy.

Wewnątrz państwa moskiewskiego zatliła się, znalazła materyał palny i wybuchła pożarem cała «Dymitryada». Szczupłe zastępy polskich najemników, wyćwiczonych w boju, niezawodnie zaważyły na szali walk, protektorowie polscy dodali powagi nowemu pretendentowi do tronu, ale sprawy nie rozstrzygnęli.

Spalenie Przyłuków.

Dymitr «bawiłby się» dłużej «łotrostwem» śród kozaków — a może z czasem na czele samych tych zawadyackich synów stepu — ruszył w końcu jak Kosołap ku Moskwie, gdyby temu swawoleniu jego z kozakami w samych początkach nie przeszkodziła... interwencya władz polskich w Kijowie.

Wieść o «carewiczu» śród kozaków i ich zagony zanadto wielkich zaczynały nabierać rozmiarów, żeby na to z urzędu swego nie miał uwagi zwrócić wojewoda kijowski, Konstanty Ostrogski — i to tem więcej, że ten niespokojny czerniec przed swem «skozaczeniem się» przebywał przez pewien czas tak w jego własnych monasterach, jak i u marszałka jego dworu, Hoyskiego w Hoszczy. Że tam u Hoyskiego

ten awanturnik porzucił grecką wiarę i przystał do aryan — nic to nie obchodziło ani wojewody kijowskiego, ani archimandryty Elizeja Pleteniecckiego (który dał przez pewien czas gościnę temu czerńcowi w Ławrze Peczerskiej), boć jak tłómaczyli innym zbiegłym z Moskwy czerńcom: u nas w Polsce jakiej wiary kto chce, takiej się i trzyma. Kiedy jednak ten czerniec zaczął już swawolić z Kozakami i bawić się w politykę — wtedy już nie pozostawało nic innego wojewodzie, tylko kazać go pojmać. Ze spełnieniem tego zlecenia nie bardzo jakoś spieszył się archimandryta. Według podania[1]), raz nawet sam Samozwaniec przybył do Ławry Peczerskiej i był w jego ręku, ale archimandryta kazał mu dać jeść i pić i tak strzegł go niedbale, że skozaczony czerniec dowiedziawszy się o rozkazie Konstantego Ostrogskiego, zdołał zaraz wymknąć się z klasztoru. Wprawdzie potem znowu wysłał do Kozaków za zbiegiem starców ze sługami, dla pochwycenia tego «wywłoki», ale i ta wyprawa okazała się bezowocną. Już poprzednio przestrzeżony o tem dezerter umknął pogoni...

Dokąd jednak mógł schronić się teraz ten zbieg? kto mu da dach nad głową, kiedy potężne ramię wojewody kijowskiego wypędzało go nawet z pośród zażywającego największej swobody «towarzystwa» kozackiego? Ktoby mógł go osłonić przed

[1]) «Skazanie i pow.». Cztenia.

tym potentatem z oną straszną brodą, która, według podania, miała spoczywać na płachcie, rozesłanej mu na kolanach? Była tylko jedna znaczna rodzina kniaziowska, bardzo wówczas właśnie niechętna Ostrogskim, a szczególnie synowi wojewody, Januszowi, który podubiegł ją i wyrwał jej z rąk starostwo czerkawskie: Wiśniowieccy...

Wiedział, do kogo się uciec ten sprytny Bazylianin, kogo pójść... kusić o pomoc. Uszedł do Brahinia, do «kniazia Jadama».

Ażeby wzbudzić w księciu wiarę w swoje pretensye, użył ku temu: spowiedzi. Jak dla tego czerńca, był to istotnie wyborny środek. Jednał go jako «aryanina» w obliczu prawosławnego pana ze wschodnią cerkwią; niby zamykał tajemnicą usta osobie duchownej, której się zwierzył, a kazał jej wierzyć w jego wyznanie przy konfesyonale wypowiedziane, w jego roszczenia do tronu carskiego. Był to tak wyborny środek do zamydlania oczu ludziom, że nie jedyny to raz użył tego środka Samozwaniec, który jako wychowanek aryańskiej szkoły, niewiele sobie zapewne robił z tego rodzaju wyznań sakramentalnych.

Już poprzednio bowiem wyspowiadał się ze swych pretensyi przed samym archimandrytą peczerskim — niezawodnie z tym ukrytym celem, aby przezeń wpłynąć na wojewodę kijowskiego, Ostrogskiego; w przyszłości zaś po raz trzeci wy-

znaniem swem przy konfesyonale zyska sobie poparcie Jezuitów, a przez nich króla Zygmunta III...

Legendy późniejsze szeroko rozwodzą się o scenach, które odgrywał przy tej sposobności Samozwaniec w monasterze ks. Wiśniowieckiego [1]) przed igumenem (przełożonym klasztoru). Udaje chorego śmiertelnie — prosi spowiednika, aby w razie jego śmierci ogłosił, że tu zmarł Dymitr, syn Iwana Groźnego — błaga, by milczał jak kamień, w razie jego wyzdrowienia.

Oczywiście dowiaduje się o tem ks. Adam. Samozwaniec po pewnem ociąganiu się, wyznaje mu tajemnicę i przysięgą stwierdza słuszność swych pretensyi do tronu. Zrzuca następnie z siebie ubiór zakonny i przedzierzga się z czerńca brodatego w dzielnego mołojca. To ostatnie przeobrażenie, które miało nastąpić w łaźni — szczególnie obrazowo przedstawia inna legenda, według której Samozwaniec, uderzony w twarz przez Wiśniowiec-

[1]) Nie wiadomo, gdzie był ten monaster czy w samym Brahiniu, czy w sąsiednim Sielcu. Skazanie i pow. zapewne przeistoczyło «sielecki» na «stodolski», jak «Aleksander i Jerzy Swirscy» powstali tu z Adama i Jerzego Wiśniowieckich (w pewnej redakcyi została nawet nazwa «Wiśniowieccy» zamiast «Swirscy»). Istotnie Jerzy Wiśniowiecki posiadał *sąsiedni* Pieratyn (por. Sobr. gosud. gram., II, 172); wspomniana w «Skazaniu» miejscowość Sambor leżała w zadnieprzańskich Wiśniowiecczyznach (por. Źródł. dziej. XXI, 705). Autor pomieszał zapewne ten Sambor z Samborem Mniszcha, któremu dlatego, jako wojewodzie sandom. każe mieszkać tylko w Sandomierzu.

kiego (za niedbałą usługę w łaźni), miał tu dopiero zdradzić swe niby-incognito i na dowód błysnąć przed oczy księciu drogocennym krzyżem, który miał dostać w upominku od chrzestnego ojca, kniazia Mścisławskiego. Zaraz książę otacza swego sługę majestatem, godnym carewicza. Każe przynieść do łaźni strojne ubranie, oddaje mu do usług pięknie obitą dywanami świetlicę, ofiarowuje wspaniałą kolasę, sześć wierzchowców z bogatym rzędem, siodłami, pałaszami, pistoletami i zaraz zaprasza na ucztę, przyrządzoną na cześć «gościacara» przez samą księżnę...

Odtąd czerniec zaczął «jeździć w kolasach i w cugach i ludno» [1]).

Wieść o tem doszła i do uszu Borysa Godunowa. Ten Makbet rosyjski, którego od chwili wstąpienia na tron ciągle prześladował cień zamordowanego przezeń Dymitra, przeraził się tą wieścią ogromnie. W obawie, aby Polacy nie wyzyskali Samozwańca na jego szkodę, chcąc z góry uprzedzić wszelkie kroki, posłał natychmiast wielkie dary wojewodzie kijowskiemu, Konstantemu Ostrogskiemu, z prośbą, aby mu wydał tych trzech czerńców, którzy zbiegli z Moskwy. Ostrogski dwóch czerńców, którzy przebywali w jego monasterze, miał

[1]) Oskarżenie Barłaama; por. Bussowa. Według innej legendy, pod pościelą śmiertelnie chorego Samozwańca miano znaleźć testament, w którym wyznaje, że jest prawdziwym Dymitrem. O filiacyi legend por. Szczepkin l. c. XX, 315.

zatem wysłać do Brahinia [1]), aby przekonali się, czy tam bawi istotnie ten sam Gryszka Otrepiew, który w ich towarzystwie pielgrzymował z Moskwy. Wchodzą na dziedziniec, a tu obaj Wiśniowieccy (zapewne Adam i z sąsiedniego Pieratyna Jerzy) harcują z Samozwańcem i wprawiają go do rycerskiego rzemiosła. Ten ich natychmiast poznał, zaprowadził do świetlicy, gdzie suto ugoszczeni, padli przed nim i carem uznali...

Uwiadomiony o miejscu pobytu «carewicza», Borys Godunow posłał zaraz potajemnie gońca do księcia Wiśniowieckiego z przedstawieniem, że jeśli wyda mu tego oszusta, gotów mu odstąpić kilka pogranicznych grodów. Oczywiście była to wzmianka o Przyłukach i Śnietynie.

Książę Adam nie poszedł jednak na lep tych nader pociągających obiecanek. Sam nie chciał decydować bez porozumienia się z resztą rodziny, a szczególnie ze swym bratankiem Michałem Wiśniowieckim, do którego właściwie należały Przyłuki i Śnietyń, a który mieszkał daleko aż na Wołyniu, w Wiśniowcu. Z listu carskiego dobrze zrozumiał ks. Adam, że Samozwaniec przedstawiał obecnie dla Wiśniowieckich wyborny interes, czyli, jak wówczas mówiono, «dobrą okazyą», że też dlatego trzeba go w swych ręku zachować i przed

[1]) «Skazanie i pow.» błędnie: do «Samboru»! Por. tablicę genealogiczną Wiśniowieckich u Bonieckiego (Poczet rodów).

wszelkim atakiem zabezpieczyć — a więc przedewszystkiem uwieść go z niepewnego pogranicza moskiewskiego i z przed oczu zawistnych sąsiadów Ostrogskich — do Wiśniowca.

Któż wie — może roszczenia tego czerńca do tronu moskiewskiego nie są tak złudne, kiedy się ich tak boi Borys Godunow? Wszak ten pretendent w razie osiągnięcia korony gotów mu nietylko Przyłuki i Śnietyń, ale bodaj całą ziemię Siewierską odstąpić?... Widocznie w Moskwie musi Borys Godunow liczyć wielu malkontentów, kiedy do Wiśniowieckiego «ludzi moskiewskich niemało zaraz przybyło i twierdziło, że to własny Dymitr kniaź, i ogłosiło to przed wszystkimi ludźmi na Ukrainie» [1]).

Niewiele namyślając się, pismo carskie schował, odesłał gońca carskiego bez odpowiedzi i pośpieszył z «carewiczem» do Wiśniowca [2]). Tu dopiero pokazał swemu gościowi pismo Borysa. Zrozumiały przestrach ogarnął Samozwańca. Padł na kolana przed księciem i ze łzami miał rzec: «Bogu i tobie wiadomo, kto ja. Rób ze mną, co chcesz. Ja

---

[1]) Respons pp. posłów. Suppl. ad hist. Russ. Monum., str. 409, por. depeszę Rangoniego z 1 listop. 1603 «molti Moscoviti principali»: Pierling, Rome et Dem., str. 175.

[2]) Bussow; Barłaam. Błędnie w Słow. geograf., że Winiowiec był wówczas w rękach Czartoryskich. Por. Źródła dziej. XIX i listy Wiśniowieckich w Arch. J. Zamoy. z lat 1593—1603, pisane z Wiśniowca.

w twej władzy. Oddaję się na twe rozkazy». Kniaź go uspokajał, a tymczasem odbył niezawodnie naradę z resztą rodziny.

Właśnie bowiem tu do Wiśniowca wrócił dopiero co z dalekiej Wołoszczyzny bratanek ks. Adama, ks. Michał. Wracał z sutych godów weselnych, z Soczawy, gdzie na początku czerwca tegoż roku odbyły się jego zaślubiny z Reginą, córką hospodara wołoskiego, Jeremiego Mohiły, (matką późniejszego «Jaremy»)[1]. Młoda hospodarówna przywiodła zapewne Wiśniowieckim na pamięć wspomnienia o owym zawadyace Dymitrze Wiśniowieckim, który sadzał swego czasu na tron hospodarski Samozwańca Heraklidesa i... skończył tak niefortunnie.

Wspomnienia te jednak nie ostudziły Wiśniowieckich w zapale dla sprawy Samozwańca. Nie udało się tamtemu Wiśniowieckiemu, może uda się im teraz. Zresztą, jeśli mają dobić targu z Godunowem, to nie trzeba się śpieszyć z wydaniem pretendenta, owszem zwlekaniem zmusić go do dalszych ustępstw. W tym zapewne celu książę Adam, zostawiwszy Dymitra w Wiśniowcu pod strażą wiernych sług, pośpieszył sam ku zadnieprzańskiemu pograniczu. Tu miał otrzymać od cara drugi list z daleko większemi jeszcze ustępstwami

[1]) Arch. J. Zamoy.; Hormuzaki. Docum. privit. istor. Romanilor.

nadgranicznemi dla Wiśniowieckich. Zarazem jednak miał podobno Borys Godunow nasłać tu ludzi z tajnem zleceniem zastrzelenia «carzyka».

Gdy jednak i to spełzło bez skutku, a Dymitr Samozwaniec przez całe lato i zimę bawił w Wiśniowcu i rósł w znaczenie, obwożony przez swego protektora po dworach sąsiednich panów [1]) — nie pozostawało już nic Borysowi Godunowowi tylko groźbą odstraszyć jego protektorów od dalszych kroków. Mógł wywrzeć na nich zemstę, bo wszakże miał prawie w swych rękach leżące tuż pod samą granicą — na spornych teorytoryach — zameczki Wiśniowieckich, Przyłuki i Śnietyń.

Zniecierpliwiony tedy ostatecznie, Borys Godunow, nie bacząc już na zawarty z Polską pokój, kazał wojewodzie czernihowskiemu i putywelskiemu wyruszyć z wojskiem i działami i zburzyć doszczętnie te dwie placówki. Czy wydając ten rozkaz, nie łudził się Godunow, że w tych zamkach Wiśniowieckich ukrywa się teraz sam Dymitr Samozwaniec? Przemawia za tem to, że wojewodowie nietylko spalili i splondrowali te miejscowości, ale nawet «i ludzi pokojem ubezpieczonych i do boju niegotowych, męskiej i żeńskiej płci i dzieci małe, wszystkich do człeka wymordowali» [2]).

---

[1]) Oskarżenie Barłaama.

[2]) Hischberg, «Polska a Moskwa». Dyaryusz Dyamentowskiego, str. 68. W redakcyi Nowakowskiego «Źródł. do dziejów»,

Był to dla Wiśniowieckich cios niespodziewany a straszny. Placówki najdalsze, mające być punktami oparcia dla szerzącej się na Zadnieprzu kolonizacyi zrównane z ziemią!

Cóż pozostało teraz czynić Wiśniowieckim? Czyż mieli znieść spokojnie, jak w ich oczach wytrącano filar z rosnącej ich przyszłej budowy, gdy wypychano ich napowrót z tego Zadnieprza, z tych pustyń, które zakupili od Bajbuzy i potwierdzenie zyskali od samej Rzeczypospolitej! Wszak za tym atakiem mogły nastąpić inne, a z nimi ich ruina... Wiśniowieccy, zadraśnięci do żywego, musieli teraz odpowiedzieć na ten napad, dać odwet Borysowi Godunowowi... Cofać się teraz było już za późno. Teraz trzeba było już koniecznie przeprzeć uznanie Samozwańca w Polsce, zyskać poparcie króla, z bronią w ręku wystąpić przeciw Godunowowi i odzyskać zameczki! Hospodarczyk był przedtem dla nich zabawką lub przedmiotem targu, teraz stawał się jedyną rękojmią odwetu...

Łuna, bijąca nad Przyłukami i Śnietyniem, dopiero na prawdę i to węzłem nierozerwalnym złączyła rodzinę Wiśniowieckich z Dymitrem Samozwańcem. Atak na Przyłuki — to jakby przygrywka

---

II, 74, zamiast «wszystkich do człeka» jest «*do trzechset człowieka*». Por. Pierling, «La Russie et la S. Siège», 47. Szczepkin l. c., XX, 309.

do całej następnej «tragedyi moskiewskiej», przewodni ton działania Wiśniowieckich. Istotnie też echo tej przygrywki daje się słyszeć przez cały czas następnej rozprawy z Borysem Godunowem.

Sami Wiśniowieccy całą «Dymitryadę» uważają jako odwet za napaść na Przyłuki. Wszak i Mniszech, który jako teść Konstantego Wiśniowieckiego doskonale wiedział o zamysłach domu Wiśniowieckich, całą następną wyprawę przeciw Godunowi (mimo zawarte z nim przymierze) wyraźnie tem usprawiedliwiał, że on «sam niedawno nasłaniem wojska na państwo króla J. M., a na majętności książąt Ich Mci Wiśniowieckich (przymierze) zwiolował» [1]).

Wiedział dobrze o tem i sam car Godunow i dlatego w liście do króla Zygmunta, występując przeciw poplecznikom Samozwańca w Polsce, stara się zarazem wytłómaczyć swe postępowanie, przedstawiając oczywiście genezę całej tej sprawy zupełnie odwrotnie:

«Wiśniowieccy — pisał — chytrością swoją w naszem hospodarstwie w siewierskiej ziemi, Przyłuckie i Śnietino horodyszcze sobie przywłaszczają i chcą posiadać. A to Przyłuckie i Śnietino horodyszcze — od początku nasza ojczyzna hospodarów wielkich. A o tych ziemiach przedtem przed wielkimi hosudary, cary ruskimi i przodkami

[1]) = złamał. Listy Żółkiew., 134.

waszymi, polskich królów i do tych czasów nijakiej przyczyny i upominania nie bywało; a w teraźniejszy przymierny czas przy tobie, Zygmuncie królu, takowe sprawy marne i waśni pełne poczynają się, czego przedtem nie bywało. A czynią to Wiśniowieccy swawolnym obyczajem i łotrowskim, jakby nie mając nad sobą was, hospodara i panów rad...» [1])

Na nic się nie zdały te przedstawienia, «cień Banka» rósł i olbrzymiał.

Odmowa hetmańska.

Wiśniowieccy żyli dotychczas z hetmanem Zamoyskim w jak najlepszej przyjaźni. Książę Michał dawał temu niejednokrotnie wyraz. Jak tylko jego «ludkowie ukrainni w jego majętności zadnieprskiej» pojmą w niewolę garść Tatarów, zaraz część tych brańców wysyła książę w podarunku hetmanowi [2]). Stosunki te stały się jeszcze bardziej serdeczne dzięki swatom i staraniom Zamoyskiego o skojarzenie związków małżeńskich między ks. Michałem a Reginą, córką hospodara wołoskiego. Jego bowiem dziełem były te zaślubiny, za co odwdzięcza-

[1]) Ms. Bibl. publ. Petersb. Pol. F. IV, 119; Sborn. Kn. Obolen., Moskwa, 1838. Nr. 8; Szczepkin lc. XX, 311.

[2]) Arch. J. Zamoy. 15 paźdz. 1599 r.

jąc się, obie strony zaprosiły uroczyście hetmana na gody weselne do Soczawy i ze czcią przyjmowały wysłanego na nie jego przedstawiciela [1]).

W kilka miesięcy zaraz po tych zaślubinach przyszło Wiśniowieckim zwrócić się ponownie do kanclerza z prośbą o poparcie w sprawie Samozwańca. Wieść o doszczętnem zrujnowaniu Przyłuków i Śnietynia kazała Wiśniowieckim starać się o pomoc państwową przeciw tak potężnemu, zagniewanemu na nich władcy sąsiedniego mocarstwa. Któż im w tej mierze łacniej może podać rękę, jeśli nie mąż tak przemożny w Rzeczypospolitej, a tak im życzliwy — jeśli nie kanclerz i hetman Zamoyski? Nie odmówi chyba im pomocy, boć przecie sam niedawno prowadził na hospodarstwo wołoskie właśnie tego samego Jeremiego Mohyłę, z którym dopiero co Michała skoligacił? Czyżby nie przyzwolił im naśladować tak uderzającego przykładu i zwracać miał uwagę na tak drobiazgowe różnice, jak to, że wówczas nie było zawarte przymierze z Wołoszą, jako teraz z Moskwą...?

Pełen zatem dobrej otuchy, kniaź Adam skreślił 7-go października 1603 r. w Wiśniowcu list

---

[1]) Arch. J. Zamoy. 4/IV 1603. Wiśniowiecki do Zamoyskiego z zaproszeniem na to wesele; Zamoyski wysyła Piaskowskiego (T. IV, Nr. 20 brulion bez daty), za co z Soczawy dziękuje 6/VI Mohyła, a 7/VI Wiśniowiecki: L. Hormuzaki, «Dokumente privitoare la istoria Romanilor Supl. II, Skupiewski», Bucuresci, 1895, 285, Nr. CXLIII.

do hetmana. List ten, to pierwszy poważny krok podjęty przez Wiśniowieckich celem przeparcia uznania Samozwańca w Rzeczypospolitej. Jest to dotychczas nieznany a najwcześniejszy list o zjawieniu się Dymitra w Polsce.

Oto tekst tej epistoły kniazia Adama:

«Iż mi się *w dom mój trafił* człowiek, który mi się zwierzył, że jest synem Iwana, owego Tyrana Wielkiego Księstwa Moskiewskiego i *chce potrzebować* pomocy J. Kr. Mci, Pana naszego, aby mógł otrzymać stolicę przodków swych; donoszę to tedy W. Mci, memu mciwemu Panu, jako stróżowi i miłośnikowi dobremu Rptej. Gdyż też W. Mć mój mciwy Pan, *wszystek dom nasz*, powolnych swych, miłować i miłościwym panem i przyjacielem być raczysz, ważę się o radę, co z tem czynić, prosić. *Nieprędkiego* oznajmienia W. Mci o nim nic inszego przyczyna nie była, jeno żem i *sam barzo o tem in dubio*[1]) *był*. Teraz tedy, iż sam *więcej dwudziestu Moskwy różnemi czasy niedawno do niego przybiegło, przyznawając mu to państwo iure naturali*[2]) *należeć*, jakoż *testimonii gratia*[3]) W. Mci, memu mciwemu Panu, posyłam *nowiny z Moskwy* i od pana starosty ostrzeskiego pary listów terminy[4]), z których W. Mć zrozumieć

[1]) W wątpliwości.

[2]) Prawem przyrodzonem, dziedzicznem.

[3]) Na świadectwo.

[4]) Streszczenia, regesty.

będziesz raczył i mnie co tam z tem czynić oznajmić racz, uniżenie proszę, jako mego mciwego Pana» [1]).

* * *

Oto list, który rozpoczął całą Dymitryadę: kryją się w nim ważne świadectwa historyczne. Zdaje się nam stwierdzać niewątpliwie, że książę Adam w zaraniu całej sprawy istotnie nie występował czynnie, nie wytworzył sobie sam w pewnych celach Samozwańca, ale dawał się pociągać, pozwalał przekonywać gromadce malkontentów, którzy zbiegli do Samozwańca z państwa Moskiewskiego.

Widok garnących się do niego Rosyan, ich świadectwa, i wieści jakieś, przysyłane po myśli Samozwańca z Moskwy — wszystko to dowodziło, że warto popierać tego «włóczęgę», kiedy coraz większe uznanie znajduje w łonie samego społeczeństwa moskiewskiego. Nie dowodziło to jednak zupełnie jeszcze, że gość jego jest istotnie prawdziwym synem Iwana Groźnego, i tu z samego tonu listu zdaje się wynikać, że książę sam mimo wszystkie owe sceny legendarne, które księcia odrazu miały olśnić i przekonać — niebardzo

[1]) Arch. J. Zamoy. Oryginał. — Starostą ostrskim był Michał Ratomski. Przez tego nadgranicznego starostę dochodziły do Polski najświeższe nowiny z Moskwy.

wierzy jeszcze dotychczas w opowiadania tego «człowieka» i jak przez te kilka miesięcy pobytu Samozwańca w jego domu «o tem *in dubio* był», tak i nadal w tej wątpliwości pozostaje...

Zatem nie przeświadczenie o słuszności roszczeń tego dezertera klasztornego, ale żądza odwetu za zniszczenie placówek kolonizacyi Zadnieprza — chęć odzyskania tych straconych zameczków, podyktowała cały ten list, kazała mu załączyć świadectwa z Moskwy i inne przekonywające nowiny, a szczególnie wypisać ów frazes, że Dymitr «chce potrzebować pomocy J. Kr. Mci...»

Na tem tle zrozumiałem się wydaje, dlaczego teraz Wiśniowieccy przedstawiają sprawę Dymitra jako sprawę domu swojego; na tem tle lepiej daje się odczuć ów zwrot o człowieku, który «trafił się w dom mój» — i tę zręczną wzmiankę o miłości, którą zwykł Zamoyski otaczać «wszystek dom nasz».

Nie inaczej też rozumiał ten list sam Zamoyski. W odpowiedzi nań bowiem na samym wstępie i tak rozwlekle i szumno się rozwodzi: «...iż W. Mć przypominać raczysz zwykłą chęć moją przeciwko W. M. i *domowi W. Mci*, tedy na chęci mej nigdy się W. Mć nie raczy omylić. Jakom zawsze rad służyć W. Mci, tak jestem W. Mci przyjacielem życzliwym i do czegoby się służby moje W. Mci zgodzić mogły, najdzie mię W. Mć do posług swych gotowego». Uwydatnił to na wstę-

pie dlatego, bo zaraz potem odpowiedź brzmiała nie po myśli księcia. Ukazał bowiem, że takie rzeczy bywają prawdziwe, ale też i *zmyślone,* i dlatego jakby chcąc wytrącić tego Samozwańca z rąk samej familii Wiśniowieckich, radził odesłać tego człowieka do... króla, albo do siebie [1]).

Ta zimna odpowiedź nie bardzo snadź podobała się Wiśniowieckiemu. Musiał ten ostatni odpowiedzieć na to jakimś cierpkim listem tak, że Zamoyski uczuł się w obowiązku niejako usprawiedliwić się ze swego niechętnego dla tej sprawy usposobienia. «Iżem do W. Mć z strony tego hospodarczyka moskiewskiego pierwej pisał, — pisze hetman — czyniłem to, jako ten urzędnik, który niebezpieczeństwa koronnego przestrzegać powinien i jako uprzejmy przyjaciel W. Mci. Że go W. Mć chcesz J. Kr. Mci odesłać, dobrze to. *I tego też nie ganię,* że go W. Mć sam chcesz odwieść» [2]).

Z całej tej korespondencyi widać, że Wiśniowiecki bardzo ceni tę «dobrą okazyę». Widać to i z tych gniewów na hetmana, i z tej troskliwości o osobę Samozwańca, która każe mu nie wypuszczać tego pretendenta z rąk, ale osobiście zawieść go do króla.

Nim go jednak zawiezie do Krakowa, trzeba wprzód króla dobrze usposobić dla sprawy, trzeba

---

[1]) Listy Żółkiewskiego, Nr. 96, str. 129.

[2]) Minuta bez daty. Arch. J. Zamoy.

wysłać przedtem jakieś dowody, świadczące o słusznych pretensyach swego gościa...

Wygotowuje zatem i przesyła przodem królowi cały opis historyi ocalenia Dymitra... [1])

Memoryał ten stał się podstawą rozszerzonej następnie po całej Europie legendy o uratowaniu Dymitra przed siepaczami przez podsunięcie innego chłopca. Miał to zrobić jakiś jego wychowawca, który oczywiście nie miał nic lepszego do roboty, tylko wkrótce potem przenieść się do wieczności...

Jest to zmyślona elukubracya, zawierająca błędy historyczne i posługująca się w razie braku danych samemi prawie anonimowemi osobami, pochodząca jednak od osoby, znającej stosunki w Moskwie i nazwiska duchownych moskiewskich [2]). Według depeszy nuncyusza Rangoniego, miano ją spisać u księcia Wiśniowieckiego na podstawie opowiadania samego Samozwańca [3]).

Czy w układaniu tego memoryału nie brał udziału może nawet sam książę? Wprawdzie kształcił

[1]) Summa relationis nuntii Ill. D. Adami Ducis Wiśniowicensis etc. (Fr. Nowakowski, Źródła do dziejów Polski, Berlin, t. II, 65—70. Jest to przedruk z książeczki (z r. 1606) znajdującej się w Bibliotece królewskiej w Berlinie, o której zob. Szczepkin lc. XX. 294, 297.

[2]) Por. Pierling, «La Russie» 339 i t. d.

[3]) Por. «Nowyj Letopisec» (Szczepkin lc. XXI, 561).

się swego czasu w szkołach jezuickich w Wilnie [1]), wyrobił sobie tam zapewne pióro wprawne i barwne, które mogło wyjść z użycia śród tych krwawych kątów ukrainnych, ale mogło pewnie jako tako służyć przy układaniu tej ramoty... Dowodów na to nie mamy jednak żadnych, oprócz chyba jednego, zresztą bardzo niepewnego śladu w liście: mianowicie użycie w memoryale tego samego prawie zwrotu (o tem, że Samozwaniec «iure naturali deberi sibi principatum ostendit»), który właśnie znajduje się w powyżej przytoczonym liście jego do Zamoyskiego [2]).

* * *

Mnóstwo ludzi uwierzyło w tę historyę. Pierwszy, który się na tym falsyfikacie poznał i na sejmie w obliczu całej Rzeczypospolitej wyszydził, był nie kto inny, tylko sam Zamoyski. «Powiada, — mówił w swej oracyi — że kogo innego zamiast niego zadławiono. Taką rzeczą można było i kozła abo barana podłożyć. Przebóg! czy to Plauta, czy Terencyuszowa komedya? Jeśli to podobna kazać kogo zamordować, zwłaszcza w owem państwie, a potem nie patrzeć, jeśli ten a nie inszy

[1]) List Jezuity Ławickiego. Pierling, Rome et Demetrius, Pièces justificatives str. 211.

[2]) «Przyznawają mu to państwo *iure naturali* należeć» por. Nowakowski, II, 65.

zamordowany!....» Od pierwszej chwili hetman powziął nieufność do tego kniazika moskiewskiego i nic już nigdy nie zdołało w nim jej osłabić. Kiedy dokoła niego apostołowie zasad nieugiętych, jak król, Jezuici, nuncyusz itp., zaczynają mile uśmiechać się do przyszłego monarchy i popierają jego sprawę, «sam tylko pan hetman był temu *contrarius*» [1]).

Dzięki też Zamoyskiemu Rzeczpospolita z sejmem (i król przynajmniej oficyalnie) trzymała się zdala od całej awanturniczej wyprawy. Dzięki jemu «państwo polskie nie wsparło Samozwańca»[2]).

Kiedy Wiśniowieccy i Mniszech pod niebo wynosili nowego pretendenta do tronu moskiewskiego, wówczas posiwiały w krwawych wyprawach króla Stefana hetman, pisał do Mniszcha pamiętne słowa, które trzeba było wyryć wówczas na spiżu:

«Padać czasem nie źle kostka, ale rzucać ją o rzeczy wielkie nie radzą. Idzie o niebezpieczeństwo i szkodę koronną, idzie o zmniejszenie sławy J. Król. Mci i narodów naszych. Może ten tam sąsiad (t. j. car moskiewski), wyparszy te ludzie nastąpić na państwa koronne, palić je, pustoszyć a niemasz gotowego na uczynienie wstrętu. Może i z swemi konfederaty z różnych miejsc

---

[1]) Wotum Mniszcha r. 1611. Hirschberg 59—60.

[2]) P. Gołubowskij, «Czto możno skazat' o licznosti Łżedymitra I?», *Istoricz. Wiestnik*, maj r. 1902, 507, 508.

na Rzeczpospolitą gas (tj. cios po ciemku) uczynić...» [1])

To szczytne a mądre stanowisko podzielali w Polsce wszyscy stronnicy Zamoyskiego, prawie wszyscy senatorowie i mnóstwo sejmików szlacheckich. W izbie poselskiej Zamoyszczycy wszystkich tych, którzyby samowolnie przymierze z Moskwą dla tego «hospodarczyka» złamać chcieli, piętnowali wyraźnie mianem zdrajców ojczyzny [2]).

Tę niechęć przeciw Samozwańcowi podzielali jak wiadomo tacy potentaci ukrainni, jak książęta Ostrogscy a szczególnie żarliwie przeciw Wiśniowieckim i Mniszchowi występujący ks. Janusz Ostrogski, kasztelan krakowski, ów znienawidzony rywal Wiśniowieckich.

Uważał za swój obowiązek — właśnie jako starosta czerkaski przeszkadzać w całej Dymitryadzie Wiśniowieckim. Przedewszystkiem uwięził Kozaków dońskich śpieszących z poselstwem do «kniazika» moskiewskiego i dopiero, gdy ks. Roman Rużyński przyniósł mu wieść o pogróżkach Kozaków dońskich, zamyślających rzucić się z zemsty za to na jego dobra — gdy co więcej sam nawet król kazał mu tych posłów kozackich puścić

---

[1]) Uzupełniono tu słowa, które opuszczono w «Listach Żółkiewskiego» wskutek nieczytelności pisma. (Arch. J. Zamoy.).

[2]) «Perdueles». Rozprawy wydz. hist. fil. t. XV, str. 217, 205 por. głosy senatorów u Szczepkina t. XX, 228.

na wolność — usłuchał króla, ale oburzony do żywego na ten rozkaz królewski po myśli Wiśniowieckich wydany, narzekał gorzko na króla, że zjednywając sobie sympatye Kozaków, już niejednokrotnie wystawia go na gniew tych awanturników: «już po trzykroć bywam kokoszą, na której jastrzębia łowią, czwarty raz już też wierę komu innemu poruczę» [1]). Nie przestawał odtąd rozpisywać jak najostrzejszych listów do senatorów przeciw temu «Moskwicinowi» [2]), a gdy mimo wszelkie przedstawienia ostatecznie Dymitr z uzbieranem wojskiem ciągnie już ku granicy, kasztelan krakowski wprost naciera na jego zastępy, razi roty Samozwańca [3]), usuwa promy na Dnieprze itp.

Wszystko to dowodem, że Wiśniowieccy i Mniszech mieli w swem przedsięwzięciu wielu wyraźnych a potężnych przeciwników, pod wpływem których sam nawet król dla pozoru musiał oficyalnie występywać przeciw wyprawie tego «carzyka».

---

[1]) Dwie ceduły z r. 1604 Ostrogskiego do J. Zamoyskiego (Arch. J. Zamoy.).

[2]) List Ostrog. do Zamoy. z 8 lutego i 26 sierpnia 1604. (Arch. J. Zamoy.). Czy nie przeciw sprawie Dymitra zmierza poselstwo Hoyskiego (dawnego pana Samozwańca), którego Konstanty Ostrogski śle w sprawach i potrzebach «pospolitego się dotykających»? List tegoż Konstantego z 14 czerwca 1604 do Zamoy. (Arch. J. Zamoy.).

[3]) «Zbrzińskiego rotę porażono w majętości Pana Krakowskiego 100 koni». Nowiny z wojska carzykowego z 17 listopada 1604. Bibl. Ord. Zamoy. Dissoluta.

Gdyby nie potężny wpływ jezuitów i nuncyusza Rangoniego, — kto wie, czy dzięki tak silnej opozycyi «kniazik moskiewski» nie straciłby i tej szczupłej pomocy, jaką zyskał w Polsce i nie został... na lodzie.

Gniewy książęce.

Nie będę powtarzał znanych szczegółów o roli, którą odgrywają w następnej historyi Samozwańca Wiśniowieccy. Przypomnę chyba tylko, że dzierżą i na dal pierwsze skrzypce. Początkowo nie śpieszą się z odstawieniem swego elewa królowi. Po pewnej dopiero zwłoce książę Adam zawiózł pretendenta do Konstantego Wiśniowieckiego do Załoziec, gdzie zbiegi z Moskwy w Samozwańcu «poznają» prawdziwego Dymitra [1]). Sceny tego «poznawania» powtarzają się w Samborze, u Mniszcha wojewody sandomierskiego, do którego zawiózł go Konstanty Wiśniowiecki, jako do ojca swej młodej żony Urszuli (pojął ją właśnie dopiero co na początku tegoż r. 1603). Tu układają się zaraz swaty Dymitra z drugą córką Mniszcha, Maryną, poczem «carzyk» udaje się do Krakowa, do króla i Jezuitów... Do Krakowa zawiózł go nie, jak początkowo

[1]) «Poznawania» przez Inflantczyka nie działy się w czasie pobytu Samozwańca u ks. Adama (jak chce ks. Pierling), ale dopiero u ks. Konstantego.

zamyślał, sam ks. Adam. Zaniemógł podobno i usprawiedliwiwszy się z tego powodu listownie przed królem, polecił zawieźć Samozwańca ks. Konstantemu...[1]).

Tu w Krakowie Konstanty Wiśniowiecki, a razem z nim i jego teść Mniszech tak się niebawem zakrzątnęli około sprawy «kniazika», że cała akcya zupełnie wypadła z rąk pierwszego jej protektora ks. Adama. Drażniło to tego ostatniego do tego stopnia, że nawet wieść o jego dąsach w tej mierze i niechęci, obiła się o uszy krakowskiego Jezuity Wielewickiego [2]).

Głównej roli w tych gniewach księcia Adama nie odgrywa zdaje się jego obrażona duma. Przypomnieć sobie trzeba, że właśnie wówczas Dymitr w zamian za obiecaną sobie pomoc i rękę Maryny wystawił Mniszchowi osobną «asekuracyę», w której zapisał mu z góry księstwo Smoleńskie i Siewierskie.

Ziemię Siewierską? A cóż na to ks. Adam? On pierwszy podał rękę Samozwańcowi i nie miał

---

[2]) Mylnie podają niektóre źródła, że zawiózł go sam ks. Adam (por. Suppl. Hist. Russ. Monum. 411 i oskarżenie Barłaama). Pisze bowiem Zygmunt III do Zamoyskiego (Cedułka z r. 1604 w Arch J. Zamoy.): «Jest nam oddany list od kniazia Adama Wiśniowieckiego, którym daje znać, że tego to Moskwicina kniazika przez brata swego stryjecznego kniazia Konstantego Wiśniowieckiego, sam niesposobnego zdrowia będąc, posyła do nas...»

[2]) Invito pene Adamo.

dostać nic w nagrodę, może nawet i owych najbliższych pogranicznych posiadłości: siewierskiej ziemi z Przyłukami i Śnietyniem? Więc z tej «okazyi» ma skorzystać tylko ten chytry wojewoda sandomierski, Jezuici, król, — a on nic?

Wszak Mniszech mu ni brat ni swat; był teściem dalekiego kuzyna Konstantego? Toż to dziewiąta woda po kisielu!

Zagniewał się kniaź brahijski na «carewicza», niewdzięcznika, i zupełnie przestał pracować dla jego sprawy. Jeszcze w styczniu r. 1604 w Łubnach, w miasteczku ks. Michała Wiśniowieckiego, oddalonem ledwo o kilka mil od granicy moskiewskiej, gromadziła się «colluvies» (zbieranina) ludzi swawolnych, chcąc prowadzić tego Moskwicina na tron carski, i w marcu nawet już zamyślała wkroczyć w granice moskiewskie tak, że nawet król surowymi rozkazami musiał powstrzymać te watahy kozackie od tego nazbyt pochopnego kroku[1]). Nagle (od czasu owych układów Dymitra z Mniszchem i królem o ziemię Siewierską) wszystkie te przygotowania ustają...

Sam jednak Dymitr dobrze rozumiał, że nieprzychylne usposobienie kniazia Wiśniowieckiego fatalnie mogłoby się odbić na jego przyszłej wyprawie. Wszak cała akcya wojenna przeciw Godunowowi miała rozpocząć się w okolicach zadnieprzańskich Wiśniowiec-

[1]) Hirschberg lc. 10, 26—7.

czyzn. Do nich to miał podążyć razem z Mniszchem i «podemknąwszy się pod granice, miał się z Moskwą sobie życzliwą znosić» [1]). Wszystko tu zależało od poparcia kniazia brahińskiego. Samozwaniec musiał zatem znowu uderzyć w pokorę i ponownie zwrócić się z prośbami do swego pierwszego protektora. Napisał w tej sprawie nawet do ks. Adama, ale odpowiedzi się nie doczekał... Dotknąć to przykro musiało Samozwańca, tem więcej, że już we Lwowie sposobił hufce do swej wyprawy moskiewskiej... Gniew był nie na miejscu. Nie pozostało mu nic innego, tylko po raz drugi zapukać do łaski księcia i taki list do niego wysłać:

«Oświecone Mciwe Książę!

Zalecam etc. Aczem na pierwsze [2]) pisanie moje od W. Ks. Mci odpisu nie miał, przyczyny inszej

---

[1]) Listy Żółkiewskiego, 133.

[2]) Nieznane. List powyższy w kopii spółczesnej znajduje się w Bibl. Ord. Zamoy. (Dissoluta) z nagłówkiem (spółczes.): «Copia listu Carewiczowego». Ręką z w. XVIII dopisano: «List Dymitra Carowicza do księcia Wiśniowieckiego». Do którego Wiśniowieckiego? Przyjacielem mógł zwać Adama lub Konstantego. Jeżeli Samozwaniec związek swój z Maryną Mniszchówną uważa tu już jako obowiązujący, to Konstantego, ożenionego z siostrą Maryny, raczej pozwoliłby sobie nazwać wprost szwagrem (por. «Wiśniowiecki, szwagier W. Kniazia», Pamiętn. St. Niemojew. Hirschberg, Lwów 1899, 87), a nie «powinnym». Zresztą Konstanty mieszkał tak blisko Lwowa w Założcach, był w tak bliskich stosunkach z Mniszchem, że list ten tylko ks. Adama może dotyczyć.

dać nie mogąc tylko jakiemuś nieszczęściu memu [1]), jednak mając ufność w łasce W. Ks. Mci, zdało mi się powtórzyć pisaniem do W. Ks. Mci, rozumiejąc, iż w tej mojej sprawiedliwości *pomocnym* mi będziesz raczeł być, jako *przyjacielowi całemu* i *powinnemu* należy. A ja cokolwiek łaski W. Ks. Mci w sprawach swych poznam, nietylko W. Mci *zadziaływać, ale i domowi W. Ks. Mci na potem oddawać będę powinien*. Zalecam powtóre etc. Ze Lwowa 19 mai 1604.

W. Ks. Mci życzliwy przyjaciel i *powinny* Dmitr Iwanowicz Carewicz Wielkiej Rusi, Ugleckie, Dmitrewskie, Grodeckie Książę, Pan i Dziedzic wszystkich państw monarchiej moskiewskiej podległych ręką swą».

Nie bez ukrytej myśli Samozwaniec w tym liście z naciskiem przypomina ks. Adamowi, że jest jego powinnym. Dawał tem do zrozumienia: jestem narzeczony siostry Konstantego Wiśniowieckiego, twego krewnego, więc dobra przyznane w owym tajnym układzie Mniszchowi pośrednio spłyną i na twój dom; wszak jako kuzyn powinieneś mię wesprzeć, boć to sprawa nasza wspólna... Więcej zdaje się od tych przymilań «kuzyna»

[1]) Nietrzeba sądzić, że ten list przypadkowo mógł zginąć. Wielu panów polskich wówczas nie odpowiadało Samozwańcowi, dając mu tem znać, że odmawiają mu poparcia (por. Listy Żółkiew. 136, 138).

przemówiła jednak do serca księcia i udobruchała go wyrażona w tym liście obietnica wynagrodzenia w przyszłości. List ten to była jakgdyby «asekuracya», w którym czarno na białem stało, że Dymitr «domowi W. Ks. Mci na potem oddawać będzie...» Czem? skarbami? czy może dobrami za Dnieprem?... [1]). Niewyraźna to była, ale zawsze jaka taka rękojmia, że ten niepewny człowiek przecie w przyszłości się odwdzięczy.

Powyższy «cyrograf» nie minął istotnie bez wrażenia na księciu. Kiedy bowiem Samozwaniec z uzbieraną drużyną zbliżył się w końcu ku Ukrainie i odbył uroczysty wjazd «zbrojno i strojno» do Kijowa, wówczas gawiedź uliczna śród grona jadących z nim panów ujrzała i «książę Wiśniowieckie», no a razem z tym ostatnim oczywiście i owego jego kompana zawsze pijanego, kn. Romana Rużyńskiego. I znowu chyba pod urokiem owych obiecanek Dymitrowych wkrótce potem w Łubnie w miasteczku ks. Michała Wiśniowieckiego, odbył się popis wojska Samozwańca i wypłata żołnierzom [2]).

W dalszą rozprawę, co prawda, kniaź Adam nie wdał się osobiście, jak to zrobił Mniszech w zamian za ustąpione w owej «asekuracyi» ziemie...

---

[1]) Później stawiano w Moskwie zarzuty, że Dymitr «inszym osobom obiecał grody jakie puścić». Pamiętn. Niemojew. Hirschberg, 1899, str. 105.

[2]) Script. rer. Pol. VIII, 233.

Nie zaniedbał jednak zapewne swego pupila zasilać kiedy niekiedy posiłkami, wysyłanymi ze swego pogranicza [1]).

O tych posiłkach zachowała się nawet pewna legenda.

Według niej, w czasie pierwszych swych zapasów z wojskiem Borysa Godunowa, przyłapał Samozwaniec po drodze niemało kupców, wysłanych potajemnie przez Godunowa do Jazłowieckiego, starosty śniatyńskiego, z prośbą, aby ten wszelkimi możliwymi sposobami stawiał przeszkody Samozwańcowi w czasie jego pochodu ku Moskwie. Wieźli oni dla Jazłowieckiego pieniądze od cara w łubkach miodowych, z wierzchu tylko miodem zamazanych. Dymitr odkrył to i część zabranych im pieniędzy rozdał swemu wojsku, część zaś posłał do kniazia Wiśniowieckiego i Rużyńskiego z prośbą o zaciągnięcie za to wojska i rychłe przybywanie z pomocą.

Kiedy niebawem potem carzyk nasz doznał klęski i ledwo już w Putywlu odpierał szturmy wojsk Godunowych, wówczas to nagle z odsieczą przypadło z tyłu na oblegającego nieprzyjaciela 800 jakiejś jazdy i wywołało w nim szalony popłoch.

---

[2]) W każdym razie nie przed 4 grudnia 1604 r., w którym to dniu z pod Nowogródka Mniszech skarży się biskupowi kijowskiemu, Kazimierskiemu, że «nikt nas nie posyła świeżemi ludźmi». Bibl. Ord. Zamoy. «Czarne pudła».

Sam jego wódz Godunow (krewniak cara) umknąć miał z całem wojskiem do poblizkiej puszczy... Tu w lesie znowu straszna zerwała się burza i zwalając drzewa, przygniotła resztę nieprzyjacielskiego wojska, tak, że ledwo wódz z życiem uciekł...

Po zwycięstwie dopiero przekonał się Samozwaniec, że tę odsiecz przywiedli mu Wiśniowiecki i Rużyński. Kiedy więc zajechali mu drogę, on dziękował im i obiecał sowicie ich po wstąpieniu na tron nagrodzić... [1]).

Kiedy ostatecznie Dymitr istotnie wkroczył w mury Kremla, wtedy ks. Adam nie zapomniał o tylokrotnych carskich obietnicach. Ledwo Dymitr złożył ze swych skroni koronacyjny dyadem Monomacha, a tu już koło niego kniaź Adam stoi i czeka: jakto teraz ich domowi «będzie zadziaływać» i za pomoc nagradzać?

Kniaź Adam tak cwałował do Moskwy, że stanął w niej już w tydzień po koronacyi (5 sierpnia). Dlaczego taki pośpiech?

---

[1]) Podanie to (Kognowicki, Życia Sapiehów. Wilno, 1791, II, 83—87) jest oczywiście legendą. Zdaje się jednak kryć w sobie prawdziwą wieść o jakichś posiłkach, wysłanych przez Wiśniowieckiego Dymitrowi. Że istotnie Wiśniowiecki ściągał posiłki dla Dymitra, dowodzi Samuel Maskiewicz, powinny Wiśniowieckich, który z pocztem swym pośpiesza do Brahinia, aby iść z księciem ku Moskwie. («Pamiętniki Maskiewicza, Wilno, 1838, 2—3 i 86). O jakiejś pomocy przysłanej pod Putywl, ale przez Ratomskiego, starostę ostrskiego, słyszano i w Moskwie (por. Suppl. Hist. Russ. Monum. 423).

Książę był... w wielkich opałach majątkowych. O fortunie bowiem kniazia na Brahiniu nie trzeba wytwarzać sobie zbyt górnego wyobrażenia. Główny zrąb majątków leżał w ręku ks. Michała, w kalecie zaś młodszego bratanka Adama tak bywało pusto (szczególnie teraz po tych zachodach około Dymitra), że wierzyciele kniazia nie posiadali się wprost z niecierpliwości. Niejaki Aleksander Rymaszewicz, nie mogąc w żaden sposób wydostać od księcia pożyczonej mu sumy, musiał przeprzeć wreszcie w urzędzie kijowskim egzekucyę tej sumy na dobrach brahińskich. Nie na wiele się mu to jednak przydało. Książę bowiem oparł się i nie dopuścił egzekucyi.

Sprawa oparła się zatem znów o sąd i przeciw księciu wypadł wyrok (28/VII 1604) [1]. Oto dlaczego tak śpieszył się po «złote runo» do Moskwy.

Na szczęście dla księcia, Dymitr dotrzymał słowa i istotnie darował księciu znaczną część skarbów zabranych Godunowowi [2]. Niestety, kniaź brahiński sądził, że jemu, jako pierwszemu jego protektorowi, który z ostatniego włóczęgi «zrobił» tak potężnego władcę... należała się daleko większa nagroda. Z drugiej strony i Dymitrowi obecność w Moskwie tego dumnego a niezadowolonego

---

[1]) Źródła dziejowe, Al. Jabłonowski, t. XXI, 486.

[2]) Ms. Ossolin. 168, f. 505 (cytuje Hirschberg; nie mogłem dostać się do tego Ms.).

kniazia, — świadka jego dawnej nędzy, była zapewne nie bardzo na rękę. Zaczęły się niesnaski.

Książę miał w planie dłużej przebywać w Moskwie, siedzieć w niej przez pół roku aż do Bożego Narodzenia [1]) i przez ten czas pozwalać się swemu elewowi obsypywać coraz to nowymi dowodami wdzięczności.

Niebawem jednak Wiśniowiecki, widząc, że jakoś nie nazbyt opływać zaczyna w fawory monarsze, zaczął utyskiwać na cara i po Moskwie rozpowiadać, że Dymitrowi w czasie jego pobytu w Polsce pożyczył był sumę 80,000, a teraz ten niewdzięcznik nic mu z tego nie chce zwrócić. Musiał te skargi, kompromitujące Samozwańca, rozgłaszać na prawo i na lewo, kiedy wieści o tem dochodziły aż do uszu przebywających wówczas w Moskwie kupców cudzoziemskich [2]). Może książę Adam nawet coś więcej rozpowiadał: może chwalił się tymi policzkami,

---

[1]) List Jezuity Ławickiego. Pierling, Rome et Demetrius. Pieces justific. 211.

[2]) Roussel Wiliam, The Report of a bloudie and terrible massacre in the citty of Mosco. London, 1607, (tłóm. pol.: Wiadomość o krwawej a strasznej rzezi, Poznań, 1858). Isaac Massa de Haarlem, Histoire de guerres de la Moscovie 1601—1610. Bruxelles, 1866, I 129, II 141, mówi o kilku tysiącach (ettelijcke dusenden) pożyczki. Zdaniem St. Niemojewskiego («Pamiętnik,» 118), Dymitr często «30.000 intraty, gotowizny 100.000 i więcej obiecał i upewniając, podpisał, a potem przyczyny rozgniewania (chociaż to nie stało za nic) szukał, aby tem obietnice spełznąć mógł». Por. Pierling l. c. 203.

którymi częstował Dymitra w swej łaźni? może zdzierał maskę z cara? Wszak był wspólnikiem jego planów w samem zaraniu jego karyery, wszak przybył do Moskwy z całem gronem swoich prawosławnych duchownych, którzy doskonale musieli znać Dymitra w czasie jego pobytu w Brahiniu, kiedy śród nich bawił jeszcze jako zwykły czerniec i urządzał ową komedyę ze spowiedzią...

Dymitr postanowił uwolnić się co prędzej od tych niemiłych gości. Niezawodnie na jego to zlecenie patryarcha dopatrzył się w ceremoniach odprawianych w Moskwie przez duchownych Wiśniowieckiego jakichś naleciałości łacińskich, rzucił na nich klątwę i wtrącił do więzienia, skąd ich ledwo za wstawieniem się ks. Adama wypuszczono na wolność. Zatarg przez to jeszcze bardziej się zaostrzył, a rezultat tego był taki, że Dymitr kazał księciu Wiśniowieckiemu Moskwę natychmiast opuścić.

Rozgniewany wrócił «argonauta» z Moskwy. Zupełnie bez łupu oczywiście nie wrócił. Chyba bowiem dowodem tych Dymitrowych «zadziaływań» jest tak znaczne zapełnienie się skarbony u księżny Adamowej Wiśniowieckiej, że może (9 listopada 1605 r.) wysłać swego powinnego Maskiewicza do Lwowa po sprawunki aż za kilkaset złotych [1]).

Mogło to radować księżnę, ale książę takiemi... drobnostkami nie dał się obałamucić. Jego plany

[1]) Pamiętnik Maskiewicza, str. 3.

sięgały dalej, hen poza Przyłuki, szybowały daleko stepami aż w głąb ziemi Siewierskiej. W chwili rozpoczęcia całej Dymitryady myślał, że tu rozpostrą się daleko jego zdobycze... Dziś, gdy nadzieje zawiodły, postanowił sobie to sam powetować.

Jakoż niebawem po wyjeździe księcia nadeszły do Moskwy wieści, że kniaź Adam, zebrawszy kupy żołnierzy polskich, którzy niezadowolili się zapłatą Dymitra, rzucił się na pograniczne ziemie i zwyczajem wojsk niepłatnych zapamiętale je plondrował, burząc wszystko dokoła. Pomagał mu w tem starosta ostrski, Ratomski, który również porzucił w Moskwie Samozwańca... [1]).

To była ostateczna zemsta za zburzenie Przyłuków, a zarazem zaokrąglanie Wiśniowiecczyzn jak najdalej za Dniepr!

Po tem wszystkiem zamknął się książę w Brahiniu i nie wziął już najmniejszego udziału w pochodzie swadziebnym Polaków, śpieszących z Maryną (i ks. Konstantym Wiśniowieckim) do Moskwy. Losy Dymitra «niewdzięcznika» już go nie obchodziły, i nie dotknęła go zaszła w Moskwie katastrofa Dymitra, ani rzeź Polaków, podczas której jego kuzyn ks. Konstanty musiał się w jednym dworze zabarykadować i, broniąc się tłumom wzburzonym, «sam bić ich z łuku nienajgorzej...»

---

[1]) Roussel; skargi Dymitra na Ratomskiego przed Zygm. III (Suppl. Hist. Russ., 423).

Inną niż ks. Konstanty, więcej pewną drogą poszli ks. Adam i Michał Wiśniowieccy. Oznaki ich działań zjawiły się niebawem. Oto po sądach dają się słyszeć coraz częstsze skargi na nich o przyjmowanie w dobrach Przyłuki chłopów zbiegłych z sąsiednich włości: oczywiście, że to była restauracya zamku przyłuckiego i osiedlanie nową ludnością otaczających go pustynnych stepów. Kolonizacya na szeroką skalę objęła niebawem nietylko Przyłuki i Śnietyń. Niebawem w ręce Wiśniowieckich dostają się i miejscowości za granicą położone, i Monasterzyska, i Romne, i Putywl [1]).

Latyfundya rosły, a na nich coraz potężniał i krzepił się magnacki ród Korybutów Wiśniowieckich. Przerósł swych rywali Ostrogskich. Zaraz wychodzi z tego gniazda wielmoż takiej miary, jak sławny «Jarema», a potem syn jego Michał, który osiągnął szczyt marzeń «królewiąt» polskich — koronę...

* * *

Inaczej skończył popierany przez Wiśniowieckich Dymitr Samozwaniec. I on ledwo wstąpił na tron carski, zamarzył o insygniach wawelskich. I on sięgnął — jak dziś już stwierdzono — po tę polską koronę, podkopując razem z rokoszanami

[1]) Źródła dziejowe XXI, passim. Słownik geograf. Wolff, Kniaziowie.

BIBLIOTEKA NAUKOWA ARD

Zebrzydowskiego — tron Zygmunta III. Zamiast polskiej korony inna ozdoba miała ustroić tego nieszczęsnego wybrańca losów...

Był to piękny dzień majowy 1606 roku, kiedy na Krasnym Placu w Moskwie leżał na deskach, wystawiony na widok publiczny, trup Dymitra Samozwańca. U jego stóp leżał trup jego wiernego hetmana Basmana. Dokoła tych zwłok nie cisza grobowa, ale nieopisany zgiełk i wrzask naigrawających się z nich tłumów. W usta Samozwańca jakiś szyderca włożył zwykłą piszczałkę, na nim zaś położono jedną z masek, które przywiózł Samozwańcowi perfumiarz krakowski, Marsylio. Zabobonny tłum śród huraganu śmiechów natrząsał się z tej maski, jakoby Dymitr czcił ją jak bożka i chciał zmusić lud do oddawania jej czci boskiej.

Maska ta po dziś dzień pokrywa postać Samozwańca...

Warszawa, mai 1903.

ROLA JEZUITÓW
W DZIEJACH RZPLITEJ POLSKIEJ

(KILKA ZASTRZEŻEŃ)

Mało jest zjawisk w naszych dziejach, o którychby sąd historyków był tak chwiejny, a nawet do dziś tak niejasno wyrażany, jak rola Towarzystwa Jezusowego w naszej przeszłości politycznej. Nie będę sięgał zbyt daleko. Dość wskazać na sprzeczności w poglądach ostatniego pokolenia historyków. W spuściźnie przekazało nam ono wprawdzie kilka nowych spostrzeżeń, poruszyło i wyszczególniło kilka punktów spornych, sam jednak problemat, sam węzeł gordyjski oddało nam nierozwiązany. Rzec nawet można, że wahania sądów równie daleko sięgają, jak i przedtem. Jakże odskakują bowiem ostatnie apologie Zakonu od tak niepochlebnej krytyki, jaką wypowiedział o wpływie Zakonu na politykę Zygmunta III Bobrzyński! Jakże bardzo wahają się sami najpoważniejsi przedstawiciele starszego pokolenia (jak Szujski) nawet w swych własnych w tej mierze poglądach!

I nie dziw. Potrzeba była nagląca, by jaknajrychlej stworzyć sobie jakąś syntezę dziejów, nagwałt trzeba było uogólniać, nim sprawę w szczegółach przetrząśnięto i zbadano. Badać możnaby

dopiero w drobiazgowych «przyczynkach» i monografiach specyalnych z dziejów Zakonu, których brak daje się odczuwać bardzo, — więcej może nawet, niż ogólnych koncepcyi. Nie przeszkadza to oczywiście, że z całą życzliwością powitać należy dzieło naukowe o szerszym zakroju, a cóż dopiero mówić o dziele, traktującem naukowo o całych dziejach Towarzystwa Jezusowego w Polsce. Zadanie to olbrzymie, tem trudniejsze, że brak właśnie przedwstępnych drobiazgowych opracowań. Napisać historyę tego zgromadzenia, które, posiadając najbardziej sprężystą organizacyę ze wszystkich instytucyi, w Polsce, taki wpływ wywierało w XVII i XVIII wieku na całe nasze społeczeństwo, bo i na króla, którego jezuita spowiadał i dla którego kazanie prawił, i na panów i na szlachtę, którą wychowywał od dzieciństwa w swych kollegiach, i na mieszczaństwo, które wiązał w bractwa, i na lud wreszcie, dla którego urządzał misye, i na całe wschodnie kresy państwa, gdzie propagował katolicyzm i unię, i na całą naszą literaturę— budownictwo, — umysłowość wogóle; napisać taką historyę, oczywiście według wymagań dzisiejszej krytyki historycznej, to znaczy zapełnić wielką lukę w dziejach naszej cywilizacyi i oświaty, naszych obyczajów i religijności.

Świeżo ukazało się we Lwowie (r. 1900 i 1901) dzieło, zakrojone na bardzo szerokie rozmiary, pod tytułem «*Jezuici w Polsce*». Całość obejmuje pięć

potężnych tomów[1]). Trzy pierwsze już wyszły. Tom pierwszy, imponujący rozmiarami, obejmuje dzieje zakonu do r. 1608.

Ten tom najwięcej ze wszystkich zapowiedzianych budzi interesu. Zawiera bowiem najciekawszy okres dziejów jezuitów polskich, dobę ich najruchliwszego działania, bo pierwszego ich zorganizowania się w kraju i gorącej walki z różnowierstwem polskiem. Ten tom rozstrzyga o wartości całego dzieła.

Autor — bardzo płodny pisarz — *ks. Załęski*, sam członek tegoż zakonu, pracował nad tem dziełem, jak zapewnia na wstępie, przez lat trzydzieści, mając zamiar stworzyć «dzieło naukowe, a dające się czytać łatwo z zajęciem, jak p o w i e ś ć». Z ciekawością zabrałem się do czytania, podniecony jeszcze oceną tego dzieła, którą wyczytałem w «Kwartalniku historycznym», oceną tak pochlebną, o jakiej tylko marzyć mogą pracownicy pióra. Nazwano tam to dzieło «monumentalną publikacyą».

Usposabia na wstępie bardzo mile zapewnienie autora, że pisze «ściśle przedmiotową historyę», że w «badaniach i sądach starał się być bezstron-

[1]) Tom I. 1555—1608. Walka zakonu z różnowierstwem. Tom II. 1608—1648. Praca nad spotęgowaniem ducha wiary i pobożności. Tom III. 1648—1772. Misyjna praca Zakonu (nad ludem zwłaszcza). Tom IV. 1564—1773. Kronika domów jezuickich w Polsce. Tom V. 1773—1820. Resztki skasowanego Zakonu na Białej Rusi (aż do czasów dzisiejszych).

nym» i zawsze zmierzał ku «ścisłości historycznej». To też spotykamy niebawem raz w raz ustępy, zaczynające się od słów: «Prawda historyczna każe nam wyznać»; «Prawda historyczna każe i to wyznać» i t. d. Ale spotykamy i wyrażenia, trochę z tem nie licujące, bardziej ostre i szorstkie, jak bezustannie używany na oznaczenie ewangelików i wogóle różnowierców wyraz «heretyk», «herezya», «zheretyczały», «herezyą zarażony», «herezyą nadpsuty, «herezya i idące z nią w parze błędy i występki» (str. 73), «chwastem herezyi i ignorancyi gęsto zarosłe pole pracy otwierało się przed jezuitami» (183). «Pokora nie była zaiste cnotą heretyków, więc żółknieli z zazdrości» (380); lub takie zwroty, w których się autor lubuje, jak «ministrowie zbiegali się do «herezyarchy» Radziwiłła, jak «kruki do ścierwa, a brały jurgielty i żebrały o nowe» (181—2).

Właściwą historyę jezuitów poprzedził autor ogólnym wstępem o ustroju Rzplitej. Nie powiem, żeby dla samego dzieła ten wstęp mógł uspokoić krytyka dodatnio; jest to jeden z najmniej udatnych rozdziałów w całej książce [1]). Jest to wią-

[1]) Więcej już wartości przedstawia drugi rozdział wstępny o organizacyi samego Towarzystwa Jezusowego, bo więcej na poznaniu i doświadczeniu osobistem oparty. Z porównania tych dwu wstępnych rozdziałów powstaje jakby wrażenie kontrastu, który może autor zbyt jaskrawo przedstawił — między nierządem w Rzptej a sforną i rządną organizacyą Zakonu. Szczegół-

zanka uogólnień, które pisać zazwyczaj najłatwiej. Szkicował je też autor zamaszyście z wielkim rozmachem pióra, które biegnąc za jakimś drobnym szczególikiem, wiodło go nieraz daleko, daleko poza granice samego tematu. Tak np. rozpisuje się autor ni stąd ni z owąd bardzo szeroko o stanowisku... kata w Rzptej (56), rozpowiadając żywo że często kat trudnił się obok zwykłego swego krwawego zajęcia i leczeniem, że do niego należało czyszczenie kanałów i kloak miejskich; a to znów naprowadza autora na myśl o innem podobnem zajęciu i każe mu podzielić się z czytelnikiem wiadomością, że «majster szerokiego pola, czyli, jak tłómaczy w nawiasie: hycel, czuwał nad zdrowiem bydła, grzebał padliny, chwytał psy i wściekłe koty». Wszystko to może niezmiernie cenne i ciekawe szczegóły dla historyi i kultury, ale co te kloaki, katy, hycle i te wszystkie psy i wściekłe koty mają wspólnego z jezuitami w Polsce? Autor w tym wstępnym rozdziale zbyt się zapatrzył w drobiazgi i stracił zmysł oryentacyjny, odczucie perspektywy, tak potrzebne w tworzeniu większego syntetycznego dzieła.

Rozdział wstępny ma rzucić przed oczy czytelnika obraz Rzeczypospolitej w chwili, gdy w jej progi wstępowali i w niej się zagnieżdżali jezuici.

---

nie ciekawe są uwagi autora o «niewoli ducha» i «tresurze zakonnej» (str. 87—88).

Doznajemy wrażenia, że zastali ją już w tak okropnym stanie zniedołężnienia, że już jej więcej zepsuć nie mogli... Z kart tych wieje czarny pesymizm ostatniej generacyi naszych historyków. Autor widzi wszystko złe, wszystko przewrotne, wszystko wyjątkowe i anormalne w ustroju Polski i, aby to udowodnić, wymienia całą litanię wad, zaczynając monotonnie każdy ustęp od złowrogich słów: «Wielkim błędem było, że...» i t. d. i t. d. «Błędem było, że» i t. d. «A już koroną błędów było, że...», — z czego sumuje autor wyrok surowy: wszystko, co działo się w Polsce pod względem rządu, wojska, prawodawstwa, działo się «w sprzeczności z tem, co się na zachodzie Europy działo» (10): wyrok, którego stanowczy ton umiarkowałyby może nieco gruntowniejsze porównawcze studya powszechnodziejowe.

Właściwie rozdział ten jest zbiorem samych cytat i wyimków z historyi Szujskiego i Bobrzyńskiego, powiązanych szeregiem oklepanych biadań i przestarzałych lamentów (właściwie zupełnie nie naukowych) — na temat ustroju Rzptej, jako wykrzywionego i spaczonego, jedynego pod słońcem, dziwotwora z formą rządu «najswawolniejszą, najniepraktyczniejszą, fałszywą, niemożliwą» (460—461), z formą rządu republikańską, w której król schodził do rzędu dożywotniego prezydenta pierwszej lepszej republiki (234), z formą rządu, do któ-

rego przywyknąć mogło tylko «obałamucone» i «spaczone sumienie ogółu» i t. d. i t. d. [1]).

Było więc źle w Polsce, — ale okropne stosunki w Rzptej doszły do szczytu wówczas dopiero, gdy w niej rozszerzyła się reformacya. Nie wierz, żeby ta epoka reformacyjna, epoka Zygmuntów była złotą: była «pozłoconą tylko i rdzą wszelaką gęsto obsiadłą». Strach, co się w niej nie działo! «Ze zmianą wiary... Polska rozluźniła się w obyczajach, zdziczała aż do barbarzyństwa prawie... (którego oczywiście przedreformacyjne średniowiecze nie znało...). Herezye zerwały tamę... ludzie odczłowieczali się więc i odspołeczniali» (str. 29). «Czysta ewangelia» sprowadziła wcale nie czyste, a powszechne rozluźnienie obyczajów» (czy przed reformacyą trudno było się go doszukać?) (str. 12). Słowem zaroiło się w Polsce od okropnych grzechów. Całe ich stosy wylicza autor w uwadze (str. 29) (dopuszczali się ich ludzie oczywiście tylko w czasach reformacyi), podkreślając takie brzydkie rzeczy, jak lubieżność w poezyi i t. p. Właściwie temu wszystkiemu, jak i wogóle

[1]) Tym, którzyby mieli nieco łagodniejszy sąd o tem wszystkiem, autor daje... polityczno-społeczną markę: «Azali krom zapamiętałych demokratów radykalnych, którzy się niczego nauczyć i niczego zapomnieć nie chcą czy nie umieją, azali nie wszystkie szkoły historyczne wskazują na niepojęte skąpstwo dla Rzptej, niezgodę, poniewieranie królem, na złe prawa, brak rządu i sprawiedliwości, a stąd bezkarność i swywolę, jako na tyleż wewnętrznych przyczyn upadku Polski» (732)?

rozszerzeniu reformacyi, jak i upadkowi władzy królewskiej, winien jeden człowiek: Zygmunt August. On «liberalny» i «tolerantny» «tchnął jakoby tego ducha niemocy i rozkładu w maszynę rządową» i społeczeństwo [1]).

Na innej stronie dowiadujemy się jednak znowu, że właściwie nie tyle Zygmunt August, ile różnowierstwo w organizm społeczny wszczepiło anarchię. Herezya ta wprowadziła anarchię i rozkład w publiczne życie i wszelkie instytucye kraju, w całe społeczeństwo (41), (498), ona tronowi była wroga (165 [2]).

Autor, aby dać przykład, jak to reformacya podkopywała Polskę i jad w jej organizm wszczepiała, przedstawia zdarzenia w czasie pierwszego bezkrólewia. Zaczyna od szeregu pytań następujących (które skracam):

Jak Zygmunt August mógł dopuścić, aby kwestya elekcyi tronu w niczem a niczem przygotowaną, tem mniej uregulowaną nie została? Jak

---

[1]) Na innej stronie wbrew temu spotykamy raz wreszcie jedną porównawczą uwagę, oświadczającą, że ten «liberalizm» polski nie był wówczas czemś znowu wyjątkowem, bo tę samą drogę kompromisu obrać kazały stosunki Karolowi V.

[2]) O jezuicie Marianie, który nie okazał zbyt wiele wiernopoddańczych uczuć w swem dziele: «De rege et regis institutione» autor zaznacza tylko, że był «najśmielszym pisarzem swego wieku», choć nadawała się sposobność ku szerszym wyjaśnieniom genezy dekretu generała (r. 1614), zakazującego pisać jezuitom, jakoby godziło się zabijać tyranów.

się stało, że owi mądrzy posłowie nie dołożyli starań, aby tę sprawę zabezpieczyć? Jak się stało, że nikomu z ministrów nie przyszła ochota przedstawić Zygmuntowi Augustowi przepaści i nakłonić, aby przecież coś konkretnego w tej mierze postanowił? Czy oni wszyscy, król, senat, szlachta dotyla byli politycznie ograniczeni albo dotyla niepatryotyczni? Ani jedno, ani drugie. Jakże się to więc stało, kto tu zawinił, na kogo spada odpowiedzialność za nieszczęścia, które *electio viritim* na Rzptą sprowadziła?

Z naprężoną uwagą czekamy na odpowiedź, którą podaje w końcu autor krótko i węzłowato w dosłownem brzmieniu: «Na reformacyę».

Na dowód tego między innemi podaje autor wiadomość, która ma popierać uogólnienie autora: oto przytacza, że właśnie protestant Rej wraz z grupą posłów różnowierczych przekłada wniosek elekcyi nie viritim, ale przez reprezentacyę (przez senat i izbę poselską lub jej połowę) i że nie kto inny, tylko właśnie odwrotnie «partya katolicka» i biskupi nie życzyli sobie elekcyi przez izbę poselską, gdyż obawiali się, aby wpływowi w izbie różnowierczy posłowie nie trzęśli zbytnio całą elekcyą; «przeciwnie, pewniejsi byli wyboru katolika, jeżeliby go wybierała wszystka na polu elekcyi szlachta, bo znaczną jej część składali Mazowszanie, znani z swej żarliwości katolickiej». A stąd wyłania się ten jasny, jak słońce wniosek: «Tak więc refor-

macya swem zuchwalstwem, którego się obawiano, spowodowała wotum większości katolickiej wybierania króla *viritim*».

Oto próbka ścisłej logiki. Zamiast oświadczyć, że *pacta conventa* i wszystkie prawa elekcyi były przywilejem, zdobytym i uchwalonym przez całą szlachtę (mniejsza o to, czy katolicką, czy protestancką), autor koniecznie chce stąd ukręcić bicz na «herezyę». Biskupi pragnęli, by wybierała szlachta wszystka, różnowiercy zaś, aby wybierała izba, i dlatego to oczywiście różnowiercy winni są, że ustanowiono elekcyę *viritim*, bo się przecież ich... bano. Do tego rodzaju «naukowej bezstronności, nie zasępionej żadną tendencyą», nie przywykła dostatecznie jeszcze owa biedna *magistra vitae*, którą przecież codziennie wszyscy poczciwi ludzie spragnieni owych wskazówek życiowych nakręcają i wplatają w koło własnych tendencyi i zapatrywań, wedle upodobania bezustannie powtarzając owo tak częste: «Przecież historya nas uczy...» «Wszak historya dowodzi...» «Z historyi nauczyliśmy się przynajmniej tego, że...» i t. p. i t. p.

Trochę może autor za stanowczo głosi, że nierząd w Polsce narodził się z reformacyi i że «najkrzykliwszych trybunów owej anarchii dostarczało różnowierstwo» (245). W mig bowiem suną zaraz sylwetki «anarchistów» wyznania katolickiego, którzy wymownie mogą dowieść, że nie jedno wyznanie, ale cała ława szlachty bez różnicy wyznań

biła taranem o tron monarszy. Nasuwa się choćby postać — Zebrzydowskiego, jednego z pierwszych wychowanków jezuitów, owego «łowcy dusz» innowierczych, dobrodzieja zakładów jezuickich, fundatora Kalwaryi Zebrzydowskiej, który przecież pisze rokoszowe listy do króla z żądaniem przemienienia dotychczasowego postępowania na inne po wysłuchaniu zamówionej na intencyę króla wotywy do Przemienienia Pańskiego [1]), a umarł w habicie bernardyńskim tercyarzem tegoż zakonu...

Co do reformacyi jedna jeszcze uwaga. Jak wiadomo, w r. 1573 uchwalono tak zwaną «konfederacyę warszawską», którą popularnie uważa się za piękny wyraz tolerancyi religijnej śród «narodu» szlacheckiego w Polsce. Wbrew temu autor godzi

[1]) Rembowski, «Rokosz» Bibl. Krasińskich r. 1893, 115. Niemałym powodem do namiętnego wystąpienia tego wojewody krakowskiego przeciw małżeństwu króla z Konstancyą i wogóle całego rokoszu była prócz niechęci przeciw Austryi zarazem odraza do bezbożnego ślubu z rodzoną siostrą poprzedniej zmarłej małżonki Anny. Komiczne sprawia wrażenie, jak Zebrzydowski zgon papieża Klemensa VIII i niebawem Leona, jego następcy, którzy zezwalali na to bezbożne małżeństwo, tłómaczy sobie, jako palec Boży, jako wskazówkę, że król nie powinien popełniać tego «kazirodztwa» (Bibl. Krasiń. Rembowski, 369). Ascetycznej głowie to wystarczało. Bardziej katolicki, niż sam papież, oświadczywszy sobie, że «tedy niepodobna, aby go (króla) Pan Bóg skarać, i tej zaś korony pozbawić nie miał» (lc. 107), postanowił Panu Bogu pomagać, i to tak zaciekle, że nawet jezuici, jak Skarga, nie mogą go pohamować i powstrzymywać od wywołania pamiętnego rokoszu.

się (222) ze Skargą, że była ona wolnością bluźnienia Bogu, krzywdzenia matki kościoła, zrażaniem dusz ludzkich herezyami, gardzeniem biskupów, wolnością nieoddawania tego, co się nieprawnie katolikom zabrało. W każdym razie powinien był autor, zaznaczając, że tego rodzaju konstytucya «dopełniała błędnego koła instytucyi polskich» (jak mówi autor w tytule § 25), dodać, że jednak nie była ona czemś niesłychanem w Europie, anormalnem, że ostatecznie była stworzona na podobieństwo wszystkich «pokojów» religijnych w zachodniej Europie [1]).

Autor wytyka w niej jeden błąd, że zawierała rzecz wstrętną, mianowicie «o pomstę do nieba wołającą niesprawiedliwość», wprawadzając «najgorszą z tyranii», bo niewolę sumień biednych poddanych, bo według niej inaczej wierzyć i modlić się nie było wolno, tylko tak, jak dziedzic kazał.

Budujący entuzyazm autora dla sprawy ludowej i gorące jego oburzenie na szlachtę potrzebuje jednak kilku objaśnień i zastrzeżeń. Popierwsze, takie a nie inne pojmowanie konfederacyi warszawskiej przez współczesnych jest jeszcze do dziś kwestyą sporną; odsyłam autora do cennych uwag w tej sprawie prof. Zakrzewskiego [2]). Po

---

[1]) Por. moja «Nienawiść wyznaniowa tłumów za rządów Zygmunta III». Warszawa, 1902, str. 26.

[2]) W krytyce pracy Lubowicza («Kwartalnik historyczny» t. IV).

drugie, nie można sądzić owych wieków według pojęć XIX czy XX stulecia. Znowu brak powszechno-dziejowej porównawczej miary. Zasada «czyj kraj, tego i religia» obowiązywała w całej Europie, — obowiązywać mogła i u nas w «państwach» szlacheckich.

A już myli się wprost autor, oświadczając, że nikt prócz biskupów nie podniósł głosu protestu przeciw niewoli chłopów (223) i że wogóle «herezye» przyczyniały się do pogarszania doli poddanych. Zdaniem jego właśnie dlatego na Litwie sroższa była niewola ludu, że tam «herezye grasowały swobodniej», podczas gdy katolika-dziedzica miała więcej miarkować «obawa sądu Bożego i kary piekła» (65) — jakgdyby tem samem nie przerażały swych wiernych i inne religie... A przecież w imię tych samych uczuć biorą synody ewangelickie w obronę kmieci w dnie świąteczne; autor powinien był znać wiadomość, podaną przez prof. Zakrzewskiego [1]), że już w r. 1558 synod protestancki występuje w Polsce przeciw ciemiężeniu poddanych. Wszak, jeżeli już mowa o jakichś społecznych dążnościach, to chyba najmniej krwawo lud uciskali owi najokropniejsi heretycy «aryanie», co z drewnianą chadzali karabelą. Wszak, jak to wykazał prof. Brückner w swych niepospolitych rozprawach «Z dziejów różnowierców pol-

[1]) Rodzina Łaskich. Ateneum. 1882.

skich»[1]), już wówczas w imię słów biblijnych taki socynianin, jak Jakób z Kalinówki, rzucał się na synodzie z protestem na ustach przeciw wszelkiej niewoli wogóle! Nie dokładam już tak ogólnie znanych pism Frycza, pism tak wczesnych, że trochę za przesadnem mi się wydaje zdanie autora, że głos jezuity, ks. Skargi, w obronie ludu był «pierwszym głosem...»

W końcu — co do poglądów autora na reformacyę — jedna ogólna uwaga. Ostatecznie zgoda, że autor ma swoje tendencye i konsekwentnie je w dziele przeprowadza; ale mamy prawo żądać znajomości przedmiotu, a tej nie widzimy. Co więcej, autor jest niepoprawny. Przed 14 laty wytknięto mu w «Kwartalniku historycznym» błąd, jaki popełniał, licząc w Polsce aż 32 s e k t y; autor zaś w dziele niniejszem znowu tę czarodziejską liczbę raz w raz powtarza, pomstując na Polskę, — jako asylum wszelakich herezyi... oczywiście nie próbując choćby na chwilę wymienić ich po po kolei. Powtarzam: nie chodzi nam o to, czy autor pomstuje, czy nie na «heretyków», ale o to, żeby ich znał. A autor ich nie zna. Wybitnym tego dowodem jest błąd, niby to drobny, a jednak odrazu wyjawiający, że autor nie bardzo zapoznał się z tymi «heretykami». Jeżeli bowiem kto tak, jak autor, za czasów Zygmunta III — ustawicznie takiego

[1]) Ateneum. 1896, tom II, str. 21.

Piotra Gorajskiego, głowę polskich kalwinów, nazywa (625, 627) «hersztem aryanów», odznaczającym się specyalnym jakimś «aryańskim rankorem» (633), — tego samego Gorajskiego, który znany był, jako nakładca postylli kalwińskiej, a przedewszystkiem właśnie ze swej «helweckiej» niechęci i odporności wobec aryanów, który był nawet «dyrektorem» synodów, wysyłających odmowne odpowiedzi na przyjazne listy i zaprosiny do zgody ze strony aryanów[1]), — ten w dzieje kontra-reformacyi za Zygmunta III nazbyt się nie zagłębił[2]),

---

[1]) Listy te z 27 VI 1612 r. w «Acta synodia in districtu minoris Poloniae» K. 70—72. Rękopis Bibl. Ord. Zamoy. Nr. 1182, Powód błędu tkwi w tem, że autor nie bada imion swych bohaterów. Ten Gorajski jest Piotr, nie Adam (por. Siarczyński, Obraz wieku).

[2]) O tem samem świadczy § 60 dzieła. Na podstawie akt miasta Torunia robi autor uogólnienie (535—6), że tylko miasto Gdańsk i Toruń dostały przywileje królewskie na swe wyznanie na lat 4 i że na podstawie tych przywilejów różnowiercy rozciągnęli to pozwolenie królewskie na wszystkie miasta i na zawsze. Czyżby autor nie znał dokumentów drukowanych jeszcze w r. 1786 przez Friessego (Beiträge) — dla koronacyjnego miasta Krakowa, a więc największe mających znaczenie dla miast polskich, dokumentów z r. 1569 i 1571 z terminem właściwie nieograniczonym.

«Wynalazkiem» autora jest mandat Zygmunta III z r. 1592, wydany na naleganie biskupa Rozrażewskiego do wojewodów i starostów, ze zleceniem, aby się w jurysdykcyę biskupią nie wdawali. Ni stąd ni z owąd ten mandat królewski autor wydyma do znaczenia epokowego «edyktu z r. 1592« (547), od którego

nawet należycie nie przestudyował podstawowych w tym razie dzieł Łukaszewicza, gdzieby się mógł przekonać o swej omyłce.

Właściwe dzieje Zakonu prowadzi autor mniej więcej w porządku chronologicznym, poczynając od r. 1555, kiedy to pierwszy raz na ziemi polskiej stanął jezuita Alfons Salmeron, towarzysz żyjącego jeszcze podówczas Lojoli, poczem snuje opowiadanie o założeniu pierwszych kollegiów i gniazd jezuickich.

Dzieje jezuitów za Stefana Batorego niewiele przynoszą rzeczy nowych. Są mniej więcej powtórzeniem tego, co autor dawniej już pisał o Batorym, a co spotkało się swego czasu z tak surową oceną w «Kwartalniku historycznym». Nowszą za to część i ciekawszą przedstawiają dzieje Zakonu za «króla jezuitów», Zygmunta III. Na nią zwrócę główną uwagę.

Mimo wszelkich zastrzeżeń, mimo wszelkich pochwał, oddanych Zamoyskiemu, — naogół ks.

---

dopiero datuje się właściwa reakcya katolicka, rewindykacya kościołów przez biskupów i usuwanie z miast zborów przez wojewodów, kasztelanów i starostów! Na dobitkę autor pomieszał zupełnie i zidentyfikował sprawę rewindykacyi kościołów ze sprawą jurysdykcyi biskupiej. Uchwała sejmowa rewindykacyi kościoła katolickiego w kościele P. Maryi w Gdańsku równać się miała przywróceniu jurysdykcyi biskupiej w tem mieście (537)? Sam autor oświadcza (543 uw. 1), że mimo, iż czasem biskupi wzywali przed swój sąd pastorów, ci nigdy nie stawali, «i na tem się zwykle kończyło».

Załęski występuje, jako apologeta Zygmunta III. Zaznacza (str. 459), że pod tym względem nie jest zresztą samotnym, że owszem historyk Walewski napisał był swego czasu historyę Zygmunta III, w której go przedstawia jako «największego» króla Polski. Niestety, praca ta znajduje się dotychczas w rękopisie, dlatego nie możemy wiedzieć, na jakich argumentach oparł Walewski swe przełomowe twierdzenia. W sprawie znanych «praktyk rakuskich» jego z Ernestem o odstąpienie Habsburgom korony polskiej w zamian za Estonię (dla Szwecyi) i 400.000 zł. (dla samego Zygmunta III) i t. d. autor bierze w obronę Zygmunta III (§ 53), uniewinnia go, broniąc go przed nazwą «krzywoprzysięzcy», jaką mu dał Szujski, i występując stanowczo przeciw zarzutom Bobrzyńskiego, który tego rodzaju postępowanie uznał za oszustwo, spekulacyę na rachunek narodu, otwartą zdradę kraju. Obronę króla opiera autor na tej podstawie, że w tajnym układzie piśmiennym, czyli tak zwanej «asekuracyi» między Ernestem a Zygmuntem III znajduje zapewnienie, że ustąpienie tronu polskiego Ernestowi stanie się «za uchwałą i zgodą stanów polskich» *(legitima electio)*. «Szczegół to bardzo ważny, powiada autor, i nie pojmuję, jak mógł ujść uwagi zacnego Szujskiego, który tę asekuracyę tak, jak ja, czytał w archiwum tajnem wiedeńskiem».

Czy jednak ten «szczegół» istotnie sprowadza

zupełne «uniewinnienie» postępku Zygmunta III? Pomijam, że autor mógł był trochę podznaczyć ostatnią uwagę we wspomnianej asekuracyi, w której powiedziano, że, jeżeliby w Rzptej stany robiły przeciw punktom owej ugody jakie trudności, to je Ernest usunie. Zwrócić chciałbym tylko uwagę autorowi, że, jeżeli już ma sądzić o legalności lub nielegalności tego rodzaju «konszachtów», to trzeba je sądzić według praw, wówczas w Rzptej obowiązujących. Tem zaś dziwniejszem wydać nam się musi postępowanie Zygmunta III, jeśli zważymy, że przecież dostał się na tron polski tylko dzięki odrazie, jaką czuła szlachta przeciw *absolutum dominium* Habsburgów; a mimo to, wiedząc o nieubłaganym antagonizmie Zamoyskiego i jego partyi do Austryi, — z tymiż Habsburgami w tajemne wchodzi układy, aby wbrew woli swoich wyborców ustąpić im tronu w zamian za osobiste i Szwecyi korzyści.

Sam autor, uniewinniając to, czuje się w kłopocie i robi to w sposób niezupełnie jasny. «Dlaczego (Zygmunt III) sam obierał następcę po sobie, dlaczego nie złożył korony w ręce narodu — szlachty? Bo... chciał Rzptej oszczędzić niebezpieczeństw bezkrólewia, a sobie i Szwecyi zapewnić korzyści, do których miał prawo. Dlaczego więc wypierał się (potem na sejmie) wszystkiego, Maksymilianowi (który odkrył te konszachty przed senatorami polskimi) zarzucił fikcyę, zmyślenie?

Bo... dzięki Zamoyskiego zawziętości zrobiono mu z tego *crimen* (a więc snadź według wyobrażeń prawno-publicznych, współcześnie w Polsce panujących, był to *crimen*...), *a on* czuł, że go nie popełnił, a jako król przyznawać się do tej winy nie mógł. Ileż to razy w polityce, dyplomacyi wypierali się królowie swoich czynów, poleceń, rozkazów!»

* * *

Z całej historyi jezuitów najbardziej oczywiście zaciekawia historyka «politycznego» stosunek jezuitów do polityki w Polsce. Czy wpływali na nią? i jak? Jak szczególnie działo się za Zygmunta III, którego zwie się «królem jezuitów», «monarchą zasad», «wychowankiem synów Loyoli» i t. p.?

Zaczyna autor od tej ostatniej nazwy.

Zdaniem autora «wychowankiem jezuitów» przezwali Zygmunta III współcześni «heretycy» i późniejsi liberalnego posiewu historycy (453). Co prawda, nie przypuszczałem, że to autor będzie uważał za przezwisko. Dawnymi czasy jezuici, owszem, chwalili się tem (Skarga w kazaniu wiślickiem), że «jeszcze w dzieciństwie i młodziuchny będąc i dorastając, zamiłował sługi swe (jezuitów) królewicz szwedzki (Zygmunt III). Zdaniem autora jednak, Zygmunt III nie był faktycznie wychowankiem jezuitów, bo dopiero w 12-ym roku życia

zajęli się jego wychowaniem jezuici, odtąd co prawda już go na krok nie odstępując. A zresztą — dodaje autor — chcecie, żeby był wychowankiem jezuitów? Dobrze. «Niechże i tak będzie» (str. 456), ale z tem zastrzeżeniem, że nawet, gdyby jezuitów uważać za jego wychowawców, to wszystkich jego wad i złych stron jego charakteru nie można kłaść na karb wychowania jezuickiego, ale na barki samego Zygmunta. «Były to bowiem wady urodzenia, a nie wychowania» (457). Albowiem «smutny, przygnębiający, a pełen trwogi i niepokojów był nastrój matki przezacnej Katarzyny Jagiellonki, gdy chodziła w ciąży i karmiła swego Zysia», stąd to jego jedna wada z urodzenia: usposobienie zasępione (458) i t. p.

A końcu Zygmunt III, zdaniem Szujskiego, panując tak, jak panował, «miał racyę», więc «jeżeli tak, to znowu niema się co tak gniewać na edukatorów jego, ani też oni nie potrzebują zrzucać odpowiedzialności z siebie, że go tak wychowali» (480).

Niepewni ostatecznie, czy właściwie Zygmunt III był, czy nie był «wychowankiem jezuitów», przechodzimy do najciekawszej kwestyi, do stosunku jezuitów do polityki. O niej autor z góry zdaje się mieć przekonanie jasno i pewnie zakreślone. Już w przedmowie (str. 10) uprzedza autor wyniki swych badań, oświadczając dobitnie, że

«jezuici od stronnictw i walk politycznych trzymali się zdala».

Jest to kwestya, którą głównie mam zamiar w niniejszej recenzyi poruszyć, zaznaczając przytem z góry, że nie obchodzi mnie tu, czy działanie jezuitów polityczne było dodatniem, czy nie. Chodzi mi tylko, czy było p o l i t y c z n e m.

* * *

Na wstępie autor roztrząsa stosunek jezuitów do spraw politycznych ogólnie i zasadniczo, a to na tle zachowania się jezuitów, na dworze królewskim bawiących, więc spowiednika i kaznodziei. Zaczyna od syllogizmów (§ 57). «Każdy król ma i musi mieć najbliższe otoczenie dworskie«, więc i Zygmunt III «miał i musiał mieć» otoczenie dworskie, miał i musiał mieć jednych zaufańszych od drugich i t. d. i t. d.; i po tak kunsztownie ułożonem rusztowaniu rozumowań dochodzi przezornie do samych jezuitów nadwornych. Zaprzecza jednak ks. Załęski, jakoby ci jezuici nadworni należeli do tego otoczenia, do «kamarylli». Nie! on ich zalicza tylko do «kółka domowego» króla; owa kamarylla mogła zajmować się sprawami publicznemi, ale to «kółko domowe», a więc i ci jezuici nadworni — gdzieżby tam! Król chętnie w kółku familijnem przebywał i często do niego jezuitów zapraszał, wiele rozmawiał, nawet z braciszkami pożartował. Że roztrząsanie

spraw publicznych z takich ściśle rodzinnych zebrań było wykluczone, to jasne, boć król... wytchnienia w nich szukał, był zresztą małomówny, nie wywnętrzał się łatwo i przed byle kim. Skarga w swym dyaryuszu wspomina nieraz, że był na obiedzie u króla, że mówiono tam o tej, o owej sprawie publicznej, o wypadku dnia; oprócz Skargi byli u stołu i inni zacni goście, o jakichś więc... tajemnych konszachtach, intrygach mowy być nie może...

Mniejsza o to, że biskup Piasecki w swej kronice zaznacza, że jezuici w prywatnych rozmowach z królem, do których droga stała im zawsze otworem, naprzykrzając się królowi, tak go ścisnęli, że wszystko za ich radą czynił. Oczywiście ten kronikarz jest stronniczy i jezuitom niechętny. A zresztą, po prawdzie, ci jezuici nadworni (508 uw.) to same prawie niedołęgi, starcy i t. p. «Nie nadawali się» oni na doradców politycznych króla, boć jakże królowi mógł coś doradzać taki np. jezuita Bekan, kiedy przecież on cierpi na podagrę; drugi znów jezuita Fabrycy, jest ciemny prawie na oba oczy, a trzeci Seidel ma znowu inną przeszkodę, bo cierpi na kamień... Ale znowu nie wszyscy byli niedołędzy: jezuita Merkwart i jezuita Bembus niemałe mieli zdolności i t. d. «Co do jezuity Skargi, to, znając jego miłość ojczyzny, chyba tylko życzyć sobie wypadało, aby król jak najwięcej w sprawach publicznych z tym

kapłanem nadwornym rozmawiał, do rady swej wzywał i głosu jego słuchał. Niestety, nie było tak. Do r. 1606 przynajmniej (do rokoszu Zebrzydowskiego), jezuici dworscy trzymali się zdala od wszelkiej ingerencyi do spraw publicznych, wymawiali się od wszelkich protekcyi, chociaż ich nachodzono, a gniewano się, że odmawiają...»

Zaciekawieni pytamy się, skądże autor wybrał sobie właśnie ten rok rokoszu 1606 za niewzruszoną granicę (o tej granicy nieraz wspomina potem autor np. 508). Oto dlatego, że w tym roku Skarga publicznie przed stanami, zebranymi w Wiślicy, na kazaniu zaprzeczył, jakoby jezuici w świeckie sprawy i rządy się wdawali lub za kimkolwiek u króla orędowali [1]).

Przyznaję, że nie bez znaczenia jest to świadectwo Skargi. Ale zawsze to świadectwo, bądź co bądź, jezuity w obronie jezuitów, i to wypowiedziane w chwili, gdy miano ich z miast Rzptej wydalić właśnie z powodu mieszania się ich do spraw politycznych. Rozstrzygającem nie może być to

---

[1]) Dotychczas zwykle inaczej zapatrywano się na tę datę r. 1606. Uważano, że rokosz, który wybuchnął takim potokiem skarg na jezuitów — z powodu «mieszania się jezuitów do spraw politycznych» — musiał mieć jakieś do tego podniety w zachowaniu jezuitów. Stąd raczej przypuszczano odwrotnie, że do r. 1606 działy się rzeczy, które wielu się nie podobały, a dopiero wybuch rokoszu umiarkował jezuitów. Więc jeszcze kwestya, czy rok 1606 jest terminem «a quo» czy «ad quem«.

świadectwo, choćby je wypowiedział człowiek tak świątobliwy. Historya jest historyą ludzi.

Świadectwo to, mem zdaniem, nie przedstawia wielkiej wagi dlatego, że Skarga inaczej, jak to się zwykle dzisiaj pojmuje, pojmował i inne zataczał granice dla spraw, które nazywamy politycznemi. Zdaniem jego, on, jako kaznodzieja królewski, nie potrzebuje się obracać tylko w ramach ściśle religijnych i dotyczących nabożeństwa, — on traktował kaznodziejstwo, «jako poselstwo wielkiego p o s ł a od wielkiego pana», — on może o nich mówić tak, jak poseł szlachty «może nauczać o wojnach, o prawach i rządach, o sądach i kontraktach, o policyi, o ekonomii, o sejmach... o ile to czci bożej i zbawienia ludzkiego służy. Już to piętnaście sejmów za panowania się odprawiło. Na każdym byłem posłem, ale nie z jednego powiatu». Sądził, że wprost w politykę wdawać się nie należy, ale, jak mówi we wspomnianem właśnie kazaniu wiślickiem, trzeba «*politykę do teologii naciągać*».

Dlatego to nie wiele dla nas wagi może mieć i świadectwo jezuity Argenti, naczelnika prowincyi polskiej, który w liście do Zygmunta III przypominał mu, że podczas sejmu w Warszawie w r. 1613 król sam na posłuchaniu na jego prośby oświadczył publicznie, że jezuici nie mieszają się do spraw politycznych. Rzecz jasna, że Argenti, jako naczelnik wszystkich jezuitów w całej Polsce,

wydobył to świadectwo od króla dlatego, że właśnie o to był krzyk w Rzptej. I król, i Argenti byli stroną interesowaną, na którą napadano i która się broniła. A przedewszystkiem równie, jak Skarga, i on pojmuje bardzo wązko sprawy czysto polityczne [1]).

Podobnież i dziś sam ks. Załęski pojmuje przez sprawy czysto polityczne — tylko te, które żadnego nawet pośredniego nie mają związku z religią, — no a takich niewiele. Oświadcza bowiem (506), że «sprawy państwowo-polityczne prowadzone być powinny w zgodzie z podstawami państwa, a więc z religią, moralnością, sprawiedliwością. Mieszać się do tych podstaw było obowiązkiem jezuitów, ale i do spraw państwowo-politycznych o tyle, o ile sposób ich prowadzenia psuł, podkopywał podstawy państwa, naruszał wiarę, obyczaje, sprawiedliwość».

Jak widzimy, zatacza się tu bardzo szerokie granice dla spraw religijnych i dla ingerencyi w nich jezuitów, a bardzo wązkie dla «czysto» politycznych. Właściwie tylko chodzi o różne pojmowanie sprawy. My np. mieszanie się do sprawy ligi przeciw Turkom nazwiemy akcyą polityczną, autor tymczasem wiąże ją z sprawą religii czy też spra-

[1]) «Non politicus est religiosus», qui intra suae conditionis limites cum principe vel magistratu agit et quae ad fundamenta reipublicae (superius explicata) spectant, vel sponte suggerit vel interrogatus exponit».

wiedliwości, jako podstawy państwa, i nazwie ją religijną, czy teologiczno-polityczną.

W końcu ks. Załęski zaznacza, że dowodu na to, że jezuci mieszali się do spraw publicznych, niema (508). «Takiego dowodu ani dokumentu niema; ja sumiennie, szczerze, dla mojej własnej informacyi w archiwach zakonnych szukałem — i nie znalazłem. Więc, jeżeli takiego dokumentu niema, jakiem prawem i jakiem czołem historyk (autor ma tu na myśli Bobrzyńskiego. Dzieje II, 179) odważa się stwierdzić, że jezuici byli doradcami», «ministrami» króla, a doradzali mu «mrzonki» polityczne. Oczywiście, jeżeli ks. Załęski przypuszczał, że znajdzie wystawione przez Zygmunta III z jegoż własnoręcznym podpisem i pieczęcią zaświadczenie, jako szukał zawżdy ich porady, to takiego nie znalazł, ale mimo braku takiego świadectwa — pozwolę sobie zauważyć — krytyka historyczna podaje jednak środki, aby i bez takich dotykalnych pergaminów na podstawie świadectw współczesnych, ich ocenie i zestawieniu dotrzeć do prawdy dziejowej.

Ostatecznie, chcąc raz na zawsze usunąć wszelkie podejrzenia, autor powołuje się (687) na innego rodzaju dokumenty, jak na dekret 79 kongregacyi jezuickiej V, który zakazuje pod srogiemi (w «erratach» poprawione na surowemi) karami mieszać się do spraw państwowych, «quae ad rationem status pertinent», lub podejmowania się

tychże pod jakimbądź pozorem, podobnież (688) na instrukcyę, daną przez Zakon spowiednikom królewskim, by nie mieszali się do spraw politycznych, nikogo nie protegowali i t. p.

Niestety, jesteśmy takimi sceptykami historycznymi, że nawet te ostatnie uchwały nie są dla nas jeszcze rozstrzygającem świadectwem — a jeśli tego rodzaju «hyperkrytycyzm» wywołałby w autorze zniecierpliwienie, to pozwolę sobie w takim razie powołać się na ciekawe zestawienie tego rodzaju dokumentów, przedstawione przez jednego z najpoważniejszych badaczów kontrareformacyi, *Philippsona* (Revue historique, 1895, I, 186). Przedstawia on, że z jednego i tego samego roku 1579 posiadamy oficyalne rozporządzenie jenerała jezuitów Mercuriusa do braci, zakazujące im mieszać się do spraw publicznych, i z tegoż roku list tegoż jenerała, w którym obowiązuje się pracować nad poddaniem Portugalii pod panowanie hiszpańskie i zarazem posyła w tym celu wielu jezuitów do Portugalii, aby tamże wszelkimi środkami, jakimi tylko Zakou może rozporządzać, popierali roszczenia Filipa II do następstwa tronu w Portugalii. Ale może sądzisz czytelniku, że tego rodzaju kabały dziać się mogły chyba tylko w pierwszych chwilach organizowania się zakonu, a później musiały zniknąć raz na zawsze pod wrażeniem wydanych w tej mierze surowych zakazów generała zakonu? Cóż kiedy sam ks. Załęski w następnych

tomach plastycznie uwydatnia taką postać jak jez. Cieciszewskiego, którego polityczne knowania przeciw królowej Maryi Ludwice wyszły na jaw i skompromitowały go w obliczu całej Rzptej; albo taką jak jez. Vota, który przyczynił się do zawarcia pokoju Grzymułtowskiego i odegrał tak smutną rolę w swych gorączkowych staraniach o uzyskanie tytułu królewskiego dla Hohenzollernów...

* * *

Jakby zaprzeczeniem wszystkiego tego, co autor przytaczał na dowód, że jezuici nigdy nie zajmują się polityką, jest przedewszystkiem sama osobistość jezuity Possevina. Był on uosobieniem politykującego człowieka, dyplomaty, pół jego życia — i właściwa jego działalność, o której autor tak szeroko się rozpisuje — to sama polityka. Sam autor spostrzega się i zaznacza, że Possevina «pięcioletnia rola dyplomatyczna, lubo z rozkazu Stolicy św. i dla sprawy chrześcijaństwa podjęta, niezupełnie odpowiadała duchowi Zakonu» (341—343). Podejmował się on jednak i akcyi dyplomatycznej, nie mającej wprost związku z walką «chrześcijaństwa« z Turcyą, jak np. w sprawie z Moskwą. Mimo, że generał jezuitów Aquaviva i jezuita Possevino (podobnie, jak i dziś autor) uważali tę misyę za «przeciwną instytutowi Zakonu» (350—351), jednak na rozkaz papieża podejmuje się jej

Possevino. Co prawda, to i sam nie był temu tak znów bardzo niechętny.

Jezuita musiał słuchać skinienia z Rzymu — na to był bojownikiem papiestwa, to był cel całego Zakonu. Na opór nawet bierny było lekarstwo. Gdy np. następnie ten sam Possevino po śmierci Batorego wbrew zamiarom kuryi apostolskiej (która forsowała na tron polski Habsburga), nie popierał kandydata austryackiego, a partya austryacka rozpuściła pogłoskę, że Possevino moc pieniędzy przywiózł z Włoch i zakupuje głosy dla elekta szwedzkiego, późniejszego Zygmunta III, wtedy papież rozkazuje, aby Possevino natychmiast opuścił Polskę, i Possevino wraca do Włoch i odtąd już przestaje raz na zawsze być używany do misyi politycznych [1]).

[1]) Czy może Possevino istotnie popierał Zygmunta III wbrew Habsburgom? Possevino znał Zygmunta jeszcze chłopięciem, utwierdzał go w katolicyzmie, jeszcze będąc w Szwecyi w Torwesund. Marzeniem jego, nad którego spełnieniem swego czasu gorączkowo pracował, było nawrócenie Szwecyi. Przez wybór Zygmunta III na króla polskiego otwierała się droga dla misyi katolickiej w Szwecyi. Autor przyznaje, że nad wyborem Zygmunta III na króla polskiego pracował Possevino oddawna, że ten cel miał na oku, jadąc do Wolborza do królowej Anny na jakąś poufną naradę r. 1580 (439) i że «w latach 1581—86 istotnie sprawę kandydatury Zygmunta z królową Anną kilkakrotnie roztrząsał» (451). Wniosku żadnego z tych przesłanek wyciągnąć nie można prócz może tego, że myli się ks.

Jedna z głównych myśli politycznych, którą pod koniec panowania Batorego zajmował się Possevino, a którą papież gorąco popierał, był plan ligi czyli wojny państw chrześcijańskich z Turcyą. Jakkolwiek zapatrywać się będzie ks. Załęski na pojęcie polityki, ja pozwolę sobie zaliczyć tego rodzaju akcyę polityczną do stosunków politycznych.

Plan ten był marzeniem kuryi papieskiej, i autor nie przeczy, że jezuici gorąco go popierali, przyczem nie waha się dodać (495—7): «Nie potrzeba było być wielkim politykiem, aby zrozumieć, na jak kruchych podstawach opierała się ta budowa św. ligi. Ze strony Austryi wieczna nieszczerość wobec Polski... Nic więc dziwnego, że kanclerz Zamoyski, wierny tradycyi Jagiełłów i Batorego, nie wierzył w skuteczność ligi, dlatego opierał się on i liczne stronnictwo jego projektom ligi. Król Zygmunt III przeciwnie poczytywał za święty obowiązek króla-katolika z ligą lub bez niej wojować z Turcyą. Jezuici: Possevino, Warszewicki, Gołyński i Skarga utrzymywali go w tych usposobieniach. Można to nazwać ich błędem, ale nie winą. Dla nich, jak dla Zygmunta, dyrektywą w tej mierze była

Załęski, sądząc, że «wykazał» najzupełniejszą Possevina w czasie tego bezkrólewia neutralność» (453). Znamienne, że Possevino musiał usprawiedliwiać się wobec Habsburgów, że nie działał «in Polonia a favor di Svetia; ma con tutto ciò questi SS-ri non restano sodisfatti». Arch. Watyk. Nunz. Germ. T. 108 f. IX—XI (9 VI 1587).

Stolica św., inaczej być nie mogło. Ta zaś wołała o ratunek dla cesarstwa».

To też, kiedy do Polski w celu nakłonienia jej do wojny tureckiej przybył kardynał Henryk Gaetano w towarzystwie dwu jezuitów i komisarzów cesarskich, we wszystkich kościołach jezuickich — pisze sam ks. Załęski — odprawiały się przez cały czas układów 40-godzinne nabożeństwa, procesye biczowników, msze św. wotywne o zgodę i jedność książąt chrześcijańskich, o zwycięztwo oręża chrześcijańskiego, o odwrócenie napadów turecko-tatarskich na bezbronne dla niezgody książąt lub skąpstwa sejmów kraje chrześcijańskie. W tym duchu przemawiali najżarliwsi kaznodzieje ze Skargą na czele. Powtarzam — powiada autor — niech to rozum stanu nazwie błędem, sąd historyi uwolnić musi od winy i jezuitów, i króla Zygmunta. Nie było też, sądzę, z tego powodu przez czas jakiś szczerego porozumienia między Zamoyskim a jezuitami. Czuli to, że stali na przeciwnych biegunach i politykowali z sobą. Stwierdza to w swej relazyi Vanozzi, sekretarz legata Gaetana, oświadczając, że «Zamoyski nieprzychylnym był jezuitom, a w swojem mniemaniu miał ich za zbyt wykrętnych polityków» [1]).

* * *

[1]) O stosunku Zamoyskiego do jezuitów i katolicyzmu nic nowego autor nie dorzuca; nawet nie wyzyskał tych cennych uwag, które ubocznie podaje prof. Morawski w swym «Nideckim».

Plan ten wspólnej akcyi państw przeciw Turcyi wiązał się z drugą dążnością stolicy apostolskiej zmierzającą ku zespoleniu i związaniu jak najsilniejszymi węzłami Polski z Austryą. Pragnienie to było tem gorętsze, że sojusz taki Habsburgów z Polską odrazu darzył ogromną przewagą katolicyzm w tych stronach i wzmacniał go w walce z protestantyzmem. Tu źródło swe mają starania kuryi rzymskiej w czasie pierwszych bezkrólewi, aby Habsburg zasiadł na tronie polskim.

Jak wobec tych zamiarów papiestwa zachowali się jezuici? Czy tylko poprzestawali na pobożnem westchnieniu i modlitwie, czy może przykładali ręki do akcyi politycznej? Jest to jedno z najciekawszych zagadnień w dziejach jezuitów w Polsce.

Ks. Załęski zaprzecza stanowczo (§ 26), jakoby «w pierwszych dwu bezkrólewiach jezuci mieszali się do walki stronnictw politycznych. Sam rozum dyktował jezuitom trzymać się zdala od niepewnego morza bezkrólewia. Polecał to samo instytut».

Ostatnia uwaga traci na sile, gdy przypomnę zastrzeżenia wyżej przytoczone Philippsona. Kuryi papieskiej przedewszystkiem słuchają jezuici, a ona sama zupełnie nie uważała za rzecz zdrożną udziału w ich akcyi politycznej. Owszem, sam autor przyznaje, że legat papieski Commendone, wysłany z poleceniem popierania elekcyi arcyksięcia Ernesta, zwrócił się do wy-

bitnego jezuity Warszewickiego z żądaniem pomocy i porady w powierzonej sobie tej akcyi politycznej na rzecz Habsburgów. Zdaniem autora (który w tym wypadku idzie za Rostowskim), Warszewicki odmówił mu jednak z obawy przed ludzkimi językami. Czy wszyscy i zawsze odmawiali? Na to odpowiedzieć mogą następujące słowa — autora (231):

«Zato w biskupie płockim, Piotrze Myszkowskim, znalazł Commendone dzielnego sojusznika. Biskup ten wtajemniczył w swe plany elekcyjno-austryackie między innymi kanclerza swego ks. Fogelvedera, tajnego niegdyś sekretarza Zygmunta Augusta, a obawiając się przejęcia korespondencyi, ułożył z nim formę pisania listów na modę jezuicką, pseudonimy osób głównych, wchodzących w grę zabiegów elekcyjnych, i zmianę kalendarza: nowy rok rozpoczynał się od 1 września. Listy adresowane były po jezuicku i opatrzone, niektóre przynajmniej pieczęcią jezuicką. Stąd przypuszczenie mylne, że jezuici, zwłaszcza O. Massimo Milanese, profesor podówczas w kolegium w Pułtusku, któremu autorstwo listów przypisywano, mieszali się do elekcyi, popierając gorliwie kandydata austryackiego. Prawdopodobniejszem zdaje się być to, że jezuicici odmówić nie mogli zacnemu dobrodziejowi Myszkowskiemu, aby korespondencya jego z kanclerzem adresowaną była do ich kolegium w Pułtu-

sku i Ołomuńcu, i w tym celu użyczyli swej pieczątki».

Czy jednak równie słusznie nie można zrobić innego przypuszczenia? Jeśli już tyle narażali się i nie odmówili biskupowi swego «klucza» tajnego, czyż nie mogli oddać się mu już zupełnie i służyć całej akcyi politycznej [1]). Wielkie prawdopodobieństwo takiego przypuszczenia odczuwa snadź sam autor, kiedy dodaje, że listy te nie zawierają znowu nic takiego złego do tego stopnia, że «nawet gdyby który z jezuitów, co nie jest prawda, autorem był tych listów, to jeszczeby ich one nie kompromitowały bardzo».

Podejrzenie, że śród jezuitów polskich wówczas wiać mogły prądy przyjazne dla Wiednia, nasuwaćby mógł jeszcze i ten fakt, że jezuici polscy od lat 10 stanowili jedną całość organizacyjną z austryackimi, tworząc jedną «prowincyę»; wreszcie i ten fakt że nie gdzieindziej, tylko w Wiedniu, na początku tworzenia się organizacyi zakonnej w Polsce kształcili się polscy jezuici, tak, że swego czasu nad Anizą, na 70 jezuitów było 40 Polaków [2]). Dopiero

[1]) Porówn. W. Zakrzewskiego: Po ucieczce Henryka (str. 38, uw. 1) «Massimo Milanese, powiernik Myszkowskiego». Owe tajne listy znajdują się w archiwum dworu i państwa w Wiedniu. I w czasie trzeciego bezkrólewia 21 stycznia 1587 r. pisał nuncyusz (bawiący przy cesarzu) do Annibala z Kapui, agitującego na rzecz Rakuzów, że może użyć dla swych listów i poczty jezuickiej. (Teki rzymskie krakow. Akad. Umiejętn.).

[2]) Lubowicz, Naczało, 108.

w roku 1575 po wyborze Walezego na króla, prawdopodobnie przez wzgląd na antagonizm królów francuskich i Habsburgów, odłączono jezuitów, przebywających w Rzptej polskiej, od Austryi, tworząc z niej udzielną prowincyę. Widać, że już w Polsce na to sarkano, kiedy sami jezuici tłómaczą powód tego odłączenia, na «litterarum ex Austria commercio occasio avidis sermonum daretur». I później jednak jeszcze kontroluje prowincyę polską delegat z Austryi [1]), a nawet w czasie samego wybuchu najgwałtowniejszego oburzenia w Polsce przeciw Austryi, bo w czasie rokoszu Zebrzydowskiego, prowincyałem polskim jest «Austryak» Strinerius. Sam autor przyznaje, że jezuici podzielali zapatrywania kuryi co do korzyści sojuszu Polski z Austryą dla chrześcijaństwa, (ale «w cichości» 464) i że żywili ku Habsburgowi przyjazne usposobienie, bo mu «istotnie mieli wiele do zawdzięczenia i, jako dom katolicki, szanowali» (625).

W czasie drugiej elekcyi, zdaniem ks. Załęskiego, jezuici «lgnęli może do habsburskiego kandydata, ale od wszelkich agitacyi elekcyjnych trzymali się jak najdalej» (234). Możeby ks. Załęski nie wyraził w tak stanowczym tonie tego ostatniego zaprzeczenia, gdyby znał i rozprawił się z dowodną nieco odmienną wiadomością, którą

[1]) Rostowski, 94.

podaje nam list Myszkowskiego do Dudycza, gdzie wyraźnie zaznaczono, że wówczas to właśnie jezuici nie tylko «nie trzymali się jak najdalej», ale wprost na Litwie energicznie zdobywali śród najpoważniejszych domów i rodzin stronników na rzecz księcia Ernesta[1]).

I doprawdy, dziwnemby było, gdyby w owych czasach, które podręczniki mianują okresem «wojen religijnych», gdzie waśń o wiarę wstrząsała podwalinami państw i była główną osią, około której kręciło się niemal całe ówczesne życie polityczne Europy, — aby w tych czasach jezuici, ci najwierniejsi szermierze stolicy apostolskiej, nie mieli iść karnie tam, gdzie interes polityki Rzymu i katolicyzmu iść im kazał, a w danym wypadku nie popierać, o ile można było, objęcia tronu polskiego przez Habsburgów, tych przodowników reakcyi katolickiej w przeciwieństwie do Batorego, któremu wogóle nie bardzo ufało polskie duchowieństwo. Jak zgodnie postępowali jezuici z dążnościami kuryi, to najlepiej dowodzi, że — jak sam autor wskazuje — już «po koronacyi króla Stefana nie śpieszyli z swemi gratulacyami, czekali, aż stolica św., o której wiedziano, że elekcya Maksymiliana była jej pożądaną, Stefana królem pol-

[1]) List oryginalny w archiwum watyk. przytacza Wierzbowski. Krzysztof Warszewicki, str. 53—54, uwaga 5.

skim uzna. Stało się to dopiero w trzy miesiące po śmierci cesarza, dopiero, gdy papież Stefanowego posła przyjął».

* * *

Jaka tendencya polityczna płynęła z Rzymu, takim duchem przejmował się i generał Zakonu i cały Zakon. Oczywiście członkowie poszczególni Towarzystwa, choćby może mniej skłonni ku tym dążnościom, musieli, posłuszni skinieniom starszych, kłonić głowy przed wskazówkami z Rzymu. Oporni doznawali losu Possevina.

Weźmy np. takiego Skargę [1]). Oczywiście, że nie polityka była celem życia tej największej i najpiękniejszej postaci, jaką wydał zakon jezuicki w Polsce. Przywiązany przedewszystkiem ogniście a serdecznie do wiary katolickiej, do jej dogmatów, trzymał się ich i propagował je z niezłomną i żelazną energią woli. Przypuszczać jednak się godzi, że człowiek tak czynny i ruchliwy i nieustannie na dworze królewskim stykający się

[1]) Nie wiem, dlaczego autor, lubo przytacza rozprawę p. Czuczyńskiego, dowodzącą mieszczańskiego pochodzenia Skargi, zwie go «szlachcicem z Grójca». Snadź wiadomo to było śród współczesnej szlachty, kiedy w jednym z paszkwilów rokoszańskich czytamy wezwanie do Skargi, że mu «lepiej było młotem w Grojcu karmić świnie» (Bibl. XX. Czartor. Rękp. N. 339, k. 375).

z kwestyami politycznemi, musiał niejednokrotnie dla spraw religijnych poruszać i polityczne, czyli, jak mówił, «politykę do teologii naciągać». Miał przecież serce obywatelskie, boć nie tak, jak reszta jezuitów, wychowanych w zakonnej regule, wstąpił za młodu do Towarzystwa, ale już będąc zupełnie dojrzałym i głośnym kapłanem-obywatelem. Do działalności politycznej nadarzała się Skardze, jako nadwornemu kaznodziei i «teologowi», nieustannie sposobność. Zygmunt III bowiem, który go niezmiernie (semper unice)[1]) kochał i szanował, uciekał się doń niejednokrotnie po radę w zawilszych sprawach. Przez 24 lat codziennie kazał ks. Piotr przed królem. Nie trzeba chyba dowodzić, ile to dawało Skardze wpływu na króla, który, wstępując na tron był 21-letnim młodzieniaszkiem, podatnym na obce wpływy. Na dworze królewskim Skarga stał się z czasem jakby członkiem rodziny królewskiej, zżył się z nią, chrzcił dzieci królewskie, przygotowywał je do praktyk religijnych, grzebał najdroższe królowi osoby, które na jego rękach konały, mieszał się do spraw dworzan, wskutek czego ciż dworzanie (słowa jezuity Wielewickiego[2]) niepowodzenia i kary swe przypisują wpływowi Skargi. Niemniej, jako kaznodzieja sejmowy, wypowiadający kazania w cza-

[1]) Wielewicki.

[2]) Por. też Sekretarz Gaetana: Pamiętniki Niemcewicza.

sie obrad sejmów co niedziela, mógł mieć Skarga pewien wpływ na usposobienie zgromadzonych, co prawda, więcej może na senatorów, niż posłów, których zrażały początkowo ostre jego ataki przeciw ogromnemu politycznemu znaczeniu izby poselskiej i jej «wstydu godnym postępkom»; zrażały gromy jego, rzucane na posłów za to, że «moc sobie tak wielką poczytują, którą królewskiej i senatorskiej przeszkodę czynią, a monarchię chwalebną i ludzkości zbawienną w demokracyę, która jest w rzeczach najgorsza i najszkodliwsza i tu w królestwie tak szerokiem niepodobna, obracają». Nie potrzebuję rozwodzić się, że sama ta ogólnie znana dążność Skargi ku wzmocnieniu władzy monarszej, a ukróceniu izby poselskiej ma już w sobie barwę prawno-publiczną, polityczną.

I to właśnie jątrzyło brać szlachtę przeciw kaznodziei królewskiemu. Co więcej, to popieranie *absolutum dominium* króla podsuwało szlachcie podejrzenie, że może Skarga podziela wraz z królem przyjazne usposobienie względem «absolutystycznych» Habsburgów, przed którymi tak szlachta truchlała, bojąc się, aby Habsburgowie «nas szlachtę w chłopstwo i niewolniki nie obrócili» [1]).

Wszystkie jednak kroki Skargi dowodzić się zdają, że nie odznaczał się ten mąż zbyt wielką znowu sympatyą dla Rakuzów. Gdy oto po elekcyi

[1]) Bibl. ord. Krasińskich. 1893. Rembowski. Rokosz, 463.

Zygmunta III jako kontrakandydat arcyks. Maksymilian dobywał Krakowa, przesłano z obozu arcyksięcia list do Skargi i reszty jezuitów krakowskich z prośbą o popieranie na kazaniach partyi austryackiej i ich interesów. Dziś taki list nas dziwi, ale wówczas snadź ludzie nie strachali się przed myślą użycia kazalnicy, jako środka politycznego, owszem uważali ją za walną w takiej akcyi pomoc. Skarga jednak oddał, nie rozpieczętowawszy, list w ręce Zamoyskiego [1]).

Co więcej są nawet wskazówki, że Skarga w czasie elekcyi nie poprzestał na neutralnem stanowisku, ale owszem wyraźnie stanął po stronie kandydatury Zygmunta III. Onto w Krakowie dnia 5 października 1587 uroczyście ogłosił ludowi na kazaniu, że już królewicz szwedzki zawitał szczęśliwie do Gdańska, a snadź te jego kazania nie musiały się odznaczać tonem nazbyt obojętnym, kiedy biskup kijowski Woroniecki, stronnik Maksymiliana napisał doń (28 października) list pełen gromkich wyrzutów, w którym karcił go za to, że lud przeciw Maksymilianowi podburza, że zapomniał o swem powołaniu, że nie pamięta o dobrodziejstwach, jakimi dom rakuski obsypywał i obsypuje jezuitów i t. p. [2]).

---

[1]) Wielewicki. I, 110.

[2]) Dyaryusz ks. Reszki z r. 1587 (Bibl. krakow. Akad. Umiejętności Ms. 928): «quod populum irritet contra Maximilianum,

Jeszcze bardziej jaskrawo maluje się nieprzychylne usposobienie Skargi wobec partyi austryackiej w Polsce w jego kazaniu na zwycięstwo Zamoyskiego pod Byczyną, w którem piętnuje Habsburgów, jako tych, którzy «na karki wolnych jarzmo włożyć pragnęli, którzy gwałtem nad nami panować i poczytywać nas za swe sługi chcieli» a występuje przeciw polskiej partyi austryackiej, jako «składającej się z kilku tylko senatorów i garstki *przekupionych*» [1]).

Snadź Skarga wraz z Possevinem należał do tych jezuitów, którzy nie Habsburga, ale «wychowanka jezuitów», Zygmunta III, chcieli widzieć na tronie polskim. Samo to jednak kazanie byczyńskie dowodzi, że Skarga musiał uledz władzom wyższym Zakonu i skinieniom z Rzymu. Tego bowiem kazania — tak wybitnie antihabsburskiego — nie pozwolono ogłosić Skardze drukiem. Przynajmniej Skarga nie ogłosił go nigdy, zapewne dlatego, że ten sam Zygmunt III, który dostał się na tron polski w walce z Habsburgami, został sojusznikiem Rakuzów, zawiązał z nimi węzły przyjaźni, pojmując z tej dynastyi za żonę siostrę po siostrze i wchodząc w konszachty z Ernestem.

quod sit oblitus professionis suae, quod ingratus beneficiorum, quae Austriaca domus societati praestitit et praestat».

[1]) Ogłosił fragmenty z tego kazania Dzieduszycki: Skarga i jego wiek. II. 33.

Znowu znamienne jest stanowisko Skargi wobec planu drugiego małżeństwa z Austryaczką, planu swatów, który poddała Zygmuntowi arcyksiężna Marya. Skarga był temu związkowi przeciwny dlatego, że małżeństwo z siostrą pierwszej żony uważał za grzech kazirodztwa, — że obawiał się rozruchów i oburzenia stronnictwa anti-austryackiego, jaki ponowny ten związek wywołaćby musiał. Widząc, że król stara się już u kuryi o dyspensę, zaczął na kazaniach przekładać, że takie dyspensy złym się kończą skutkiem, a kiedy król nie słuchał jego przedstawień Skarga w r. 1602 postanowił odejść precz z dworu królewskiego i istotnie otrzymał (choć z trudnością) dymisyę. Król jednak, który chciał go zatrzymać przy sobie, wiedział, że Skarga musi być posłuszny swym przełożonym, wiedział, że papież żywo popiera zamierzony związek z Habsburgami. Przedstawił tedy sprawę swego konfliktu w Rzymie z prośbą, aby odpowiednio wpłynięto na Skargę, i generał Zakonu istotnie [1]) polecił Skardze, aby nie sprzeciwiał się skojarzeniu tego stadła, bo król w tej mierze już pertraktuje z papieżem, a zresztą część senatu i partya dworska projekt króla pochwala i t. p. Skarga usłuchał i w czasie wybuchającego zaraz

[1]) Wielewicki. II, 31, 32. Jeszcze 14 VIII 1605 Skarga w liście tajnym do generała jest przeciwny najmocniej temu małżeństwu i prosi o wskazówkę jak się ma zachować. Arch. Watyk. Additamenta Nunz. Pol.

niezadowolenia szlachty przeciw polityce austryackiej króla, w czasie rokoszu Zebrzydowskiego odgrywa jedną z najwybitniejszych ról, jako obrońca tronu, jego polityki i jezuitów.

* * *

Tak się rzecz miała ze Skargą. Nie mamy jednak najmniejszego powodu twierdzić, że inni jezuici w Polsce nie żywili gorętszych uczuć względem Austryi lub nie byli czulsi na skinienie nuncyuszów i kuryi rzymskiej, szczególnie, jeśli przypomnimy sobie ową wzmiankę o agitacyi jezuitów za Ernestem na Litwie.

Nie możemy ślepo wierzyć w kategoryczne oświadczenie autora (626), iż «nie ulega najmniejszej wątpliwości, że jezuici z tej samej racyi, co Skarga, przeciwni byli» owemu powtórnemu małżeństwu z Rakuszanką. Czy dlatego, że właśnie generał był innej myśli, jak Skarga, że mu kazał w tej sprawie właśnie milczeć, że przedewszystkiem papież Klemens VIII parł do tego małżeństwa? Czy może miałby nie popierać tych dążeń kuryi, dążeń skojarzenia króla z domem austryackim, np. taki prowincyał polskich jezuitów w czasie rokoszu, Strinerius, który był «Austryakiem»?

Ciekaw jestem bardzo, na jakiej podstawie ks. Załęski wydaje zbyt porywczy sąd, że np. drugi towarzysz Skargi na dworze królewskim, spowiednik króla, jezuita Gołyński, z tych samych powo-

dów, co i Skarga, również sprzeciwiał się tym ślubom Zygmunta z arcyksiężniczką Konstancyą (488). Jest to analogia zbyt śmiała, ponieważ Gołyński nie miał... czasu wypowiedzieć swego zapatrywania względem tego powtórnego małżeństwa z Rakuszanką, gdyż umarł jeszcze... w roku pogrzebu pierwszej żony króla i w chwili, na którą autor chciałby uogólnienie swe przeciągnąć — w chwili zwierzenia się króla z tą myślą Skardze — już jezuita Gołyński czwarty rok... leżał w ziemi.

Inaczej niż Skargę trzeba traktować jezuitę Gołyńskiego. Kiedy bowiem o usposobieniu Skargi względem Austryi w źródłach prawie zupełnie głucho, to na tego właśnie spowiednika Piasecki wypisuje wyraźnie owo oskarżenie, że on to był główną sprężyną nawiązania bliższych stosunków Zygmunta III-go z Austryą na przekór Zamoyszczykom [1]). Wiadomości, skądinąd czerpane — przytaczane przez samego autora — dowodzą, że jezuita Gołyński nie był znowu sobowtórem Skargi. — Konduita Zakonu o nim brzmi: «czło-

[1]) W liście tegoż jezuity Gołyńskiego do Reszki spotykamy zwrot: «o małżeństwie (z Austryaczką?) nie mów W. Mć nic, ażbych ja co pisał o tem do W. Mci. Król nie rad już o tem mówią» (Grabowski. Starożytności, tom II, list z 28 VII 1588). Listy cyfrowane jezuity Gołyńskiego, tam umieszczone, należy dopiero rozwiązać, dotąd cyfry nie pozwalają wniknąć w treść, stąd zawcześnie ks. Załęski oświadcza, że niema w nich śladu jakiejkolwiek politycznej roli (506).

wiek dworski, umie niewiele, choleryk, zdolny do słuchania spowiedzi, zwłaszcza kobiet». Wszystko to, powtarzam, nie uprawniało autora do zaprzeczenia, jakoby ten jezuita nie mieszał się z zasady zakonnej i usposobienia swego do żadnych spraw publicznych (455)[1].

* * *

Skarga i Gołyński spełniają dwie funkcye jezuitów na dworze Zygmunta III. Jeden jest kaznodzieją, drugi spowiednikiem. Ci dwaj «nadworni» jezuici są jakby dwiema kolumnami zakonu na zamku królewskim. Przez ich ręce płyną dary dla Zakonu od króla i od przebywających na dworze osób. Oni ślą uwiadomienie do swych współbraci o takiem a takiem usposobieniu króla, znając go tak dobrze, że nawet nuncyusze dostają wska-

[1]) Czy naprzykład niema charakteru politycznego fakt, opowiedziany przez samego autora, że kiedy król Zygmunt III w Rewlu miał porzucić Polskę i jechać do Szwecyi, «nasłano spowiednika O. Gołyńskiego, aby królowi roztrząsał sumienie i świętość przysięgi przypomniał» (467), że tenże Gołyński w tym celu, aby króla wzruszyć «z wielkiem żalem pożegnał króla, iż go od wyjazdu do Szwecyi odwieść nie jest w stanie» (468), że podobnież Skarga «jął mu (królowi) szeroce dowodzić, że wracać do Szwecyi w żaden sposób nie powinien, a gdy Skarga począł się z nim żegnać, nie dozwolił tego i dnia następnego król zmienił zdanie i zaraz o godzinie 3-ciej po południu powrót króla do Polski został ogłoszony» ?

zówki z Rzymu, by wypytywali się jezuitów nadwornych, «jakie są najlepsze sposoby ujęcia króla, królewiczów i miłych mu osób». Do nich to ściąga się wyznanie sekretarza legata Gaetaniego, że ks. jezuici posiadają największy wpływ na dworze. Oni przedewszystkiem są dowodem powagi i wpływu Zakonu na króla, bo, jeżeli gdzie, to u nich znaleźć można p r o t e k c y ę u króla.

O tej właśnie protekcyi jezuitów nadwornych, jako o jednym z objawów mieszania się ich do spraw państwowych, chciałbym kilka zastrzeżeń dorzucić. Chodzi tu o to, czy jezuici nadworni swoim wpływem u króla: 1) odpychali różnowierców od urzędów; 2) czy nie popierali pewnych miłych sobie osób?

Co do pierwszej kwestyi, autor wbrew utartemu zdaniu, że Skarga właśnie wpływał na usuwanie różnowierców od dygnitarstw, oświadcza, że nieprawdą jest, aby systematycznie w tym kierunku działał, i wylicza na dowód garstkę różnowierców, którzy jednak zdołali dostać się na dygnitarskie stanowisko [1]).

Ciekawą jest rzeczą, że właśnie wyraźne o tem

[1]) Dorzuca autor uwagę, że rady w tym kierunku «nie Skarga, nie Jezuici, ale dawał je kardynał Aldobrandini». Rzecz to znana, że nuncyusze i kurya rzymska zawsze dawali tego rodzaju wskazówki królowi. Ale dlaczego to ma wykluczać współdziałanie nadwornych jezuitów? Owszem, wskazówki z Rzymu mogły tylko znaleźć posłuch u jezuitów.

świadectwa dają sami jezuici w swych dziełach, jak Wielewicki, Rostowski i Niesiecki. Prawda, że uważali to oni za rzecz chwalebną i dlatego mogli przesadzić te zasługi jezuitów w sprawie skatoliczenia senatu. Lecz mamy świadectwa i nie jezuickie [1]).

Że Skarga zwracał baczną uwagę na stołki, zajęte przez różnowierców w senacie, wskazuje bardzo charakterystyczna uwaga Wielewickiego o notatce Skargi, zrobionej w dyaryuszu (zapewne z uciechą), że na sejmie roku 1593 już tylko jeden senator przyznawał się do różnowierstwa [2]).

Co do drugiej sprawy, to nie ulega już żadnej, mem zdaniem, wątpliwości — mimo, że Skarga uroczyście temu zaprzeczył (w kazaniu wiślickiem) — że jezuici istotnie wyzyskiwali swe stanowisko na orędowanie za miłymi sobie petentami. Z samego listu ks. Skargi do generała jezuitów z 20 września roku 1606 [3]) dowiadujemy się, że właśnie wspomniany wyżej jezuita Gołyński stał się powodem owej rozgłośnej, a tak zapamiętałej nienawiści ks. Zbaraskiego do jezuitów przez to właśnie, że miał go obmówić przed królem. Mu-

[1]) Porówn. sekretarza legata Gaetana. Zbiór pamiętn. Niemcewicza, II, 174. Relacye nuncyuszów Malaspiny i Toressa (Rykaczewski II, str. 73, 81, 119, 140); por. Listy Annibala z Kapuy, Theiner, III, Nr. CLX i t. d.

[2]) Wielewicki, I, 167.

[3]) Wielewicki, II, 208, 210.

siał mu do żywego dopiec, kiedy odtąd stał się nieprzebłaganym ich wrogiem i na rokoszu z naciskiem podnosił, że jezuici «na dworze królewskim do spraw świeckich się mieszają i wszystko w pałacu, gdzie wiecznie przesiadują, dzieje się według ich woli» [1]).

Niejeden snadź był o to gniew na jezuitę Gołyńskiego, kiedy jezuita Wielewicki oględnie zaznacza, że zachowanie, jakiem cieszył się ten spowiednik u króla, było powodem, że zapamiętałą rozgorzeli nienawiścią ku niemu i jezuitom niektórzy, rozumiejąc mylnie, że za jego poradą i wskazówką król dokonywał rzeczy im niemiłych.

Najlepiej jednak o zażywaniu protekcyi jezuickiej na dworze królewskim świadczą wstawiennictwa spowiedników królewskich za różnemi osobistościami. Tak Steisson np., starając się o plebanię elbląską, wie, gdzie szukać «pleców», wiadomo mu, że przez króla spowiednik (po Gołyńskim) Bartcz jest bar-

---

[1]) l. c. VII, 269. W listach, umieszczonych u Grabowskiego, czuć bardzo poufały ton, jakim traktuje ten spowiednik króla. Zwie go raz w raz «nieborakiem». Prosi króla za Reszką o prowizyę dla niego. W tym celu «trzy razy już dziś chodziłem na zamek, że mię też i nogi bolą». Por. listy Zbaraskiego do jezuitów w petersb. Bibl. publ. Różnojęzycz. F. IV. 67. Porówn. list tegoż Zbaraskiego do jezuity (w Pamiętnikach Niemcewicza, II. 487) i jego słowa «byle R z p t a (państwo) wolna była (od jezuitów») lub «I by nie sprawy p u b l i c z n e przymuszały mnie do tego, że W. Mciów (jezuitów) czasem wspomnieć muszę.. »

dzo lubiony (*admodum charus* [1]), więc jedzie z listem polecającym właśnie do tego jezuity. Albo: biskup warmijski, Rudnicki, jest wielkim dobrodziejem kollegium jezuickiego w Brunsbergu, a zato rektor tegoż kolegium, Petrosa, czuwa pilnie nad synowcami ks. podkanclerzego, a znowu ks. podkanclerzy z wdzięczności dla biskupa opiekuje się sprawami jego przy dworze. Albo np. ks. Gajewnicki, kanonik warszawski, radby się dostać do kancelaryi królewskiej na sekretarza, więc Stanisław Łubieński poleca jego sprawę gorąco jezuicie Seideliusowi, następnemu spowiednikowi królewskiemu [2]).

Piasecki, jak wiadomo, podaje wiadomość, że za sprawą jezuitów zdobywały sobie infuły osoby im miłe. Sam nawet prowincyał jezuitów Argentus nie zaprzecza temu, że jezuici popierali pewne osobistości [3]).

* * *

Jeżeli już mowa o orędownictwie jezuitów na dworze królewskim, to trudno opuścić jedną na nim postać, szeroko omawianą, a czasem ośmieszaną przez historyków. Chcę mówić o podkomo-

[1]) Wielewicki. III, 11.
[2]) Por. Sokołowskiego Aug. Przed rokoszem.
[3]) Argent. Ic. 99.

rzym królewskim, owem «narzędziu» jezuitów, Jędrzeju Boboli, którego, zdaniem Piaseckiego, jezuici, a on ich wzajemnie popierał [1]). «Prostak i zrzędny» ascetyzmem przechodził wielu współczesnych, w celibacie żył przez całe siedem krzyżyków swojego żywota.

Autor godzi się na to, że Bobola istotnie gorąco popierał plany jezuitów na zamku królewskim, że zbierał gorliwie składki na ich kolegia i kościoły, i tylko protestuje przeciw uważaniu go za «manekina» jezuitów na dworze.

Jeżeli autor uważa kronikę Piaseckiego za stronnicze źródło do charakterystyki tego podkomorzego, to w każdym razie nie powinien również za «główne» źródło uważać mowy pogrzebowej jezuity Bembusa, jaką, w tonie oczywiście panegirycznym, skreślił ten jezuita dla najwierniejszego przyjaciela swego zakonu.

Słusznie autor podnosi, że nie dopiero Zygmunt III wziął go na dwór swój za wpływem jezuitów, ale, już wstępując na tron, zastał go

[1]) Istotnie co rok, czasem co pół roku, zacząwszy od r. 1594, śle dary pieniężne, baryły wina kanaryjskiego, pszenicę i t. p. do domu jezuickiego św. Barbary w Krakowie (Wielewicki). Jest dobrodziejem domów jezuickich warszawskiego, krośnieńskiego, wileńskiego; jego zajęciu się i prośbom, do króla zanoszonym, zawdzięcza między innymi swe powstanie wspaniały kościół jezuicki św. Piotra w Krakowie.

na zamku, jako wytrawnego sługę dworskiego [1]). Z tem wszystkiem jednak na wyższe szczeble swej karyery dostał się dopiero za tego króla, który go zrobił w r. 1599 sekretarzem [2]).

Z tej łaski królewskiej korzystał Bobola i istotnie wstawiał się za swymi znajomymi i przyjaciółmi. On to wyprasza dla Zebrzydowskiego, wówczas wielkiego przyjaciela jezuitów, województwo krakowskie [3]). W listach współczesnych uderza nas ciekawy obraz, dowodzący wielkich wpływów pana podkomorzego na dworze królewskim. Wszyscy, pomni na to, że «bliżej jest ucha pańskiego» (kró-

[1]) Dzieje w koronie. Łukasz Górnicki, ostatnia strona; «rządził chłopięty» na dworze króla Stefana (Bibl. XX. Czartor. Rękp. Nr. 339. f. 378).

[2]) Ks. Załęski waha się co do tej daty między 1599 a 1600 Zarewicz w swej apologii Boboli kładzie ją mniej więcej na r. 1601. Ustalić ją mogę na podstawie aktów grodu bieckiego (Archiwum akt. grodz. i ziems. w Krakowie). Inscr. Rel. etc. castr. Biec. t. XXXIII, z porównania str. 1365—1366 a str. 894. Wypadałoby stąd, że został sekretarzem między 8 kwietnia a 23 paźdz. r. 1599. Do tego zapewne sekretaryatu odnosi się wzmianka w źródłach, że kardynał Jerzy Radziwiłł i Stanisław Radziwiłł, marszałek W. Ks. Litew., poparli go na «podkomorstwo koronne», gdyż podkomorstwo koronne otrzymał on dopiero na początku r. 1607 (jak o tem świadczy cedułka, załączona do listu Żerońskiego z 10 III 1607 w Bibl. XX. Czartor. Rękp. Nr. 1628) z uwagą, że «podkomorstwo koronne Panu Boboli dano».

[3]) Bibl. Ord. Krasiń. (r. 1893), Rokosz str. 372; por. Dzieduszycki: Skarga II, 365, uw.

lewskiego)[1]), biegają za Bobolą i z nim «konferują». Nawet gdy wyjedzie z Warszawy, ścigają go komornicy od ówczesnych panów. Złorzeczą mu ci, którzy stracą lub nie uzyskają jakiejś łaski królewskiej. Tak np. na rokoszu pod Sandomierzem «skarży się pan starosta sochaczewski, że za instancyą Boboliną osądzili owo go dekretem obciążliwym z ukrzywdzeniem wielkiem i zniszczeniem. A Bobola do niego wskazał, że tem okazał nieprzyjaźń swą. Skarży się pan Lubomirski, że mu szyb (solny), swym kosztem bity na jego gruncie, odjęto gwałtownie za radą Boboliną[2]). Skarży się pan Cikowski, że mu zgwałcono przywilej, dany mandaty surowymi, za informacyą Boboliną»[3]).

Tak samo tylko do wstawiennictwa u króla odnieść należy słowo Stan. Albrechta Radziwiłła o Boboli, że tenże «okazał się niewdzięcznym dla mojej familii»[4]).

O orędownictwie może też zaświadczyć choćby

[1]) Archiwum Radziwiłłów. Scr. rer. Pol. VIII. 51.

[2]) O co tu chodzi, tłómaczy Zarewicz lc. 26—27.

[3]) Rękp. Bibl. XX. Czartor. Nr. 1368. K. 39, wyborny dyaryusz rokoszu pod Sandomierzem. Prośby zresztą Boboli musiały być pokorne — nie był to wpływ pewnego siebie możnowładcy. Illustrować to może wieść rozchodząca się po dworze, że Bobola dostał w twarz od króla (Bibl. XX. Czartor. Rękp. Nr. 1628). W arch. w Nieświeżu znajdzie ciekawy badacz 33 listy Boboli.

[4]) Rys panowania Zygmunta III. Athaeneum. 1848, str. 25.

taki fakt, uwydatniony w listach Boboli do Rudnickiego, biskupa warmijskiego [1]). Biskup ten potrzebuje poparcia Boboli u króla, wyzyskuje to spowiednik królowej, jezuita Fredler, prosząc wzamian przez Bobolę o względy dla swego brata, kanonika warmijskiego, który chce wyprosić dla siebie znowu od tegoż biskupa drzewo budulcowe.

Ten wpływ podniecał do żywego wszystkich tych, którzy od jezuitów nie mogli spodziewać się poparcia, i to było głównym powodem rozgoryczenia, a nie ów za mało światowy ton, jaki był cechą podkomorzego. Nie dlatego też obrażali się nań «heretycy», że, jak sądzi autor, «woleliby zamiast poważnego, pobożnego podkomorzego przy królu widzieć Giżankę, jak za Zygmunta Augusta bywało» (519).

Zamiast owej Giżanki śród czarnych sukien jezuitów i takich postaci, jak starego ascety — kawalera Boboli, przewija się jedna żeńska osostość — nader ruchliwa. Jest to stara panna, bardzo pobożna, Urszula Gienger, Niemka, ochmistrzyni, czyli zwykle z niemiecka «Mejerin» zwana. Ks. Załęski broni panny Urszuli przed zarzutami księdza Siarczyńskiego, szczególnie przed nazwą, jaką ją obdarzył — zwąc ją «dewotką jezuitów». Autor wprawdzie przyznaje, że była przyjaciółką jezuitów, że posiadała wpływ na dworze,

[1]) Dołączonych do dziełka Zarewicza.

że, jak dowodzą listy biskupa Łubieńskiego, udzielała pewnym osobom protekcyi. Dodaje, że, według wyraźnego świadectwa nuncyusza Visconti, ta kobieta «należała nietylko do familijnych, ale i do rad ważniejszych i miała niemały wpływ w szafunku łask królewskich, że, co więcej, cesarz Rudolf przez nią odbierał wiadomości o tem, co się tyczyło familii królewskiej, a w nieobecności króla także o toku spraw publicznych...» [1]). W końcu zaznacza autor, że Bobolę i ochmistrzynię Mejerin przyjął generał jezuitów *ad merita Societatis* «do zasług Zakonu jezuitów» i przesłał im ten dyplom przyjęcia» (686, uw. 1).

* * *

Pomimo wszelkich poprzednich protestów przeciw udziałowi jezuitów w sprawach świeckich w jednem miejscu autor, robi różne następujące restrykcye (510) czyli «przesiodływa», jak mówili dawni Polacy.

«Być mogło, że król, naradziwszy się z senatorami, a nie umiejąc sobie uformować z rozstrzelonych ich zdań wypadkowego zdania, zasięgał zdania i rady spowiednika... Być nawet może, że król tę lub ową sprawę poddał pod

[1]) Liczna korespondencya tejże «Urszuli Mejerin» znajduje się w «Riksarkivet» w Stokholmie.

zbadanie i sąd teologów jezuickich, że przy obsadzaniu wakansów, zwłaszcza przy nominacyi biskupów, zasięgał od nich informacyi. Przypuścić można i to, że czynili to samo panowie radni». Ale po tych ostrożnych ustępstwach dodaje zaraz autor. «Są to wszelako przypuszczenia, hypotezy, a nie dokumenta, bo i przeciwna hypoteza również możliwa, że w danej kwestyi np. szwedzkiej albo Lisowczyków król już miał zdanie i sumienia uformowane i spowiednika o zdanie nie pytał».

Tymczasem, wbrew zdaniu autora, zaznaczyć muszę, że to wszystko nie hypotezy, ale fakty. Oprócz wyżej przytoczonych faktów mogę na zakończenie przytoczyć jeszcze jeden, dowodzący, że zupełnie nie na gorące naleganie króla i prośbę jego o radę jezuita nadworny udzielał wskazówek, ale wbrew jego zakazowi mieszał się do spraw politycznych. Jest to sprawa jezuity, nadwornego kaznodziei, Bembusa [1]), sprawa, którą autor, posługując się inną logiką, chce odwrotnie uważać za dowód, że Zygmunt «unikał troskliwie jakiegokol-

[1]) Jezuita Bembus był następcą Skargi. Chciał rządzić się na dworze niepodzielnie. Zraził sobie tem i pokojowych, w czem, zdaje się, nie różnił się od Skargi, na którego oburzeni też byli dworzanie. Bembus usunąć chciał wszystkich rywali, a ponieważ pewnem u króla zachowaniem cieszył się Dinhof, Inflantczyk, protestant, więc Bembus chciał go wysadzić i urządził w tym celu intrygę, wciągając w to królowę z królewiczem. Król się jednak oparł.

wiek mieszania się Ojców do spraw państwowych». Dla innego zaś może ona służyć za dowód, że czasem sobie tak pozwalali, że i Zygmuntowi III było już tego za dużo.

Sprawa miała się tak. Kaznodzieja nadworny, jezuita Bembus, pragnął zwiedzić Rzym i wyprosił sobie u króla, że go tam wysłał. Czy to liczył na wpływy swego zgromadzenia, czy z jakiego innego powodu, dość, że, będąc w Rzymie, traktował z kuryą rzymską w pewnych sprawach królewskich, których mu król nie powierzył, a nawet zakazał o nich rozprawiać. To już rozgniewało Zygmunta III. Nie chciał do siebie przypuścić śpieszącego z powrotem Bembusa ani mieć go za swego kaznodzieję. W pierwszym jednak punkcie nie okazał stałości, bo, jak prowincyał jezuitów Argentus, zaczął (co prawda przez cały rok) [1]) królowi przedstawiać, że to przecież nie zaszczytne

[1]) Pewna uporczywość jest jedną z wybitnych cech Zygmunta III. Wielewicki oświadcza, że król od tego, co raz postanowił, nie pozwolił się odwieść, chyba wobec oczywistego i przekonywającego dowodu (Scr. rer. Pol. X). Z listów Lwa Sapiehy nabiera się przekonania, że król mimo wielokrotnych próśb i nalegań nie odmienia raz powziętego postanowienia (Archiwum Radziwiłłów. Scr. rer. Pol. VIII. 11, list 15. «Lecz podobno już W. M ć wiedzieć raczysz jako jest constans pan nasz, gdy się już na co usadzi» (list 17). «Polacy (w przeciwieństwie do Litwinów), co przed się i sami się odjąć mogą i p. kanclerza (Zamoyskiego) dosyć potężnego mają, a wżdy nie mogą (króla) przełomić» (str. 198).

dla Towarzystwa Jezusowego, jeżeliby Bembusa król odprawił ze swego dworu bez pożegnania, — wtedy król, choć poprzednio kategorycznie odmówił, zgodził się wreszcie na złożenie przez Bembusa relacyi z poselstwa, lecz, co prawda, na kaznodzieję wziął już sobie innego jezuitę.

Zdaje się, że nie każdy wyciągnąłby z tej przedstawionej sprawy taki sam wniosek, jak autor, który uważa (513—514), że «wina O. Bembusa musiała być żadną albo małoznaczącą, skoro prowincyał O. Argenti ujął się o honor jego» (? ? Wielewicki mówi wyraźnie, że o honor Zakonu, a nie jego!) i że «z tego jednego szczegółu każdy snadno pojmie, jak wielkiej roztropności i wstrzemięźliwości zażywać musieli dworscy jezuici...»

W rezultacie, konstatując tedy udział jezuitów w akcyach politycznych, nie myślę zupełnie rozwodzić się nad tem, czy był dla Rzptej dodatnim czy ujemnym. I tak, jeżeli już mowa o stosunku jezuitów do państwa polskiego, to zaznaczę otwarcie, że w niektórych naprzykład sprawach, jak w akcyi jezuitów wobec wschodniego kościoła (ręka w rękę z Zamoyskim), zupełnie się piszę na wywody autora z tem tylko zastrzeżeniem, że wszystko to, co autor porusza co do politycznego znaczenia katolicyzmu w dziejach naszych, jest ogólnie oddawne uznane [1]). Spodziewałem się, że

[1]) Oczywiście, że jezuici działali w ramach ówczesnego układu stosunków. Polonizacya nie ogarnęła też warstw innych

autor w sprawie unii, w której jezuici spełniali jeden z najważniejszych postulatów państwa polskiego i położyli zasługi, autor dorzuci coś nowego — i nie zbędzie całej sprawy w dwu tylko ustępach [1]), podczas gdy takiej misyi jezuitów w Mołdawii poświęcił cały rozdział (X).

* * *

Niemała była gromada ludzi w Polsce, którzy pomawiali jezuitów o udział w sprawach politycznych. Dowodem tego tak powszechny krzyk na nich w czasie rokoszu Zebrzydowskiego. Wprost niesposób, aby bez żadnych powodów wysypała nasza szlachta wówczas tyle ulotnych pisemek, wierszów satyrycznych, paszkwilów i różnych broszur przeciw tym Ojcom [2]), i to z taką zapamiętałością, że na-

prócz szlachty. «W Wilnie i Połocku otwarli jezuici bezpłatną szkołę ruskiego czytania, pisania i rachunku, a w Brunsbergu takąż szkółkę niemiecką dla dzieci rzemieślników» (str. 377).

[1]) Słuszne i śmiałe są uwagi autora o zwykłej u kuryi rzymskiej nieznajomości stosunków w kościele wschodnim — i o tejże zbyt różowych nadziejach mimo tylokrotnych zawodów (str. 265—267).

[2]) Częścią drukował Maciejowski (Piśmienn. Dodat. III. 270. Pieśni rokoszowe), Schmitt, Rembowski. Wiele niewydrukowanych. Np. Excytarz opisuje w sposób przesadny zjezuiciały dwór królewski (Czartor. Nr. 339. K. 468). Porówn. «Przestrogę Rzptej potrzebną» (Bibl. Krasińs. Nr. XCIII), gdzie mowa o «ministrach ab Austro» (jezuitach).

wet nuncyusz papieski dostaje instrukcyę z Rzymu, aby tylko tajemnie znosił się z jezuitami, by nie ściągnąć przeciw sobie nienawiści szlachty [1]).

Tą nienawiścią pałają nie tylko różnowiercy, ale i katolicy [2]).

Jak wspomniałem, Zebrzydowski, katolik, wystąpił z podobnymi zarzutami w swym uniwersale, zwróconym przeciw Skardze i Boboli. Powstano na zjazdach rokoszowych, że jezuici są *fasces* domu rakuskiego, że popierają plany cudzoziemskich stron w Rzptej, przezywano ich «szarańczą hiszpańską». Znany wydawca dzieł Długosza, rokoszanin Herburt, wołał na rokoszu, że jezuici wspierają Rakusy, czyhające na to królestwo polskie.

«Wypadli z domu tego (austryackiego), jak kurczę z jaja; to są emissarzy, właśnie szalbierze, którzy nami handlują». Nieprzyjaciel jezuitów, książę Zbaraski, wykazywał, że jezuici przez swoich przełożonych cudzoziemców znoszą się z królem, aby oddać Polskę Austryakom. Na sejmie roku 1607 rokoszanin Gorajski wytykał jezuitom, że się mie-

[1]) Rykaczewski. Rel. II, 104.

[2]) Myli się szanowny autor, sądząc, że przez cały okres dziejów jezuitów (1564—1608) «wszystkie stany i warstwy sympatyzują z zakonem» z wyjątkiem rokoszu i heretyków. Owszem, śród kleru samego nie znajdują wiele sympatyi. Sam autor wspomina o duchowieństwie w Wilnie (184), szczególnie o sławnym Roizyuszu (187), o kapitule poznańskiej (206—211).

szają do spraw publicznych, tak samo senator Dorohostajski.

Nad rokoszem, a szczególnie nad artykułem rokoszu, wydalającym masowo jezuitów z Polski, autor rozwodzi się długo — i słusznie, gdyż chwila ta stanowi epokę nie tylko w dziejach Polski, ale i samego zakonu.

Sam zamiar wypędzenia jezuitów z Polski [1]) traktuje jednak autor, jako coś niesłychanego, dziwacznego, popełniając błąd, który może jest najbardziej wybitną, ujemną cechą jego dzieła — a tym jest brak porównawczej miary powszechnodziejowej. Gdyby autor więcej miał na oku i znał dzieje powszechne współczesne, toby świadomy był, że ruch przeciw jezuitom w Polsce to tylko jedno z drgnień, przebiegających wówczas całą katolicką zachodnią Europę. Drgnienia te mają jedną wspólną cechę: odruch narodowy przeciw uniwersalnym tendencyom kuryi papieskiej i jej sług, — jezuitów; jest to wstrząśnienie społeczeństwa na znak, że reakcya katolicka nie może zupełnie wrócić na dawne stanowisko średniowieczne, że musi w pewnej mierze przystosować się nowożytnych wymagań poszczególnych państw i nowych warunków. Z początku następuje

[1]) Pierwszy pomysł wypędzenia jezuitów z kraju, zdaje się, podniesiono jeszcze w r. 1574 na sejmiku w Środzie (jako burzycieli pokoju). Lubowicz. Naczało. 352.

starcie prądów, w czasie którego z ramienia państwa jezuici zostają wydaleni z granic różnych terytoryów katolickich.

I tak we Francyi. Tu nie ukrywali jezuici swych niechęci wobec Henryka IV, byłego hugonoty, żywiąc przyjazne usposobienie dla Filipa II hiszpańskiego. Potrzeba było tylko, by młody fanatyk Jan Châtel, «wychowanek» jezuicki, wykonał zamach (nieudały) na życie króla (27 grudnia r. 1594), a wszyscy członkowie zakonu wyrokiem parlamentu w przeciągu 3 dni zostali wydaleni z Paryża, a w 2 tygodnie z całej Francyi. Châtel doznał losu naszego Piekarskiego, jezuita Guignard ukarany śmiercią za znalezione u niego traktaty o morderstwie tyranów. W roku 1603 z ograniczeniami na rzecz państwa i przystosowaniem się do nowych jego wymagań, przywróceni przez króla — mimo że parlament stawiał im zarzuty, że spiskują z Hiszpanami [1]).

---

[1]) Ten ruch we Francyi oddziałał i na Polskę. Polacy, którzy wówczas się kształcili, wrócą potem do Polski. Uczestnicy rokoszu, zdaniem Skargi (Próba Societatis) «niektórzy byli we Francyi owych czasów wychowani, których zakon ten nasz zelżony był... ci szerzyli przez katoliki potwarze, na nas we Francyi obwołane, szerzyli wyroki parlamentu», to też na rokoszu słychać głosy, «żeby jezuity baniować, którzy przysięgli królowi h i s z p a ń s k i e m u», i długie mowy, «że jest Rex Galliae Christianissimus, a wżdy ich z państwa swego wygnał. Dux Bavariae

Podobnież wygnano jezuitów z Wenecyi, — gdzie ruch był czysto narodowo-polityczny bez żadnych przymieszek innowierczych. Ruch ten jest współczesny i styczny z naszym rokoszem. Pomijam zatarg o kwestye sporne z kuryą rzymską, które się tu nad lagunami wyłoniły, a które robią wrażenie wielkiego podobieństwa do artykułów układanych współcześnie u nas nad Wisłą (np. postulaty ściślejszego związania organizacyi duchowieństwa z państwem); dość, że, kiedy spór zaostrzył się do tego stopnia, iż papież rzucił klątwę (17 kwietnia r. 1606) na republikę, — duchowni stanęli po stronie państwa. — Prawie sami tylko jezuici weneccy stanęli po stronie papiestwa i opuścili natychmiast Wenecyę, «odbiegając — jak mówi Skarga — gniazdeczek swoich i sprzątteczka swego». Nie, jak w Polsce, skończyło się na postrachu jezuitów, ale istotnie przez całe pół wieku nie mogli synowie Loyoli wrócić do królowej Adryatyku. Spółcześnie w Polsce rokoszanie drwili z rzuconej przez papieża na Wenecyę klątwy, czyli, jak mówili «z papieru urobionej papieskiej strzelby» [1]).

W bliższym jeszcze związku z Polską pozo-

---

etiam catholicus wygnał ich też z państwa swego. Tego złego w narodzie cierpieć nie chcą insze nacye, a my najgorsi być mamy». Dyaryusz rokoszu sandom. dokładniejszy, niż u Rembowskiego: Czartor. Ms. 2729, Nr. 15.

[1]) Czartor. Nr. 339. K. 339.

staje również współczesny ruch Boczkaja w Węgrzech, zakończony podobnież, jak w Wenecyi, wydaleniem jezuitów. Poprzestaję na wskazówce, że w Węgrzech, jak i w Polsce, ruch jest zwrócony przeciw Austryi, że żądania, stawiane przez powstańców węgierskich Habsburgowi, przypominają niezmiernie współczesne polskie artykuły rokoszowe, podobnie jak i artykuły, dotyczące poddania kościoła pod wymagania państwowe [1]), — jak wreszcie i artykuł, wydalający jezuitów z państwa. Zaznaczam, że wódz powstania, Boczkaj, «nazbyt jadowity heretyk-kalwin», wydalił istotnie jezuitów z ziemi siedmiogrodzkiej (11 listopada 1606), powołując się na to, co było jednak nie urzeczywistnione — że «też sąsiednie królestwo (na polskie ukazując) jezuity wygnało». Synowie Lojoli przenieśli się do Polski, ale i powstańcy węgierscy też do niej się chronili szerząc w Polsce niechęć ku zakonowi [2]). W Polsce odbiło się też echem to powstanie, a szlachta nawzajem podawała sobie za przykład i chwaliła Węgrów, że cesarzowi rebelizowali i powypędzali tych «Hiszpanków» (jezuitów) [3]).

---

[1]) Geschichte v. Ungarn, v. Fessler. 1877, IV.

[2]) Ileskazy bawił u Zebrzydowskiego, patrz jego listy. Czartor. Nr. 2737, list 45.

[3]) Wotum Prawdzickiego. Czartor. Nr. 339. K. 502. Na te wszystkie ruchy zagraniczne powołuje się autor-rokoszanin w poemacie 107 Bibl. Jagiell. 101.

Pomijam podobne ruchy w Czechach i gdzieindziej [1]), gdyż te przykłady wystarczą na dowód, że odruch przeciw jezuitom był wówczas czemś powszechno-dziejowem — i powstawać na niego — jest to samo, co uważać za błąd np., że wicher zawiał po polu.

Nawet w gnieździe jezuitów, w Hiszpanii, budzi się ruch na tle narodowem, i to (r. 1590) zwrócony przeciw kosmopolityzmowi całej organizacyi jezuickiej. O tym też tylko jednym ruchu przygodnie przy innej sposobności wspomina (697) autor, zaznaczając, że przymieszało się coś w tym ruchu «dumy narodowej», że «chcieli zdecentralizować władzę zakonu, skoncentrowaną w ręku generała, osobnego wicegenerała dla Hiszpanii niezależnego od generała Zakonu, osobnej kongregacyi hiszpańskiej, czyli, jak mówi autor, «urządzić zakon na modłę innych zakonów».

I dziś każda organizacya świeża kosmopolityczna, zamierzająca dobywać siły żywotne intelektualne na rzecz sprawy ogólniejszej z łona narodu, obudza odruch egoizmu narodowego. Czyż można się tedy dziwić, że i u nas obudził się takiż sam odruch przeciw tak wyśmienitej, tak sprężystej organizacyi, która mogła działać nie na rękę interesom «narodu» szlachty, organizacyi, której

[1]) Por. mój artykuł «Jezuici» w Encyklopedyi powszechnej ilustrowanej.

naczelnikami w polskiej prowincyi byli ludzi obcy: Włosi, Hiszpanie, Austryacy, tylko nie Polacy. Najlepszy dowód, że nie inną cechę, tylko tę miał rokosz, widać na przeobrażeniu organizacyi polskich jezuitów zaraz po wybuchu rokoszu (r. 1608), gdy na urząd przełożonego prowincyi polskich jezuitów naznacza generał zamiast, jak dotychczas cudzoziemców, pierwszy raz Polaka, Piotra Kowalskiego, Wielkopolanina, usuwając z tego naczelnego miejsca «Austryaka», jezuitę Striveriusa[1]).

Snadź ruch o zakroju narodowym, zwrócony przeciw Austryi, wywołał wrażenie na generale jezuitów, który lekceważył dotychczas i niechętnie słuchał próśb samych jezuitów (np. r. 1598), do-

[1]) Rozumiano dobrze, o co chodzi, już wonczas w r. 1605. Kiedy bowiem w roku 1605 Katarzyna Austryaczka przybyła do Polski, by zostać małżonką Zygmunta, tenże prowincyał Striverius mimo, że z przyszłą królową przybyło dwu jej dawnych spowiedników z Austryi, dał jej innego, obywatela polskiego «ne maiori aversioni a domo Austriaca Polonis daretur occasio» (Wielewicki 104). Ten antiaustryacki rys w rokoszu jest tak uznany, że niepotrzeba go chyba podkreślać — dorzucę chyba tę znamienną wiadomość, że i królowa z tym objawem się liczyła, a w czasie rokoszu demonstracyjnie chciała zaznaczyć swą sympatyę dla narodu. Tak przy końcu roku 1606 pisze nuncyusz Rangoni (Teki rzymskie, Krakow. Akademia Umiejętn., depesza z 30 grudnia roku 1606): «Król i królowa na Boże Narodzenie byli w kościele w loży drewnianej. Królowa zdjęła kapelusz niemiecki, a wdziała «a la Pollacca» ku ogólnemu zadowoleniu».

magających się o prowincyała narodowości polskiej [1]).

Użycie miary porównawczej, powszechno-dziejowej dałoby autorowi niejedną cenną wskazówkę, doprowadziłoby do rezultatów, więcej naukowo zabarwionych, a przedewszystkiem pouczyłoby, że nie można zawsze traktować Polski, jako jakiejś zaczarowanej wyspy, na której ludzie chodzą do góry nogami.

Mimo, że rokosz stanowi jeden z najważniejszych epizodów w dziejach zakonu jezuitów polskich, autor właśnie w rozdziałach, temu wstrząśnieniu społecznemu poświęconych, szczególnie grubych dopuszcza się niedokładności i wprost błędów. — Podkreśla np. na str. 508: «rzecz uderzająca, że z partyi opozycyjnej, a tem samem anti-jezuickiej

---

[1]) Podobnie też skutkiem rokoszowych ataków «narodu-szlachty» na jezuitów było przystosowywanie się jezuitów — do woli szlachty i jej wolności. Dowodzi tego fakt, że w nowem wydaniu (r. 1610) kazań Skargi nowy prowincyał polski, Piotr Fabrycy Kowalski, wypuścić kazał szóste kazanie sejmowe «O monarchii i królestwie», popierające dążności ku wzmocnieniu władzy monarszej, co, jak wiadomo, posłużyło historykom (Maciejowski, Bobrzyński II, 179—180) za pobudkę do pomawiania Skargi o tchórzostwo, a jezuitów o zmienność przekonań i «apoteozę szlacheckiej wolności». Ks. Załęski broni jezuitów (669—670), oświadczając, że dlatego to kazanie opuszczono, «bo napsuło dużo krwi trybunom szlacheckiej wolności». «Umysły nie były jeszcze uspokojone», więc ogłoszenie w takiej chwili mogło wydać się prowokacyjne.

nikt nigdy nie wymienił żadnego jezuity», jako doradcy króla.

Tymczasem to, co autor mówi, jest zupełnie mylne. Kto tak kategorycznie pisze, powinien być pewnym swego. Czy ks. Załęski, pisząc tę rozprawkę na podstawie rękopisów, sądził, że przewertował je wszystkie? Owszem, wyraźnie wskazywano palcem na oskarżonych, a jeśli już autor koniecznie, jako dowodu, chce dokumentu z podpisem i pieczęciami, to i owszem — z kilkunastu pieczęciami oryginał uchwały całej masy szlacheckiej, zebranej na sejmiku w Upicie, znajdzie autor w Bibl. XX. Czartoryskich (Nr. 2244, str. 217), gdzie szlachta wyraźnie wymienia nazwisko, oświadczając, «do tego zagrodzić, aby takich kazań na katedrach przy królu J. Mci szkodliwych Rzptej nie czynili, jako je ks. Skarga zwykł czynić, do zamieszania ojczyznę naszą przywodząc i do rozlania krwie drogę królowi J. Mci w tem państwie ukazując i poprzysiężonych artykułów, mianowicie konfederacyi, zabraniając królowi J. Mci temu państwu dotrzymywać».

Co do jednej osobistości słynnego rokoszanina, Stadnickiego, «Dyabłem» zwanego, popełnia autor dwa błędy. Jakoś tak wypadło, że wbrew woli okazał wielką protekcyę i pobłażliwość dla tego najskrajniejszego nieprzyjaciela jezuitów. I tak dwie zdrady, jakich dopuścił się ten awanturnik-szlachcic,

ks. Załęski składa na barki innych zupełnie niewinnych osób. Raz oświadcza (662), że wedle wieści pewnych miał dostać Zebrzydowski od cara Dymitra Samozwańca 100,000 rubli na zaciągi wojska rokoszańskiego przeciw własnemu królowi. Tymczasem wieść posądzała o to nie Zebrzydowskiego, ale właśnie tego «Dyabła» Stadnickiego [1]).

Drugi raz znowu same sprzeczności o tymże Stadnickim spotykamy tuż zaraz na dwu sąsiednich stronicach (656, 657). Zdaniem autora, w czasie, kiedy król dopadł Zebrzydowskiego pod Janowcem «nie tęgi w czynie Herburt», rokoszanin, zdradził Zebrzydowskiego i umknął za Wisłę, tak, że Zebrzydowski ze Stadnickim osamotnieni zostali osa-

[1]) W sprawie osławionej Dymitra Samozwańca autor, wbrew zdaniu p. Hirszberga, zaprzecza politycznemu udziałowi w niej jezuitów. Skarga prawdopodobnie, zdaniem autora, nawet przeciwny był całej aferze (przeciw temu świadczyć może udział obu jezuitów nadwornych w konferencyi jezuitów z Dymitrem, po której się nawrócił (16 kwietnia r. 1604). Rola jezuitów w tej sprawie — mówi autor — była wyłącznie religijna, a nigdy polityczna, t. j. polegająca tylko na nawróceniu jednej duszy na katolicyzm. Na końcu jednak, mówiąc o wysłaniu przez cara Dymitra jezuity Ławickiego do papieża w sprawach czysto-politycznych, zaokrągla całą kwestyę zapytaniem: «Byłaż to misya polityczna? Tak, ale — dodaje autor restrykcyę — i religijna zarazem i miała na celu ogólną sprawę chrześcijaństwa». Tak możnaby właściwie zdefiniować każdą polityczną akcyę jezuitów, bo oni oczywiście zajmowali się tylko tą akcyą polityczną, która leżała w interesie kościoła (chrześcijaństwa).

czeni przez króla. Tymczasem zdrady tej dopuścił się sam Stadnicki, a nie Herburt [1]). Myłka ta stąd powstała, że autor pomieszał to spotkanie pod Janowcem z ucieczką Herburta po bitwie pod Guzowem.

Gdyby jednak autor tylko z większą uwagą zaraz na drugiej stronicy zastanowił się nad treścią punktów pewnej cytowanej przez siebie satyry antirokoszańskiej, w której mówi się o «zdradzie» Dyabła Stadnickiego... — nie popełniłby tego błędu.

Oto jak się przedstawia pełen niedokładności ustęp w «Historyi» o rokoszu, który był jednym z najważniejszych faktów w dziejach całego życia politycznego jezuitów, ustęp, który snadź sam autor uważał za rodzaj perły w swem dziele, kiedy go osobno ogłosił w «Przeglądzie» jezuickim.

Jeszcze o jeden epizod rokoszu chciałbym się zetrzeć z autorem, mianowicie o cały bardzo ciekawy przebieg przedrokoszowego sejmu roku 1606, gdzie innowiercy mieli królowi ukradkiem «podsunąć» uchwałę jakiejś «tolerancyi» religijnej (tylko temu Skarga zapobiegł) i wogóle o cały stosunek jezuitów względem fanatycznych zaburzeń ludowych przeciw «różnym wiarom» («procesu konfe-

[1]) Patrz Bibl. Ord. Krasińskich, r. 1893. Rembowski 137. Łubieński. Op. posth. — 87.

deracyi» i t. p.), lecz szerzej o tem rozwodzę się już na innem miejscu [1]).

* * *

Do swego dzieła autor wydobył materyał z licznych źródeł, i to po części rękopiśmiennych. Szczególnie, mem zdaniem, ciekawy materyał autor miał w archiwum miasta Torunia i biskupiem w Pelplinie. Uderza nas jednak dziwnie nieporządek w podziale źródeł, umieszczonym na wstępie dzieła, podziale na «źródła i opracowania», a tych pierwszych na «rękopisy» i «druki», podział tak niekonsekwentny, że np. opracowanie arcybiskupa gnieźniejskiego Korytkowskiego znajdziesz nie pod «opracowaniami», lecz pod drukowanemi «źródłami». Czy autor wyzyskał źródła krytyczne, o tem kilkakrotnie już mówiłem. W każdym razie autor powinien był z większem zastrzeżeniem budować swe poglądy na takich niepewnych autorach, których ustawicznie cytuje, jak Rostowskiego (któremu sam wytyka mylki, str. 136) lub Bohomolca (Życie Zamoyskiego).

Korzystając ze źródeł, autor czasem nie ma tego na pilnej pieczy, aby być ścisłym i dokła-

---

[1]) «Nienawiść wyznaniowa tłumów za rządów Zygmunta III». Warszawa. 1902, szczególnie w ustępie «Noc jezuitów».

dnym [1]). Czasem nawet, znać jakby zbytni pośpiech, zaniedbanie, brak wykończenia i zgruntowania. Czasem zaniedbuje autor wyjaśnić sobie czy czytelnikowi, kto jest właściwie osobą działającą, o której mówi źródło. Tak np., przytaczając jeden z ciekawych aktów tajnych, dotyczących praktyk Zygmunta III z Ernestem, pisze (474): «Aliści w dzień św. Szczepana wchodzi do biskupa Jędrzeja biskup Koiński i oznajmia». Co do biskupa «Koińskiego» próbuje przynajmniej autor i stara się odgadnąć, co to jest za osobistość, ale, nie mogąc sobie z nią w żaden sposób poradzić, daje pokój. Kto zaś jest ten biskup Jędrzej? autor nawet nie tłómaczy, czytelnik patrzy weń, jak w sfinksa. Możnaby to jeszcze autorowi puścić płazem, gdyby nie to, że o tym biskupie Jędrzeju autor ustawicznie na następnych stronach rozprawia i nim operuje, a nikt nie wie, kto to ten przewijający się biskup w czarnej masce. Potem znów słyszymy o cesarskim pośle, biskupie Jędrzeju

[1]) Wytknąć musimy też autorowi, że przytacza źródła nie według oryginalnego brzmienia polskiego — lecz z tłómaczenia łacińskiego (np. str. 546: zamiast artykułów rokoszowych, drukowanych przez Rembowskiego). Przestarzałym też trzeba nazwać zwyczaj autora, że na poparcie swego zdania przytacza bardzo często poglądy autorytetów i powag dzisiejszej doby — zamiast swe zdanie oprzeć i budować na własnem opracowaniu źródeł.

Jerinie, i nie wiemy, czy to nowa postać, czy też ta sama?

Nie myślę stawiać autorowi zarzutu, że nie znał tego lub tamtego źródła, boć, kto tworzy dzieło o tak szerokich rozmiarach, może poprzestać tylko na zdaniu sprawy z tego, co w opracowaniach przedstawiono. Ale zato właśnie muszę zarzucić, że autor nie posługuje się opracowaniami, które znać był powinien. Nie widzimy w spisie źródeł ani w odpowiedniem miejscu, gdzie traktuje o praktykach rakuskich, rozprawy W. W. Tomka, Snahy domu rakouského o nabyti koruny polske w 16 stoleti. Podobnież, kto tak wysoko, jak autor, stawia znaczenie rokoszu w dziejach jezuitów, widzi w nim przełomowe zdarzenie dziejowe — ten bezwarunkowo powinien znać rozprawę A. Sokołowskiego: «Przed rokoszem» i rozprawić się z jego zarzutami przeciw protekcyi jezuitów na dworze Zygmuntowym.

Pod względem układu przedmiotu godzę się na to, że autor, idąc utartą drogą, właśnie w rokoszu Zebrzydowskiego widzi przełom w dziejach historyi jezuitów polskich i pierwszą epokę jezuitów polskich po ten czas doprowadza.

Co do reszty jednak ugrupowania — nie zgodziłbym się na wszystko z autorem. Co prawda, ugrupować różnorodne objawy życia zakonu nie było zadaniem łatwem. Na przeszkodzie temu stanęło jeszcze i to, że autorowi niejednokrotnie

brak miary wytrawnego historyka, który umie obciąć swoje dzieło i przekreślić rzeczy, choćby najstaranniej badane, lecz psujące jednolitość dzieła. Jeśli wynajdzie jaki list, to już cały cytuje, choćby część jego nie dotyczyła zupełnie omawianego przedmiotu (146). Jeśli mówi o Batorym, to już musi popisać się szerokiemi wiadomościami co do całego rodu Batorych — choć co prawda, w wywodzie tej genealogii nie sięga tak już daleko, jak w swej dawnej rozprawie o Stefanie Batorym, kiedy to poczynał aż od króla Alaryka [1]).

Autor, traktując o cząstce Zakonu międzynarodowego, pozwala sobie ustawicznie na zboczenia w kierunku historyi ogólno-europejskiej zakonu. Mogło to wpłynąć bardzo dodatnio — podsuwając autorowi wskazówki porównawcze między dziejami Europy a samej Polski. Niestety, tego wpływu nie widać zupełnie, i to, jak wskazałem, jest kardynalnym błędem autora [2]). Ten pociąg ku reszcie Europy dał się odczuć tylko w sposób ujemny w ugrupowaniu faktów — w przeskakiwaniu z Szwecyi do Mołdawii — z Moskwy do Wiednia i mieszaniu dziejów jezuitów polskich z siedmiogrodzkimi. Lepiej było traktować o tych ostatnich

[1]) Porówn. tak samo. Spis na wojnę moskiewską (353), spis złotych róż (528).

[2]) Oczywista, że sam frazes «stan Polski był tylko odblaskiem i oddźwiękiem ówczesnego stanu Europy» (71) nie naprawi złego.

w osobnym ekskursie (363). Należeli oni do prowincyi polskiej, ale krótko, i wpływ ich przez to na dzieje Polski nie był taki, aby ich razem z nimi wiązać.

Gdzieniegdzie ugrupowanie jest wprost fatalne. W samej intytulacyi ustępów spotykamy (§ 41 i § 43) dwukrotnie «śmierć króla Stefana Batorego». Istotnie w tych ustępach mówi się już raz o śmierci Batorego, o elekcyi Zygmunta III, nawet o układach będzińskich, a potem znowu widzimy — jak zmartwychwstały Batory układa plany, potem powtórnie autor opowiada szczegółowo o chwilach jego konania i «lekkich pigułkach», «sześciu pijawkach», «krwie» upuszczeniu i t. p. lekarstwach, wszystko o rzeczach bardzo ciekawych, jak dla... historyi jezuitów w Polsce.

Wiązał te ustępy stylem pięknym, choć znowu nie tak olśniewającym, aby autora wraz z krytykiem «Kwartalnika historycznego» nazwać: «jednym z najlepszych naszych stylistów» (str. 710). U autora wprawdzie widać dążności nadania swemu stylowi pewnej staropolskiej powagi — ale polega to tylko na dorzucaniu od czasu do czasu słów, naprzykład, tego rodzaju, jak «ony», «ona», «onej» zamiast «ów», jak «nie lża» (str. 430), jak «dumne pany», «biskupy», «senatory» i t. p., albo w tytułach takich, jak «Wojsko Skargi i jezuitów na wojnę przeciw różnowiercom» (§ 59).

Nie powiedziałbym też, żeby do najszczęśliw-

szych należało upodobanie, naprzykład, do takiego zwrotu, jak «na zognioną ranę, zadaną przez Islam, radził położyć plasterek seminaryów wojskowych i kas wojennych» (str. 323) lub «pod Guzowem guz rokoszowy przecięto, rana jednak ropiała», «kłaść główną forsę na co» (102), «pod oboim tym względem» (108), wyrażenia czasem zbyt dosadne, naprzykład jezuici «prażyli niesforne kupy różnowiercze».

O tendencyjności autora nic więcej nie powiem prócz tego, co wyżej. Gotów jestem zgodzić się na to, że każdy autor musi mieć jakiś swój ton przewodni, jakąś tezę z góry przyjętą i nawet na to, że powinien to ostentacyjnie zaznaczać i wszystko do niej kierować. Ale przynajmniej niech mi wolno będzie wymagać od takiego autora, aby w wieku obecnym nauki historycznej, w wieku takich Jantzenów, robiono to w sposób udatniejszy, aniżeli naprzykład w dziełach polemicznych XVII-go wieku. Jeśli się już wyszukuje dokumenty specyalnie w celu dowodzenia swoich pomysłów, to niechże mi wolno będzie żądać zgrabnej w tem ręki, a tej nie możemy autorowi przyznać. Tak, naprzykład, autor w apologii swej Zygmunta III-go nie godzi się na utarte dotąd mniemanie, że król od początku panowania nie umiał sobie ująć serca narodu, mniemanie, illustrowane zwykle słowami Zamoyskiego, wyrzeczonemi do Leśniowolskiego o Zy-

gmuncie III [1]). Przeciwnie, chce dowieść, że Zygmunt III odrazu zdobył sobie sympatyę narodu i przypadł mu do gustu. W tym celu szuka świadectwa i... znajduje list Karnkowskiego do ojca Zygmunta III, Jana szwedzkiego, pełen oczywiście przesadnych komplementów i pochwał dla syna — list, o którego szczerości sam autor musi — powątpiewać.

To się nazywa... niezgrabność. Jeżeli bowiem autor chciał już dowodzić, to mógł znaleźć świadectwo więcej bezstronne, a tak wspaniałe, jakim jest list Skargi z tego czasu, ogłoszony jeszcze przez Maciejowskiego (Dod. 182), list, który znać powinien autor czerpiący wiadomości do swej pracy nawet z rękopiśmiennych i nieznanych źródeł.

Mimo to wszystko jest w tem dziele jedna struna powabna i pociągająca: bije z niej tętno życia, bucha żar przekonania, strzela iskra bezwzględnej wiary w zasady śmiało głoszone przez autora. I stąd rozpatrywane dzieło przedstawia dla nas interesujące zjawisko. Przysparza ono nam (po raz już nie wiedzieć który) nowy dowód, jak to niezmiernie trudno pisać historyę — bezstronnie. Wszak autor miał chęć najlepszą, aby pisać «sine ira ac studio» a jednak, ledwo zaczął pisać, zaraz niepostrzeżenie wślizga się pod jego lotne pióro jakieś gorętsze wyrażenie, świadczące wyra-

[1]) Por. wyżej «Hetman żałobny».

źnie, ku której stronie rwie się jego serce a przeciw komu idzie w zapasy... Skłonności te ujmują go w swoje żelazne kleszcze, robią zeń swego niewolnika, który pisać musi tak, jak zaleca mu wychowanie i reguły życia zakonnego. I tu tkwi bodaj najwalniejsze usprawiedliwienie najważniejszych usterek napotkanych w «historyi jezuitów» skreślonej przez — jezuitę.

UPADEK RODZINY STARZECHOWSKICH

(PRZYCZYNEK DO HISTORYI „EGZEKUCYI DÓBR")

W drugiej połowie XVI w. wzbiera w Rzptej polskiej ruch natury gospodarczo-społecznej pod hasłem tak zwanej «ekzekucyi dóbr». Ruchem tym kieruje stronnictwo reformy bardzo sprężyście i istotnie przeprowadza sporo punktów swojego programu. Taka energia i zapał cechuje cały ten ruch, że pod tym względem równać się może z nim chyba tylko ruch reformy, podjęty pod sam koniec istnienia Rzptej.

Mimo całej wagi, jaką do tego ruchu przywiązuje nasze dziejopisarstwo, nie można powiedzieć, aby go dotąd dostatecznie wyjaśniono. Ogólnie wiadomo, że byłto ruch szerszych warstw szlachty przeciw senatorom, że głównym jego postulatem było odzyskać z rąk magnateryi przedawnione królewszczyzny i na tej podstawie oprzeć militarną i finansową siłę państwa... Wiadomo w końcu, że w szóstym dziesiątku stulecia na sejmach istotnie zwyciężyła sprawa ekzekucyi, że na skutek odpowiednich uchwał zabrano się do rewizyi dóbr po całej Rzptej i ich «ekzekucyi».

Aby wyjść z poza tych ogólników i wytworzyć sobie jasne wyobrażenie o postulatach szlachty, uważałem za najstosowniejsze obrać sobie za model pewien specyalny kompleks królewszczyzn i na tem tle śledzić przebieg całego przeobrażenia. Historya «egzekucyi» pewnego obszaru domenów królewskich i pewnej związanej z nim rodziny, będzie, zdaniem mem, niezłą ilustracyą tego ruchu, czasem może nawet rzucić na motywy działania jaśniejszy promyk, niż niejedna uchwała sejmowa lub mowa spisana po dyaryuszach. Szczególnie może to mieć miejsce w niniejszym wypadku, w którym gra idzie o kompleks dóbr, mogący posłużyć za klasyczny w danej kwestyi przykład, bo o najrentowniejsze w Koronie starostwo — o Samborskie [1]).

To «tłuste» starostwo, dzięki swemu pogranicznemu położeniu, oddawna już skłaniało swych dzierżawców do swobodniejszego postępowania z mieniem królewskiem. Wszak to na zastawach Samborszczyzny urosła potęga takiej miary magnatów, jak Odrowąże w XV i XVI w., i ona to właśnie

---

[1]) Samborszczyzna prosi się o opracowanie swego stopniowego rozwoju gospodarczego. Znaleść można do jej historyi obfity materyał w Dodatkach do Gazety Lwowskiej z r. 1872, w wydanych przez prof. Ulanowskiego Aktach komisyi samborskiej z r. 1698 (Arch. komisyi prawniczej r. 1897 t. V) i w lustracyach znajdujących się (dawniej w Ms. w Bibl. w Podhorcach) dziś w Krakowie.

pobudziła już humanistę Grzegorza z Sanoka do poruszenia myśli «ekzekucyi» rozdrapanych dóbr królewskich [1]). W XVII zaś wieku bogate to starostwo wydawało starościanki samborskie, którym nie dziwota było dać się koronować w Kremlu na carową moskiewską (Maryna Mniszchówna)...

Epizod, dotyczący tego starostwa, budzić może tem większą ciekawość, że wybitną w nim rolę odgrywa młody jeszcze Jan Zamoyski, późniejszy znamienity hetman i kanclerz wielki koronny. Jestto jego pierwszy występ w kraju niebawem po powrocie ze studyów z Włoch — występ, dotąd zupełnie nieznany, a rzucający pewne nowe oświetlenie na pierwsze kroki tego późniejszego «trybuna mas szlacheckich» [2]).

* * *

Jednym z magnatów, którego dotkliwie miała dosięgnąć «ekzekucya» — był Jan Starzechowski,

---

[1]) Kwartalnik histor. t. VI, str. 741. Prohaska, Konfederacya lwowska.

[2]) Przedstawienie genezy i przebiegu całej poniższej sprawy polega na zestawieniu rękopiśmiennych wiadomości, które zebrałem w Archiwum min. justycyi w Moskwie, w Metryce koronnej w Warszawie i archiwum Bernardyńskiem we Lwowie. Wiadomości te i daty często były bardzo ułamkowe, pełne luk i niedomówień.

wojewoda podolski. Dobra jego rozsiadły się na południowym-wschodzie Rzplitej, gdzie (jako na rubieżach) łatwiej mogły kupić się w jednych ręku większe obszary. Tu najwięcej dóbr pochodziło ze szczodrobliwości i hojności ręki królewskiej. Stądto nawet drobna szlachta ruska wyjątkowo należała na sejmach do opozycyi przeciw «ekzekucyi dóbr».

Już na słynnym sejmie 1562/3, na którym pierwszy raz zwolennicy ekzekucyi przeparli swoje żądania, między innymi (3 grudnia 1562) pod naciskiem szlachty i nasz «wojewoda podolski oddał listy, które miał na wieczności kilku wsi królewskich z tym dokładem i żalem, że to teraz wraca, co wygardłował» [1]).

Nie ze wszystkich królewszczyzn zrezygnował wtedy wojewoda podolski. Sprawy o to ciągnęły się i na następnych sejmach, a snadź nie były to drobiazgi, kiedy Stanisław Orzechowski w swym «Dyalogu abo rozmowie około ekzekucyej polskiej korony w r. 1563» układa

---

[1]) Dyaryusz sejmu wyd. Działyński str. 21, por. str. 14. Wyjaśnienie terminów z czasów ruchu ekzekucyjnego jak «Kwarta» «na wieczność» i podobnych, które następnie spotka czytelnik w niniejszej rozprawce, znaleźć można w Pawińskiego «Skarbowości» pod odpowiednimi rozdziałami w spisie treści zaznaczonymi. Studyum niniejsze przeznaczam dla czytelnika już bliżej obznajomionego z głównymi cechami ruchu egzekucyjnego.

specyalnie dla tego magnata dłuższą panegiryczną apologię, którą pozwany w sprawie ekzekucyi na sejm, ma wypowiedzieć.

«A coć się zda, Jan Starzechowski, wojewoda podolski izali tegoż — na sądzie pozwany — mówić nie będzie? «Królu! dobrześ mi dał. Mnie w Sokalskiej bitwie kilka stryjów rodzonych zabito, mnie ociec mój od młodości mej ku służbom twym na Podolu, w Litwie, w Moskwie przy sobie ćwiczył. Sam jakoć służył przez swój wiek wszystek Bóg i ludzie wiedzą, zostawił mnie po sobie gotowym sługą tobie. Która potrzeba, która wojna, która posługa wojenna jest, którejbym ja omieszkał. Otworzyłem gumna, stajnie, obory, piwnice i komory swe braci i sąsiadom swym żywiąc a chowając je ku posługom twym. Wezmiesz-li ty to, coś mi dał? naprzód prawo moje i rzeczenie swe królewskie złomiesz, a potem wiela ludzi godnych tobie przy mnie ogłodzisz i sam sobie stracisz?...»

O co chodziło Starzechowskiemu?

Całą tę sprawę możemy bliżej poznać, przypatrując się faktom, jakie w dobrach, dzierżonych przez Starzechowskiego, znaleźli rewizorowie, wysłani na podstawie znanych uchwał sejmowych w szóstym dziesiątku XVI wieku. W lustracyi, dokonanej 1565/6 w obu starostwach dzierżawionych przez Starzechowskiego, tj. w starostwie samborskiem

i drohobyckiem [1]), znaleźli bardzo wiele dóbr, bezprawnie przez wojewodę przywłaszczonych (przyczem — rzecz znamienna — rewizor, wysłany z ramienia senatu, zapatrywał się na tego rodzaju wykroczenie kolegi-senatora daleko pobłażliwiej od innych swych towarzyszy — zwykłych szlachciców).

Ci ostatni zastali anormalne wprost stosunki w dzierżonem przez wojewodę starostwie drohobyckiem (przynosiło ono rocznego dochodu 1413 zł.) [2]). Nieporządki mogły się tem łatwiej zakraść do tego starostwa, że obecny wojewoda dostał je — że się tak wyrażę «dziedzicznie» — po swym ojcu, wojewodzie bełzkim, Wojciechu. Sam Jan Starzechowski przyznaje na sejmie, że dostał w obrębie tego starostwa w spadku na własność po ojcu i takie dobra, które stronnicy ekzekucyi, jako bezprawnie nabyte, chcieli napowrót odzyskać i do dóbr królewskich przyłączyć [3]).

---

[1]) Rewizya tych dóbr ogłoszona we Lwowie w «Żereła do istoryj Ukrainy-Rusi». Towarz. im. Szewczenki tom 1, 2, 3. Lwów 1895, 97, 1900.

[2]) Tak według taksy z r. 1563, (Żereła Tow. Szewczenki l. c.), lecz według taksy z r. 1567 dochód roczny miał wynosić tylko 1191 zł. (Księgi podskarbińskie. Pawiński. Źródła dziejowe, t. IX, str. 186). Grosze opuszczam.

[3]) Dyaryusz sejmu 1562/3, str. 14, «bo i swego własnego, co mi ojciec swój zostawił...» Żereła lc. t. I, 209 też w Metr.

To «dziedziczenie», to przechodzenie starostwa z ojca na syna pozwalało tej rodzinie magnackiej zagnieździć się tu na dobre, a nawet pod tą osłoną oderwać pewne wsie od kompleksu czasowo tylko dzierżawionych królewszczyzn i na zawsze już ku swym prywatnym majątkom zagarnąć — bądź to drogą łaski królewskiej, bądź jakim innym sposobem. I tak w samem mieście Drohobyczu nasz wojewoda podolski był w posiadaniu dziedzicznem tylko $^1/_3$ wójtostwa, ale niebawem zdołał starosta pod tym pozorem nieznacznie rozszerzyć swe rozszczenia do dochodów z obu miejskich młynów cztero-kołowych [1]), zagarnąć na swój rachunek prywatny wszystkie stawy w mieście, przywłaszczyć sobie bezprawnie («usurpatio») warzelnie soli, wreszcie rozpostrzeć swą władzę sądowniczą nad wszystkimi ludźmi, warzącymi sól, i wogóle nad wszystkimi mieszczanami. Przytem wszystkie czynsze z domów miejskich i przedmiejskich pobierał do własnej kasy («usurpatio»). Wszystkiego zaś tego dokonał tylko pod pozorem

koronn. w Warszawie, t. 101, f. 295, gdzie pod r. 1543 ojciec Wojciech nazwany jest starostą drohobyckim.

[1]) Mianowicie zagarnął na własny rachunek «dwie miary», które z obu młynów przynosiły rocznie 460 zł. Ponieważ dochody z jednego młyna (230 zł.) należały podobno istotnie do wójta drohobyckiego, więc Starzechowski miał prawo tylko $^1/_3$ tych dochodów czyli nie całe 77 zł. (Według rewizyi z r. 1569. Arch. główne warszawskie. Akta rewizyi. Nr. 71).

owego prawa wójtowskiego (praetextu iuris advocatialis), którego tylko $^1/_3$ część skupił [1]).

Jak w Drohobyczu, tak i w innych wsiach tego starostwa punktem wyjścia dla wojewody do zagarnięcia całych wsi na własność był tak samo sprytnie wyzyskany pozór istotnie słusznie posiadanego w nich dziedziczonego wójtostwa czy sołtystwa. Wójtostwa, to były placówki do akcyi rozszerzenia majętności.

I tak we wsi *Stebniku* Starzechowski, jako w ó j t, miał prawo własności tylko do kilku łanów, pewnych ogrodów i prawo warzenia soli na sprzedaż w jednej barci solnej [2]). Wszystko zaś inne w tej wsi królewskiej oczywiście dzierżawił tylko do czasu, jako starosta drohobycki, i z dochodów obowiązany był składać rachunek. Tymczasem starosta oświadcza rewizorom, że ta cała wieś nie jest królewską, ale jego własnością prywatną, a tak samo i druga wieś do tej wsi przyległa *Bolechowce*. Stąd to rewizorowie uważali za stosowne podkreślić w swych inwentarzach, że starosta chce posiadać to «wszystko nie jako dzierżawca, ale jako

---

[1]) Żereła t. I, 201, 216 (Lustracye rewizorów) i Castr. Praemisl. t. 287, str. 612: pozwy królewskie, z których cytuję w tekście «usurpatio» «praetextu iuris» i t. p. Podobne wyrażenia «usurpando» «pretextu advocatiae Drohobicensis» «ademptio» znajdują się w pozwie królewskim przytoczonym w dekrecie królewskim (Metr. koronn. 106 f. 67).

[2]) Żereła, lc. 222.

possessor haereditarius bonorum praefatorum»[1]) chociaż pomimo interpelacyi «na te dobra j. m. (wojewoda) nie pokazował (dowodów) na sejmie przeszłym warszawskim».

Z tem wszystkiem trzeba dodać, że ta wieś Stebnik z swą sąsiadką, Bolechowcami, była nie lada kąskiem. Stebnik przynosił rocznego dochodu 549 zł., Bolechowce 55 zł.[2]). Wieś ta obfitowała przedewszystkiem w bogactwa mineralne (jak sól, ałun), które zresztą w niej do dziś się jeszcze nie wyczerpały, (Stebnik dziś jeszcze jest siedzibą salinarnego zarządu austryackiego i wydaje rocznie 120,000 cetnarów wiedeńskich soli kuchennej, a 10,000 bydlęcej). Rewizorowie notują, że przed zagarnięciem tej wsi przez wojewodę «wielkie dochody» szły z niej do skarbu królewskiego, tymczasem teraz wojewoda przywłaszczył sobie i «banię solną osobliwą między inszymi baniami wiejskimi», z wieżą «do robienia soli», «z których nie mały pożytek przychodził do (królewskiego) dworu drohobyckiego», zagarnął tamże i banię «hałuszową», tj. «źródło osobliwe, w których się hałun sadzi, którego dosyć nabierają, gdy zima bywa twarda», zagarnął i myto od przewożących sól, które dawniej przy-

[1]) Żereła, lc. 222—3.

[2]) Wedle rewizyi z r. 1569. Arch. akt dawnych w Warszawie. Akta rewizyi t. 71 s. 34.

nosiło około 600 zł., (podobnież myto we wsi Tynowie i Hroszowie). Trzeba zaś dodać i to, że z otaczających wieś Stebnik «jeszcze nie ruszanych lasów», tak wielkich i nieprzystępnych, że rewizorowie nie odważyli się ich objeżdżać» «wyrębują ustawicznie do Stebnika wsi» i «spustoszono je już nie mało».

Kiedy rewizorowie dopytywali się obecnie o podstawy posiadania Stebnika, oświadczyli im słudzy wojewody, że ta wieś ze wszystkimi pożytkami d a n a jest p. wojewodzie k u onemu wójtostwu staremu (tj. drohobyckiemu, w odróżnieniu od stebnickiego późniejszego) zaś Bolechowce znowu «k u Stebnikowi j. m. dzierży». Na usprawiedliwienie tego przyimka «ku» nie było dokumentów, a tylko jakieś sprzeczne wiadomości, jakoby wojewoda uprosił sobie Stebnik u króla «na wieczność», to znowu, że tylko je dzierży «forma advocatiali...» [1]).

[1]) W wiarogodność świadectw składanych przez sługi starosty rewizorowie nie wiele zresztą zapewne pokładali wiary. Sami ich bowiem przyłapali na ukrywaniu lub umniejszaniu wysokości dochodów z dóbr starostwa (zmierzającem oczywiście ku temu, aby na tej podstawie wymierzono z tych dóbr mniejszą kwartę). Tak np. w Hubicach wsi wedle zeznań służebnika starosty (Najduhowskiego) karczma ma nieść dochodu rocznego zł. 6 i gr. 12., gdy chłopi przy przysiędze zeznali, że karczma daje 15 grzywien (Żereła lc. 208). Wedle oświadczeń starościńskich sług arenda z młynu tamże ma nieść grzywien 15, gdy ludzie przysięgli, że najmują ten młyn za 55 zł. i gr. 6 (lc. 216). Ciż urzędnicy sta-

Może za dawnych dobrych czasów takie oświadczenie i dowody wystarczały, ale teraz nadpływały nowe prądy, których hasłem: usunąć raz na zawsze wszelką mglistość i niejasność w posiadaniu dóbr z łaski królewskiej dzierżonych, wprowadzić rząd i ład w gospodarce i finansach państwowych a przedewszystkiem jasno i ściśle odgraniczyć i określić, co kto na jakiej podstawie posiada... Zwiastunami tych nowych czasów są właśnie ci przybyli tu na podstawie uchwał sejmowych rewizorowie, z których jeden najzabiegliwszy, Sokołowski, reasumując powyższe nieporządki, konkluduje i oblicza: [1])

«W Stebniku, w Bolechowcach, w młyniech drohobyckiem, w mycie Hruszowskim, w ogrodzie i ogrodnikach miasta Drohobycza, co to wszystko należało do dworu starostwa drohobyckiego — co się z regestrów i powieści ludzkiej okazało — przywłaszcza te rzeczy sobie wszystkie p. wojewoda (i lasy, które są bardzo dobre i najwięcej ich przy wsiach mianowanych)... ku wój-

---

rosty, mówiąc o nikłych plonach pewnego folwarku, tak przesadzają, że wywołują u rewizorów tylko niedowierzanie (lc. 219) Tak samo będzie i przy rewizyi starostwa samborskiego, w którem np. w Babinie dopiero karczmarka zdradza wyższą arendę z karczmy i mostowego (lc. 246).

[1]) Arch. min. «justycyi» w Moskwie, IV. B. 7, «Protokoły rewizyi dóbr» (odmienne nieco od Lustracyi drukowanych w Żerełach).

tostwu drohobyckiemu i stebnickiemu. Także i we wsi Hruszowa [1]) kilka łanów i wież kilka na baniach drohobyckich i banię solną w Stebniku i myta i hałunowe okno, co wszystko tam czyni przez 2000 zł. uzurpuje sobą (sic!) p. wojewoda ku przyrzeczonym wójtostwom, ale z przywileju od króla Władysława wójtowi drohobyckiemu nadanego, nie okazuje się tego i połowica wójtowska...» (wojewoda posiadał tylko $^1/_3$ tego wójtostwa).

* * *

Już ta sama litania «przywłaszczeń» — objaśnia stan rzeczy i powody owych krzyków szlachty o ekzekucyę i o odzyskanie z rąk panów roztrwonionych czy zastawionych królewszczyzn. Ale to dopiero połowa sprawy. Są jeszcze zastawy. Tytułem zastawu posiada wojewoda w temże starostwie drohobyckiem dożywocie na całym tak zwanym «kluczu medenickim», obejmującym wsie Medenica, Letnia, Bilcze, Horuczka, Litynia, Hruszowa, Tynów, Leśnia [2]). Niemały to klucz, leżący

[1]) O wsi Hruszowa niżej.

[2]) O rozpościeraniu się Starzechowskich w tem starostwie i planie zaokrąglenia tego klucza dowodzi i to, że swego czasu jako starostowie drohobyccy «mocą» wzięli panom Lityńskim (wspomniane w szeregu wsi medenickiego klucza) wsie dziedziczne Litynię, Tynów i Sieliszcze. Wojewoda uważał je za swe własne. W końcu dopiero król za przyczynieniem się senatu

w dobrym gruncie, zaś wsie Litynia i Tynów na wet — zdaniem rewizora Sokołowskiego w «bardzo niepospolitym». W kluczu tym jest «stawów wielkich i młynów kilka dobrych, łąk bardzo wiele, a siano tam bardzo skupne; lasów dosyć i zwierza w nich, myto wielkie na moście przez Dniestr folwarki wielkie, urodzajne» [1]).

Dostał wojewoda ten klucz jeszcze w r. 1555 dożywociem w zastaw za 10,000 zł. pożyczonych królowi na potrzebę moskiewską, przyczem król mu z góry zastrzegł, że zastaw ten jako dany na potrzeby Rzptej nie podpadnie «paenis et executioni contra dandam pecuniam su-

---

i posłów dał w zamian (frymarkiem) Lityńskim inne wsie w powiecie lubaczowskim, Krowice i Hroszków (Żereła lc. III 298). Z powodu następnego oporu, jaki Starzechowski stawiał rewizyi, frymark z Lityńskimi nie mógł być zaraz uregulowany (Metr. koronn. w Warszawie, t. 106 f. 67). Rewizorowie mogli wprawdzie rewidować wsie posiadane przez Lityńskich, ale nie mogli lustrować dóbr poprzednio przez Lityńskich posiadanych; Litynię bowiem trzymał syn wojewody Starzechowskiego a Tynowę i Sieliszcze sam wojewoda i «rewidować nie dopuścił z tej przyczyny, iżby te wsie miały być ku (!) wójtostwie drohobyckiemu dzierżawy jego» (Arch. akt dawnych w Warszawie. (Akta lustracyi tom 9 (18 dawniej) str. 63 i 67). W następnych spisach znowu jednak wieś Tynów znika (wskutek jakiejś zamiany ?) a w miejsce jego występuje wieś Radilicz (w miejsce Hruszowej Tęszak), na co zwrócono przy rewizyi uwagę (Arch. min. justycyi Mosk. B. IV 7, f. 218).

[1]) Arch. min. justycyi w Moskwie B. IV, 6, f. 415 i IV, B., 7, f. 218.

per bona regalia statutis» [1]). To zastrzeżenie dlatego dodał król, bo, jak wiadomo, według statutów i rozumienia wszystkiej szlachty (ruch egzekucyjny popierającej) dożywocie na tym kluczu — było bezprawne jako «suma *nowa*» (tj. po r. 1504 zastawiona — objaśnienie w Pawińskiego «Skarbowości»). Nic też dziwnego, że niebawem na sejmie r. 1563 zwolennicy «egzekucyi» podnieśli nieważność tego zastawu, tak że Starzechowskiemu nie pozostałoby nic innego, tylko zastawione dobra zwrócić. Zaznaczyć trzeba, że nawet w takim razie Starzechowski nicby nie stracił, bo od r. 1555 z tego zastawionego klucza, który przynosił rocznego dochodu 1719 zł. [2]) wybrał już wojewoda na swój rachunek do 14,000 zł. Król jednak na tym sejmie (15 grudnia 1563) w łaskawości swej oddał nadal ten klucz w ręce Starzechowskich, przelewając to dożywocie z ojca na syna Stanisława [3])

---

[1]) Arch. min. justycyi w Moskwie B. IV, 9, Advitalitates in bonis regalibus.

[2]) Otaksowanie tego klucza na 1719 było bardzo pobłażliwe, bo już w r. 1589 taksują go 1948 zł. (Pawiński. Księgi podskarbińskie) a suma wyszczególnionych (w inwentarzu z r. 1569, w warszawskiem Arch. akt dawnych Nr. 71) pozycyi wykazuje aż do 2300 zł. dochodu.

[3]) Syna tego, jak o tem świadczy poprawka w Arch. min. justycyi IV B. 7, f. 218, tylko przez pomyłkę nazwano po aktach Janem (też w Żerełach). A może istotnie pierwotnie miał dostać to dożywocie najstarszy ale wcześnie zmarły syn wojewody Jan lub syn drugiego syna wojewody Wojciecha także Jan?

aż do czasu zwrotu pożyczonej przez króla sumy. Dożywocie to miało być «gołe», połączone z obowiązkiem płacenia «nieco» (tj. kwarty) na obronę potoczną [1]).

Rzecz znamienna, że, jak wsie, poprzednio wskazane, Stebnik i Bolechowce, tak i ten klucz medenicki wojewoda «nie chciał żadną miarą» [2]) rewizorowi pozwolić zlustrować. Niezawodnie przez to zaznaczał, że te majątki są jego własnością, a nie królewską.

Dziedziczenie starostw przez kilka generacyi było zjawiskiem ogólnem — szczególnie w czasach przedegzekucyjnych. Rzadko jednak pociągnęło to za sobą tyle przeobrażeń, jak tu właśnie. Wskutek dziedziczenia tak znacznych dóbr w starostwie drohobyckiem, starostwo to stało się główną podwaliną fortuny Starzechowskich i ich niejako «gniazdem». Dzierżył je bowiem — jak wspomnieliśmy — już ojciec wojewody podolskiego (Wojciech, wojewoda bełzki), dzierży je on teraz, a już w części przechodzić zaczyna na syna jego Stanisława. Starostwo drohobyckie z niepo-

---

[1]) Arch. min. justycyi w Moskwie B. IV, 9. Tamże przelanie na innego starszego syna (Wojciecha) lenna wsi Błotni w ziemi lwowskiej. I to lenno «nowe» posiadał był ojciec zdaniem rewizorów bezprawnie, więc uprosił je dla syna, przyczem król znowu zastrzega, że jeśli i to nadanie nie da się utrzymać jako lenno, to niech je syn trzyma jako dożywocie.

[2]) Arch. min. justycyi w Moskwie B. IV, 6, 415.

dzielną władzą nad całem miastem Drohobyczem i jego mieszkańcami było jakby jakie «państwo» Starzechowskich[1]).

Do tego starostwa drohobyckiego niebawem miało przybyć Starzechowskim sąsiednie starostwo, które oddawna miało sławę najzyskowniejszej w Rzptej dzierżawy. Było to starostwo samborskie, kąsek, o który bardzo skwapliwie zawsze ubiegali się różni dygnitarze. Dzierżył je dotąd właśnie zmarły kanclerz Osiecki. Oczywiście, dostać to starostwo tak bogate i tak blisko starostwa drohobyckiego położone — było oddawna marzeniem Starzechowskich. Marzenie to spełniło się w r. 1564, ale tylko częściowo.

Miał bowiem Starzechowski tuż pod bokiem niemałego rywala. Był nim Stanisław Herburt, kasztelan lwowski, założyciel miasta Dobromila. Gdy tylko zawakowało to starostwo w r. 1563, zaraz Herburt ofiarował królowi zł. sumę 11.000 zebraną w swej rodzinie, aby zato przynajmniej na rok jeden mógł dostać dochody z całego tak «tłustego» starostwa i z nich potrącić sobie tę pożyczkę[2]). Jakoż i następnego roku udało mu się je dostać na rok (aż do końca 1564) co prawda już za

---

[1]) Inwentarz starostwa samborskiego i drohobyc. z 1568 przez Jana Zamoyskiego. Arch. min. justycyi w Moskwie IV, B., 22. Opis tego inwentarza patrz dalej.

[2]) Ic. f. 370. 22. kwietnia 1564.

wyższą pożyczką bo 17.000 [1]). W roku 1564 podubiegł go jednak Starzechowski i otrzymał prawie całą Samborszczyznę. Herburt [2]) zaś dostał w dzierżawę tylko wszystkie żupy ruskie w starostwie drohobyckiem i samborskiem z przyłączoną do nich urwaną od starostwa samborskiego tak zwaną krainą «ozimińską», tak aby z dochodów tychże dóbr potrącał sobie przez lat 4 co roku po 4000 zł. na rzecz owego długu 17.000 (z reszty kwarta).

Już sama rywalizacya jątrzyła stosunki Herburta z Starzechowskim, cóż dopiero tak blizkie sąsiedztwo obu dzierżaw w tem samem starostwie, t. j. starostą a dzierżawcą żup solnych. Jak widzieliśmy Starzechowscy zagarnęli byli warzelnie solne w Drohobyczu, Stebniku i roztoczyli władzę sądową nad warzącymi sól (tak zwanymi «zwarzycami») pod pozorem swego wójtostwa. Żupnik oczywiście chcąc za sumę dzierżawną wydobyć z warzelni jak najwięcej dochodów, musiał wystąpić przeciw wojewodzie o zagarnione warzelnie soli. To stawiało go na stanowisku stronnika egzekucyi i obrońcy interesów dóbr królewskich. Stąd w czasie rewizyi żupnik wskazuje rewizorom na nielegalne posiadanie przez Starzechowskiego warzelni, a marząc o uzyskaniu reszty starostw, skarży się, że bez lasów starostwa drohobyckiego «żupom

[1]) Metr. koronn. w Warszawie, t. 96, f. 255.
[2]) lc. f. 180.

bardzo źle»[1]); wbrew oświadczeniom sług Starzechowskiego, którzy upewniają, że z lasów tych z «drwa w lesie żadnego pożytku» wojewoda nie ma — «pan żupnik powiada, że tego dobrze świadom, wiele (on sam) dawa za nie (drwa) panu staroście (Starzechowskiemu) na własną potrzebę J. K. Mci» (t. j. na warzenie soli).

Samą siłą rzeczy Herburt zwyciężał rywala, bo wyrastał na zwolennika egzekucyi, Starzechowski zaś wychodził na przeciwnika jej i interesów dóbr królewskich, a z tem mógł tracić w oczach nie tylko rewizorów królewskich, ale i króla. Według dokumentu z r. 1565, w którym król utwierdza Starzechowskiego w posiadaniu tego starostwa[2]), Starzechowski dostał Samborszczyznę, jako «sumę nową». Była to suma, choć «nowa», jednak «dobra», bo wyjątkowo, jak wiadomo, r. 1565, sejm pozwolił królowi na wojnę moskiewską zastawić na 500.000 zł. królewszczyzny i między innymi Starzechowski dostał w zastaw to starostwo Samborskie na pożyczkę 21.000 zł.[3]). Miał wojewoda trzymać tę Samborszczyznę do śmierci. Stosownie

[1]) Arch. min. just. w Moskwie lc. B IV 6. f. 415.

[2]) Dwa dokumenty w tej sprawie z 3 października 1565 «Conservatio» i «Assecuratio» w Metryce koronn. w Warszawie, ks. 100, f. 86 i 87.

[3]) Nadto w tymże samym roku na toż starostwo samborskie (i w skład tychże 500.000) pożyczył król od Marcina Zborowskiego kasztel. krakow. 30.000 zł. (Metr. kor. 99 f. 82 i 101, f. 272). Dochód z tego starostwa (7.354 zł.) miał brać Starze-

do ustawy z tegoż r. 1565, aby odtąd przy zastawie dług królewski z dochodów zastawionych zawsze się umarzał stopniowo (extenuatio) — miała ta suma 21.000 umarzać się corocznie po 4000, (a z reszty dochodów zwykła kwarta). Gdyby umarł wojewoda przed umorzeniem długu, jego spadkobiercy z dochodów tegoż starostwa mają nadal umarzać powyższą sumę dłużną.

Nie spodziewał się wojewoda, że ten ostatni przewidziany wypadek miał wkrótce nastąpić, i postanowił tak się tu zagnieździć, jak w drohobyckiem. Tej samej, co i tam, umyślił tu użyć metody — «wójtostw». W tym celu (27 kwietnia 1564) otrzymał od króla pozwolenie na wykupno wszystkich wójtostw, sołtystw i t. p. w tem nowem starostwie [1]). Aby sobie następnie jak całej gospodarki nie popsuć, przybywającemu z kolei do tego starostwa rewizorowi nie pozwolił osobiście objeżdżać wszystkich wsi, ale tylko zbierać dane według ustnych relacyi, dawanych mu w samem mieście Samborze. Że te informacye były nie wiele warte, świadczą skargi rewizora, który jako przykład przytacza, że dochody z młyna samborskiego podano na 120 zł., gdy istotnie wynosiły 1500 zł. [2]).

Tego rodzaju postępowanie, o którem rewizo-

chowski, podczas gdy Zborowski otrzymywał 2000 z starostwa nowokorczyńskiego.

[1]) Metr. koronn. w Warszawie, t. 99, f. 39.

[2]) Arch. min. justyc. IV B 6, f. 415.

rowie zdali sprawę królowi, nie mogło usposabiać przychylnie króla dla Starzechowskiego. Temu przypisać zapewne należy, że ostatecznie szala zwycięstwa w końcu przechyla się na stronę jego rywala. Dowodem zaskarbienia sobie łask królewskich jest fakt, że już 2 sierpnia 1566 dostał [1]) Herburt od króla pozwolenie na wykupienie wszystkich długów króla obciążających królewszczyzny całego powiatu (districtus) przemyskiego wraz z przyrzeczeniem, że wykupione dobra będzie dzierżył, póki mu król sum na nich ciążących nie zwróci. Wszystkie następne okoliczności zdają się wskazywać, że podobne pozwolenie otrzymał i na resztę powiatów (samborski i drohobycki), należących do grodu przemyskiego. W ten sposób Herburt miał w swych ręku zjednoczyć potężną dzierżawę królewską i, pewny już zwycięstwa, przystąpił w powiecie przemyskim na miejscu dawnej wsi własnej do budowania nowego «gniazda Herburtów» — miasta Dobromila, na którego założenie wystarał się teraz u króla o pozwolenie (28 kwietnia 1566) [2]). Tymczasem przeciwnik jego, wojewoda Starzechowski doczekał się tego, że o niedopuszczenie akcyi rewizorom królewskim miano przeciw niemu wytoczyć sprawę przed sądem królewskim. Złamany troskami i wiekiem [3])

[1]) Metr. koronn. 99, f. 415.

[2]) Metr. koron. w Warszawie, 99, f. 33.

[3]) «Longaeve senex» pisze poeta Sarzyński w jego «Epitaphium».

rywal Herburta, umarł wojewoda 1567, tak, że pozew doszedł już tylko rąk jego synów.

* * *

Rodzina Starzechowskich zadrżała o los całej swej fortuny. Gdy kraj cały rozbrzmiewał hasłem «ekzekucyi dóbr», gdy tuż pod bokiem rozsiadł się Herburt i dostał pozwolenie na wykupno dóbr zastawionych — rodzina ujrzała się wobec burzy, która na nią ciągnęła nieubłaganie i zapowiadała jej zniszczenie w imię nowych prądów i haseł. Czyż można było teraz pytać, co się stanie z «tłustą» Samborszczyzną i ową «nową sumą», pożyczoną w zastaw za nią królowi? Wprawdzie król zastrzegł był w umowie, że spadkobiercy Starzechowskiego będą w razie jego śmierci i nadal umarzać ową sumę (21.000) z dochodów samborskiego starostwa, ale za owych czasów gwałtownych «ekzekucyjnych» reform skarbowych i nowych uchwał, z niemi związanych, słowo i przyrzeczenie królewskie, wyrażone w nadaniach, było raz w raz bez ogródki łamane, na co daremnie narzeka w wspomnianym wyżej traktacie Orzechowski. Zresztą przyrzeczenie tem mniej znaczyło, że, jak wiadomo, według ustawy z r. 1565 zastaw na «sumy nowe» król mógł wykupić, kiedykolwiek tylko przyszłaby mu ochota zwrócić sumę dłużną, ciążącą na dobrach. Co do starostwa drohobyckiego, nadzieja

utrzymania się przy niem była jeszcze mniejsza, bo nawet pozorów do tego im brakowało...

* * *

Wszystko zdawało się przepowiadać, że obecnie nikt inny, tylko ten żupnik ruski, któremu tak ciężko było kupować na warzenie soli drwa z lasów zmarłego starosty drohobyckiego, — dostanie i złączy w swych rękach oba starostwa wraz z żupami. Zapewne Herburt, chcąc zyskać tę łaskę królewską, czynił przedstawienia królowi, że wskutek takiej koncentracyi znacznie podniosą się dochody z królewszczyzn, boć czytamy (w inwentarzu rewizyi z r. 1568 [1]), «iż (Kr. J. M.) nawięcej dla commoditatem żup złączył teraz starostwo to (samborskie) z żupami...» Jeżeli zaś ten wzgląd przemawiał za oddaniem żupnikowi starostwa samborskiego, to tem więcej odgrywał on rolę w oddaniu mu starostwa drohobyckiego, gdyż według tegoż samego inwentarza w całem tem starostwie «okrom żup przy mieście, niemal po wszystkich wsiach surowica się znajduje» [2]).

Herburtowi sprzyjały okoliczności. On sam był najlepszej myśli i zapewne nie przypuszczał, że w Starzechowskich napotka na tak gwałtowny i zacięty opór, i że objęcie przez niego w dzierżawę

[1]) Arch. min. justycyi w Moskwie IV B 22, f. 302.
[2]) lc. str. 482.

tych starostw, odwlecze się wskutek tego aż po koniec r. 1568. Starzechowscy bowiem postanowili opierać się Herburtowi, używając następującego wybiegu. Herburt mógł objąć starostwo dopiero po wręczeniu Starzechowskim sum, ciążących na tych starostwach, a pożyczonych królowi; tymczasem Starzechowscy postanowili w zwrotu tych pożyczek (mimo wszelkie groźby królewskie) od Herburta bezwarunkowo nie przyjmować i w ten sposób zwlec jak najdłużej wypuszczenie ze swych rąk tych starostw, aby tymczasem korzystając z tej zwłoki w dalszym ciągu pobierać na swój rachunek czynsze z poddanych.

Na wstępie, aby zapewnić sobie obronę, wdowa wojewodzina Starzechowska, długo się nie namyślając, kazała podstaroście samborskiemu Józefowi Wojewodce, zabrać przemocą burmistrzom i rajcom klucze od bram miasta, zagarniając przytem całe sądownictwo (podobnie jak już od dawna w Drohobyczu) w swoje ręce. W miejsce «samorządu miejskiego» wprowadzono — że się tak wyrażę — «stan wyjątkowy», jakby drwiąc sobie z przywileju króla Zygmunta Augusta, który przed rokiem (20 lipca 1566) ustanowił tu nową formę samorządu [1]). Wszelkie protestacye, jakie

[1]) Przywilej Zygmunta Augusta ustanawiający nową formę samorządu w oryginale w Arch. Korpor. mieszcz. w Samborze Nr. 16, por. Budzynowski «Kronika miasta Sambora».

przeciw temu gwałtownemu krokowi wojewodziny wniosła gmina miasta Sambora do grodu przemyskiego [1]) — pozostały na razie bez skutku.

Krok ten zapowiadał, że rodzina Starzechowskich nie tak łatwo ustąpi komukolwiek swych starostw. Sprawa zaczynała się gmatwać i zaostrzać. Kiedy się okazało, że Starzechowscy ociągają się z odebraniem sum dłużnych, nie pozostawało królowi nic innego, tylko zawezwać Starzechowskich przed sąd dla odstąpienia tych sum, tymczasem zaś dla przyspieszenia akcyi wysłać kogoś na miejsce dla odebrania starostw. Ta ostatnia misya była bardzo trudna, wymagała dużo taktu i energii. Wysłaniec bowiem mimo oporu Starzechowskich miał: a) oba starostwa samborskie i drohobyckie odebrać i objąć w tymczasową administracyę; b) wbrew zamiarom Starzechowskich pobrać od poddanych imieniem króla czynsze i wszystkie należności i c) nadto, ponieważ nieboszczyk wojewoda przywłaszczył był sobie pewne dobra w starostwach i bronił rewizyi lub obniżał podobno wysokość dochodów — więc na nowo przystąpić do rewizyi szczegółowej obu starostw.

---

[2]) Ta protestacya fer. 4 ante S. Catherin 1567. Castr. Praemisl. t. 287, str. 366: quia (Starzechowscy) receperunt violenter claves portarum seu valvarum civitatis Sambor ac totam iurisdictionem eiusdem civitatis ademerunt itaque nullam potestatem et auctoritatem habent (proconsul et consules) in civitate Samboriensi...»

Na takiego «rekuperatora» — odzyskiwacza tych starostw król wybrał z pośród swych sekretarzy, jednego z najzdolniejszych — niedawno do kraju z Włoch przybyłego: Jana Zamoyskiego.

* * *

Jak usposobiony był wobec ruchu egzekucyjnego Jan Zamoyski, późniejszy «trybun ludu szlacheckiego»? Oczywiście wysłany w misyi urzędowej przez króla, jako jego komisarz, musiał być ślepym wykonawcą powierzonych sobie zleceń królewskich. Ale czy mimo to nie żywił w głębi duszy jakichś sympatyi dla jednej czy drugiej strony?

Nie można powiedzieć, aby w chwili powrotu (1565) Jana Zamoyskiego do kraju ruch ten w świetle jego spraw czysto osobistych i prywatnych przedstawiał mu się zbyt powabnie. Kiedy bowiem roku 1564 (20 stycznia) w czasie sejmowej rewizyi nadań, zastawów i t. p., ojciec Zamoyskiego Stanisław, starosta bełzki przedstawił dokumenty, w których Zygmunt August nadał dożywocie na pewnych wsiach starostwa bełzkiego (Potarzyn, Zabcze itd.) jeszcze jego żonie i synowi Janowi — wtedy wytknięto, że syn Jan nie ma żadnego prawa do tych wsi i zaraz z wykluczeniem Jana przemieniono te nadania[1]).

[1]) Archiwum min. just. w Moskwie B IV Nr. 9: spis przywilejów na dożywocia w dobrach królewskich f. 107. Ta księga jak i księga Nr. 8 zawierająca porządnie zrubrykowaną rewizyę

W obecnej jednak akcyi stał Zamoyski zupełnie po stronie zwolenników ekzekucyi dóbr, a w danym wypadku za Herburtem i to nietylko jako urzędnik królewski.

Jak wiadomo, Zamoyskiego łączyło bliższe powinowactwo z Herburtami. Co prawda z tym Herburtem Stanisławem łączyły go stosunki tylko dalekiego kuzynostwa. Matka bowiem Zamoyskiego była Herburtówna, ale pochodziła z innej gałęzi Herburtów tak zwanych z Mizińca, gdy tymczasem Stanisław pochodził z linii dobromilskiej. Mimo to świadomość kuzynostwa istniała nawet i w następnych jeszcze pokoleniach. Tak np. synowiec tegoż Stanisława — Jan Szczęsny Herburt w listach swych pisze, «jako syn» do Zamoyskiego, «jako do ojca» [1]). I kto wie nawet, czy dzięki temu powinowactwu sam Herburt nie prosił życzliwego sobie króla, aby wybrał na tę komisyę z pośród swych sekretarzy jego kuzyna Jana Zamoyskiego...

Obok powinowactwa z Herburtami jeszcze inna okoliczność niechętnie, usposabiała Zamoyskiego, dla Starzechowskich, a szczególnie silnie wiązała go z Herburtem, jako z u p n i k i e m soli ruskiej. Trzeba bowiem wiedzieć, że Zamoyski jeszcze w r. 1566

dóbr wszystkich województw koronnych z r. 1564 — jest szczególnie cenną dla badacza ruchu egzekucyjnego. — Nadanie pierwsze jeszcze przed wyłączeniem Jana Zamoyskiego zob. w Metryce koronnej t. 95 f. 459.

[1]) Arch. Jana Zamoy.

a więc zaraz prawie po powrocie swym z Włoch do kraju, wziął w dzierżawę ustanowiony oddawna w mieście Bełzie skład soli na lat dziesięć płacąc rocznie po 100 grzywien (po 48 gr. pol. [1]).

W kontrakcie jednak musiał Zamoyski zastrzedz mieszczanom, że wyjedna od króla potwierdzenie tych dawnych przywilejów, które im tylko wyłącznie przyznawały sprzedaż soli, a nadto wystarać się «żeby zachowani byli o k o ł o m y t d r o h o b y c k i c h podług starych przywilejów» i «trudność około cła zastąpił w Drohobyczy». Oczywiście, aby te trudności usunąć akcya Zamoyskiego musiała na dworze królewskim kierować się przeciw «uzurpatorowi» staroście drohobyckiemu, Starzechowskiemu a obecnie za Herburtem, żupnikiem, od którego łatwiej mógł spodziewać się wyjednać ustępstwa w Drohobyczu dla mieszczan bełzkich...

Misya obecna Zamoyskiego była właśnie z tem w związku, a jest ona tylko częścią jakiejś szerszej akcyi króla, mającej na celu uporządkowanie dochodów w całej gospodarce solnej na Rusi, do czego za-

[1]) Zamoyski dzierżawy owej nie lekceważył i nie pardonował nikomu. Tak w r. 1568 4 sierpnia położył sekwestr na złożonej w Bełzie na składzie soli Stanisława Narusowicza, ciwuna wileńskiego i na soli żydów Hercika i Józefa, żydów z Kazimierza z powodu nie uiszczenia sum należnych (Rel. castr. Bels. t. 172, str. 660). Ci dwaj żydzi poprzednio r. 1567 4 listopada przyjęli nad sobą forum prorogatum Jana Zamoyskiego na obszarze całej Rusi. (Ic. Inscr. Castr. Bels. IX, 725—728).

pewne pobudzał do tego króla sam Herburt (jak już wyżej wskazałem). Ślady tych dążności ku podniesieniu żup ruskich pozostały w różnych innych zleceniach, również żup ruskich dotyczących, jakie Zamoyski oprócz sprawy z Starzechowskimi miał równocześnie spełnić z rozkazu króla[1]).

* * *

Z chwilą przybycia Jana Zamoyskiego pod mury Sambora (wieczorem 16 października 1567) zaczyna się ciekawa historya zdobywania przezeń na rodzinie Starzechowskich obu starostw — historya, przedstawiona barwnie a szeroko w relacyach i protestacyach stron obu, oblatowanych w aktach grodzkich przemyskich[2]).

Jak wspomniano, wysłano go, jako komisarza królewskiego do zrewidowania dóbr i exmissyi Starzechowskich a intromitowania Herburta.

---

[1]) Mandat królewski z 23 września 1567 z Trabów, w którym Zamoyski mianowany współkomisarzem, aby wraz z innymi komisarzami królewskimi skontrolował i odebrał sumy, które dwaj żydzi Izak Maj «doctor iudeorum Lublinensium» i Jonasz Izakowicz mieli złożyć z arendy ceł nowych od soli w żupach ruskich (Rel. Castr. Bels. 171 str. 275). Jakoż 12 grudnia tegoż roku w tymże grodzie (l. c. str. 276—7) kwituje Zamoyski Jonasza Izakowicza na 1000 zł.

[1]) Arch. Bernardyń. we Lwowie, Castr. Praemisl. t. 287, str. 368—406.

Oczywiście, gościnnego przyjęcia u Starzechowskich nie mógł się spodziewać ten wysłannik królewski, — kuzyn Herburta.

Nie darmo wojewodzina dostała w swe ręce klucze od bram Sambora. Z woźnym i dwoma towarzyszącymi mu szlachcicami czekać musiał sekretarz królewski przeszło godzinę przed zamkniętą bramą miasta ku dziwowisku przechodniów. Wpuszczono go w końcu do miasta, ale nie wpuszczono go (nazajutrz) do «dworu królewskiego» (urząd starosty). Pertraktacye z Starzechowskimi na nic się nie przydały. Oświadczyli mu wbrew wszelkim listom i zleceniom królewskim, które z sobą Zamoyski przywiózł, że starostwa nie odstąpią, bo mają prawo do umarzania na niem sum, pożyczonych królowi. W tem postanowieniu bynajmniej się nie zachwiali, gdy na to woźny wręczył im pozwy, w których król wzywał ich do odstąpienia reszty tych sum. Na wszelkie przedstawienia odpowiadali odmownie; nie myślą mu ustąpić nie tylko z dóbr starostwa, ale nawet poniekąd z urzędu starościńskiego, niedopuszczą mu nawet tymczasowej administracyi, tak samo nie pozwolą na żadne rewizye dóbr starostwa [1]) ani na pobranie czynszów

[1]) Jakimi pozorami zasłaniali się Starzechowscy — widać z tego ich oświadczenia, że niedopuszczą rewizyi, bo... ustawa sejmu piotrkowskiego (1562) pozwala na rewizyę co pięć lat a nie częściej!

z poddanych starostwa. Aby zaś przypadkiem mieszczanie z własnej woli nie oddawali mu czynszów, nie dopuścili Zamoyskiemu oddać im rozkazów królewskich.

Mniej więcej podobny opór stawił Janowi Zamoyskiemu Stanisław, wojewodzic podolski w Drohobyczu[1]). Tylko, że w tem mieście udało się Zamoyskiemu osobiście wręczyć rajcom miejskim listy królewskie i zabronić pospólstwu w imieniu królewskiem składać czynszów Starzechowskim lub pańszczyzny im sprawiać. Mieszczanie przyrzekli też posłuszeństwo zleceniom królewskim, mimo że w obecności Zamoyskiego kusił się odwieść ich

---

[1]) Oświadczył on, że ojciec nieboszczyk starostwo to dzierżył jako «arendę» «ad certum tempus». Widocznie dawne «dożywocie» przemieniono później (nie wiadomo kiedy) na zwykłą arendę. Dość, że w r. 1567 (na podstawie zapewne ustawy «Arend podwyższenie» Vol. leg. t. II. fol. 722 § 3) z arendy tego starostwa otaksowanej jako przynoszącej dochodu 1191 (rewizya z r. 1563 więcej podaje dochodu, bo 2413) mieli płacić czynszu za samą dzierżawę królowi 700 zł., z «ostatka» zaś tej sumy (tj. 491) piątą część (tj. 98) mieli zapłacić na rzecz obrony potocznej. Z ksiąg podskarbiń. Pawińskiego (str. 186) widać, że Starzechowski niesłusznie powoływał się na zapłacenie przez ojca kwarty, bo jeszcze w r. 1578 wszystkiego z kwarty należnej za r. 1567 nie zapłacili. W powyżej przedstawiony sposób obliczona kwarta (98 zł.) zupełnie odpowiada brzmieniu uchwały sejmu r. 1567 («podwyższenie arend»), którą zatem mylnie Pawiński (Skarbowość 134—5) identyfikuje z późniejszemi uchwałami i utrwalonym następnie sposobem poboru kwarty.

od tego pogróżkami podstarości drohobycki, sługa Starzechowskich — Ramułt.

Relacyę o tem wszystkiem zdał Zamoyski [1]) królowi w Lebiedziowie (na Litwie). Król starostwa oddał tymczasem za pewną umową Herburtowi i cała najbliższa i najważniejsza kwestya tkwiła teraz w tem, aby Herburt mógł zaraz pobrać dochody z starostwa. Teraz miała nastąpić walka o to, kto je obecnie faktycznie pobierze, czyli inaczej, komu mieszczanie, sołtysi i chłopi złożą należne czynsze i daniny. A termin ich składania, t. j. dzień św. Marcina, był tuż tuż za pasem. Dzień św. Marcina, dzień, w którym w całej Polsce lud składał dworom swe czynsze — miał rozstrzygnąć o najważniejszym momencie sporu.

W tym też celu pobrania czynszów król po raz wtóry wysyła Zamoyskiego. Ponieważ w Drohobyczu mieszczaństwo już stanęło po stronie królewskiej, więc król, głównie mając na oku Sambor, po raz drugi porozsyłał do mieszczan samborskich i sołtysów nakaz składania czynszów tylko do rąk Zamoyskiego.

W sam dzień św. Marcina zbliżał się z listami królewskimi po raz drugi Jan Zamoyski ku bramom Sambora. Towarzyszył mu już nowy starosta Herburt wraz z dość licznym orszakiem. Gromady

[1]) Nie wiadomo czy osobiście czy listownie. Znana jest tylko ta miejscowość z daty następnie wysłanych mandatów przeciw Starzechowskim.

sług wraz z niektórymi wozami puścił Zamoyski przodem ku miastu, a wraz z nimi woźnego z listami królewskimi. Samopiąć podążał za nimi. Podstarości Wojewodka na wieść, że Zamoyski z Herburtem zjeżdża do Sambora, aby odebrać starostwo, na widok już pierwszych wozów, zdążających do miasta, kazał zamknąć bramy miasta i postanowił bronić dóbr swoich panów. Nim przybył Zamoyski ku bramom, zamknął mu ją — że tak powiem — «przed nosem» «magister publicus», obrzucając go przekleństwami i pogróżkami. Niebawem zbiegło się ku bramie więcej służby wojewodzińskiej z «mieczami» i rusznicami, aby odeprzeć Zamoyskiego. W odpowiedzi na oświadczenia jego, że jest wysłańcem królewskim — wystrzelono ku niemu z samopału. Po półtoragodzinnem daremnem wyczekiwaniu pod bramą, Zamoyski, kazawszy wyniść z miasta tym swoim sługom, którzy go wyprzedzili (wychodzących obrzucił przekleństwami Wojewodka) — obrał sobie nocleg na przedmieściu. Nazajutrz wojewodzina i wojewodzic Stanisław, o których pobycie w mieście Zamoyski dobrze wiedział, nietylko nie przysłali z żadnem zapytaniem, po co przybył, ale nawet nie wpuszczali nikogo z jego służby do miasta, odpędzając od bramy każdego bronią palną i sieczną. Całe miasto obstawiono zbrojnymi, a raz nawet na samego Zamoyskiego przechodzącego samoczwart po przedmieściu wypadło z miasta

kilku zbrojnych, grożąc mu rusznicami i zapalonymi do strzału lontami.

W parę dni był targ w Samborze, a że bramy miasta ciągle stały zamknięte, więc wielkie gromady ludu kupiły się na przedmieściu. Skorzystał z tego Zamoyski, aby mimo tak szczelnego zamknięcia miasta donieść Starzechowskim z czem przybywa i lud skłonić do oddania czynszów temu, komu król rozkazał. Śród tłumu ludu zgromadzonego przed bramą kazał towarzyszącemu mu woźnemu donośnym głosem obwieścić *(«idiomate polonico»)* powtórnie surowe rozkazy królewskie, aby Starzechowscy pod grozą ciężkiej obrazy majestatu dopuścili rewizyi.

Nie zważając na żadne przeszkody, jakie temu ogłoszeniu i odczytywaniu rozkazów królewskich stawiali słudzy Starzechowskich, którzy nawet mierząc długiemi rusznicami ku Zamoyskiemu, starali się go od tego odstraszyć, kazał Zamoyski następnie śród gromadzącego się koło niego tłumu szlachty, mieszczan, chłopów odczytać donośnie woźnemu uniwersał królewski dany (3 listopada 1567 w Lebiedziowie) do wszystkich mieszkańców starostwa samborskiego jakoto mieszczan, kupców, rzemieślników, zagrodników, wieśniaków, młynarzy, w którym król surowo im przykazywał, aby nie ważyli się czynszów oddawać Starzechowskim, ale je wręczyli i to bezzwłocznie Zamoyskiemu (pod karą 30 grzywien). Dla wię-

kszej wiarogodności woźny podawał ten akt (jak mówi relacya w aktach grodzkich — po polsku ułożony) chłopom... do czytania, i ukazywał im pieczęć królewską i własnoręczny podpis. Przy tem wszystkiem woźny bliżej określił, że czynsze te mają w następny poniedziałek znieść do dworu we wsi Ozimina (wsi głównej we wykrojonej z Samborszczyzny ozimińskiej ziemi, którą jako dodatek do żup oddawna już dzierżawił u króla Herburt). Tam we dworze ozimińskim obiecał zarazem Zamoyski ludowi pokazać nowego starostę samborskiego. Tam musi każdy znieść wszystkie czynsze, choćby nawet od kogo już Starzechowscy czynsz jaki wymusili (o co jednak w takim razie król poddanemu sprawiedliwość wymierzy).

Oczywiście lud znalazł się między młotem a kowadłem. Tu grożą mu Starzechowscy i ich włodarze i sługi, tu znów wysłannik królewski podburzał ich przeciw dawnym panom — jak mówią Starzechowscy w swych protestacyach w grodzie przemyskim «ad rebellionem». Zamoyski, aby lud zupełnie do Oziminy przeciągnąć, szczególnie zaakcentował na końcu wezwanie, aby wszyscy poddani królewscy, którzy jakiekolwiek krzywdy i szkody ponieśli od zmarłego wojewody albo jego ekonomów — uskarżyli się na nie przy składaniu czynszów w Oziminie, a on z polecenia króla, jako jego rewizor, sprawiedliwie to roztrząśnie. Aby to mogli bezpiecznie i bez obawy przed Sta-

rzechowskiemi uczynić, król ich bierze na przeciąg trzech miesięcy pod swą opiekę i daje im w tym celu glejt, który zaraz woźny na miejscu okazał i proklamował.

Tu już nie mogła partya Starzechowskich wytrzymać, a przedewszystkiem ich ekonomowie i słudzy z samborskim podstarościm nieboszczyka wojewody, Wojewodką na czele. Ostatnie wezwanie ludu do skarg na krzywdy od ekonomów wyrządzone, musiało ich przejąć niemałym strachem. To też niebawem wyszli z miasta przyjaciele i służebnicy Starzechowskiego, jako to sam Wojewodka, Taranowski, Sęp z Zimnej Wody[1]), Jakób Starzechowski[2]), Stanisław Rogaski, Jakób Przezdziecki, słowem kupa całej szlachty służącej u Starzechowskich, a wszyscy z rusznicami i «mieczami» i dalejże podmawiać chłopów, aby nie słuchali tych obwieszczeń woźnego, ani czytanych przez niego mandatów, ani czynszów do Oziminy nie znosili. Przytem miotali pogróżki a szczególnie Taranowski i Rogaski, którzy pokpiwali sobie z Zamoyskiego «frivole et contumeliose». Rogaski, chcąc zupełnie już Zamoyskiego wyprowadzić z równowagi i rozdrażnić, a zarazem zmniejszyć jego urok

[1]) «Szep haeres sortis suae in Zimna Woda» (bez imienia), por. niżej str. 234

[2]) Miał on specyalny interes w zwalczaniu królewskich żądań, bo jemu to oddał wojewoda (krewny?) owe warzelnie soli w Drohobyczu, o których przywłaszczenie miała toczyć się teraz sprawa.

jako wysłannika królewskiego przed ludem — porównywał go ze zmarłym wojewodą i, pijąc zapewne do tego, że «ukradkiem» pod miastem protestuje — przezwał go publicznie przed ludem «pokątnym rewizorem» («clancularius revisor»), nie równym zmarłemu wojewodzie, który inaczej, bo zbrojnie i potężnie, wkroczył do miasta Sambora jako pan prawdziwy.

Zamoyski, którego misya polegała właśnie na zachowaniu w całej tej sprawie zimnej krwi, zapanował nad sobą i zadowolił się zapisaniem tego faktu w protestacyach, które następnie oblatował w grodzie przemyskim (równocześnie jednak podali tam protestacye i Starzechowscy, tak że razem oblatowano ich 29[1]).

Ta zapowiedź wysłuchania wszelkich skarg ludu przez Zamoyskiego w Oziminie przestraszyła jednak istotnie Wojewodkę. Bał się, że w takim razie może zwabić to cały lud z czynszami w tamtę stronę ku Oziminie. Poczuwając się zresztą może do ucisku wieśniaków, lękał się, że wszystko na wierzch teraz wypłynie a pewny był, że już Zamoyski najdokładniej wszystkie skargi zapisze i niczemu nie przepuści. Postanowił jakoś sobie radzić. Więc

[1]) Arch. Bernard. we Lwowie. Castr. Praemisl. t. 287, str. 368—5; 387—401, 403—406 oblatow. fer. 6 ante fest. S. Catherinae: Relationes ministerialis ex parte Sacrae Regiae Secretarii occasione capitaneatus Samboriensis contra Starzechowskye» «ex parte Starzechowskye contra Zamojsczkj» itd.

przeciw zgromadzeniu Zamoyskiego przed bramą postanowił urządzić «kontr-manifestacyę»... swoją i chcąc przedewszystkiem lud udobruchać i odciągnąć od Oziminy skorzystał z obecnego na św. Marcin corocznego zgromadzenia się ludu («zboru») i na niem urządził scenę miłości i zbratania się z zebranymi chłopami na dworze samborskim — udając, że się im oddaje pod sąd i na ich łaskę.

Przebieg tej ciekawej sceny, który opis później oblatował w grodzie przemyskim [1]) — przytoczę w całości:

«...we dworze samborskim... urodzony Józef Wojewodka, podstarości samborski, na ten czas, gdy był zbór wszystkiego ludu starostwa samborskiego roku niniejszego (1567), przy obecności... woźnego i szlachty pytał wszystkiego ludu starostwa samborskiego we dworze będącego, tak kniaziów (sołtysów), krajników [2]) i inszego ludu pospolitego, jeśli-że by on z kogo wziął co kiedy niesłusznie, chcąc się każdemu usprawiedliwić i uiścić we wszytkiem, ktoby jedno mienił i powiedział się mieć od niego jaką krzywdę i uciążenie. A potem wszyscy zawołali głosem zgodnym, a naprzód kniaziowie, krajnicy i insi wszyscy ludzie pospolici, iż w. mść, panie podstarości, niceś nam nie winien, aniś wziął z nas nic niesłusznego i nie

[1]) Ic. Castr. Praemisl. fer. 5. post fst. Conceptionis Mariae 1567.

[2]) Nazwy używane we wsiach na prawie wołoskiem sadzonych.

mamy od wm. żadnej krzywdy. Panie Boże daj-że tak przeciwko nam wszyscy insi podstarościowie zachowywali. A potem po wtóre, po trzecie i po czwarte tento podstarości napomniał wszystkich ludzi w tymto zborze będących, iżby każdy z nich powiedział, żadnej rzeczy się nie obawiając, o swojej krzywdzie, jeśliby ją kiedy kto od niego miał, gdyż się on chciał-by każdemu i Panu Bogu usprawiedliwić a nie był nikomu nic winien. A oni wszyscy tak kniaziowie, krajnicy i insi wszyscy ludzie pospolici zawołali głosem zgodnym, jako i pierwej, iż nam w. mść, panie podstarości, żadnej krzywdy przez ten czas nie uczynił i niceś nam nie winien i owszem, daj Panie Boże, nam wszystkim takowe podstaroście potomnych czasów».

Scena ta nie na wiele się Wojewodce przydała. Lud zaniósł skargi na podstarościch do Zamoyskiego, a ten w istniejącej do dziś (w Moskwie) swej księdze rewizyjnej obu starostw [1]) zaznaczył

[1]) Arch. min. justycyi w Moskwie IV, B. 22 (f. 289—90) «Inwentarz pożytków starostwa samborskiego, które się pokazały r. 1568 po zejściu starosty miejsca tego Jana Starzechowskiego wojewody podolskiego spisany przez J. M. P. Jana Zamoyskiego, sekretarza Kr. J. Mci». Liczy kart folio 532. Pisany ręką jedną, pisma Zamoyskiego ani śladu. Inwentarz ten jest zarazem geograficzno-statystycznym i topograficznym opisem obu starostw, przytem kodeksem przywilejów odnoszących się do tych starostw. Wyimek z tej księgi oblatował jeden kniaź (tj. sołtys) w grodzie przemyskim (Castr. Praemisl. t. 288 str. 455). Na tento inwentarz powołuje się później król Stefan Batory. (Źródła dziejowe,

z całą skrupulatnością wszelkie nadużycia podstarościch. Między innemi czytamy: «Brał tego roku z nich podstarości... jałowice darmo. Ale to było inusitatum i z wielką krzywdą ludzi. Przeto nie ma to potem być» albo «Przy odbieraniu baranów osobno sobie wyciągać poczęli podstarościowie barany, że się ich im dostaną po 150, po 200. Nie ma tej ciężkości ludziom dopuszczać czynić p. starosta...» i t. d.

To samo, co Zamoyski w Samborszczyźnie, równocześnie jego wysłaniec szlachcic Nagorka miał robić w dzień św. Marcina w drohobyckiem starostwie. Spotkał się tu jednak z twardym oporem podstarościego Starzechowskich, Ramułta, który przemocą wymuszał czynsze od poddanych, a kiedy mu o to Nagórka robił wyrzuty, powołując się na mandaty królewskie, ten mu złorzeczył i dorzucił jeszcze te słowa «frivole et irreverenter»: Jeślibym kogo znalazł na rynku, żeby tego rodzaju mandaty królewskie obwieszczał, takiemu «g ę b ę - b i m z a t h k a l».

Pomienione słowa ku wiecznej rzeczy pamiątce zacytowano dosłownie po polsku w łacińskich protestacyach...

---

tom XI str. 309). Snać Zamoyski pisząc ten inwentarz, nie zupełnie dogodził swemu krewniakowi Herburtowi, bo spotyka się w tej księdze często przy niejednej pozycyi dopiski własnoręczne Herburta z uwagą, że Zamoyski nie potrącił z danej sumy tego a tego, że dwukrotnie podał daną pozycyę i t. p.

Widząc, że wysłaniec jego nic sprawić nie może, pośpieszył do Drohobycza sam Zamoyski i na podstawie okazanych powtórnych listów królewskich, zażądał od Ramułta dopuszczenia mu rewizyi dóbr starostwa drohobyckiego. Ramułt oświadczył, że sam nie może stanowić, ale te listy królewskie odpisze sobie i pośle do Starzechowskich do Sambora z zapytaniem, co ma począć. Odpowiedź nadeszła od wojewodziny odmowna, bo dóbr ich wójtowskich nikt niema prawa rewidować a zresztą wojewodzice udali się do króla na rozprawę pozwani i cała sprawa dopiero się rozstrzygnie.

Zamoyski nie dał się tem oświadczeniem wywieść w pole. Wiedział, że na sądzie królewskim może się rozstrzygać sprawa o sumy samborskie, ale te nic nie miały wspólnego ze starostwem drohobyckiem. Dlatego, nie zważając na oświadczenie wojewodziny, zwrócił się wprost do ludu i w imieniu królewskiem kazał wieśniakom na dzień św. Katarzyny (25 listop.) znieść czynsze i wszystkie żale na krzywdy, poniesione od nieboszczyka wojewody i jego ekonomów, na co im glejt udzielił. Glejt ten kazał Zamoyski ogłosić wszędzie, nawet w dzień targowicy w samym Przemyślu. Nadto kazał go obwieścić woźnemu w samym dworze prywatnego majątku — Starzechowskich w drohobyckiem starostwie w So-

śnicy [1]) — chcąc samych Starzechowskich wstrzymać tym glejtem od ataku na poddanych.

Lud istotnie usłuchał Zamoyskiego i złożył mu czynsze w przeważnej części, a wnosić to można stąd, że Ramułt we wniesionej następnie protestacyi skarży się, jako wskutek akcyi Zamoyskiego trudno teraz wydobyć i wymusić na poddanych czynsze i daniny...

Rozdrażnieni tem Starzechowscy nie zdołali już zachować zimnej krwi wobec «nieposłusznych» dawnych poddanych. Starszy wojewodzic, Wojciech Starzechowski, wpadł w pasyę i, nie oglądając się już na glejt królewski, chroniący poddanych przed uciskiem, jednego opatrzonego takim glejtem mieszczanina, który niezawodnie posłuchał zleceń Zamoyskiego, Józefa Czecha, majstra i rajcę drohobyckiego — srodze poranił, o co niebawem król wojewodzica przed swój sąd pozwie [2]).

Napiętrzyło się tyle spraw przeciw Starzechowskim jeszcze z czasów żywota wojewody — aż do tej ostatniej o poranienie tego mieszczanina, że król dla ich rozpatrzenia i roztrząśnienia na miejsce wysłał specyalną komisyę. Bliżej nic o tej komisyi nie wiemy okrom tego, że 8 marca 1568

[1]) Że to był ich majątek własny, o tem w Decret. Castr. Praemisl. Nr. 274 s. 1168 i 1479.

[2]) Castr. Praemisl. lc. 612. «occasione percussionis vulneribus affectionibus... Josephi Czech... litteris... salvi conductus... assecurati...»

bawi już w samym dworze starościńskim w Samborze Jan Zamoyski, Stanisław Trojan z Rachań chorąży bełzki i inni bliżej nieznani tworzący właśnie grono tej komisyi [1]). Niezawodnie ta komisya miała ostatecznie odebrać oba starostwa, zbadać ich dochody, spisać wreszcie krzywdy poddanych (poniesione głównie z powodu upłacenia czynszów i jednej i drugiej stronie).

Komisya ta zdaje się w końcu faktycznie wprowadziła Herburta na oba starostwa [2]).

Działalność tej komisyi śród tych mało dostępnych podgórskich a lesistych okolic zapewne nie obfitowała w miłe przygody. Wiemy np., że Zamoyski (który teraz zapewne uzupełniał w swym inwentarzu rewizyi te dane, których poprzednio w czasie gwałtownego oporu Starzechowskich zebrać nie mógł) — że Zamoyski chciał rewidować dochody wsi w starostwie drohobyckiem, Derążyce, «ale panowie Starzechowscy nie dopuszczali w nie (tj. Derążyce) wiezania (tj. wiezienia mnie) z strony (tj. w sprawie) króla J. Mci, mieniąc, aby miała być ku (znowu ten charakterystyczny przyimek!) Medenicom (tj. znany ów

[1]) O tej swej czynności wspomina Trojan (Praemisl. Castr. lc. 524) na usprawiedliwienie, że nie mógł równocześnie z tego powodu stawić się w Bełzie.

[2]) Przynajmniej 12 lipca 1568 spotyka się już Herburta w Castr. Praemisl. lc. 615 z tytułem starosty samborskiego i drohobyckiego.

klucz miedynicki, który miał w dożywociu Stan. Starzechowski), acz ta wieś daleko też od Medenic (3 mile) i pewne, że zawsze do dworu starostwa drohobyckiego rabiała. Umyślnie w tej wsi drogę psowano» tak, że Zamoyski nie mógł do niej w żaden sposób dojechać i to tem więcej, że «częstokroć rozlewa jej potok, droga błotna, topią się tam i goście i ci, co wiozą sól»...[1])

Zamiast umniejszać sobie ilości spraw przed sądem królewskim i spuszczać z swych pretensyi, Starzechowscy pomnażają je coraz więcej, jak o tem świadczy znowu wspomniane tu ich nowe roszczenia do wsi Derążyc, o których przedtem było głucho...

Owoce takiego ich postępowania, odpowiednio zapewne przez wspomnianą komisyę królowi oświetlonego, zaczęły niebawem wyrastać. Oto jak z rogu obfitości sypią się pozwy od króla o wszystkie zastarzałe, czy nowe kwestye. Niosą więc woźni do Starzechowskich pozwy [2]) o wszystkie królewszczyzny, które jeszcze ojciec ich sobie przywłaszczył jak Stebnik, Bolechowce, Litynię, Tynów, myta w Stebniku, Tynowie, Hruszowie,

---

[1]) Wspomniany inwentarz Zamoyskiego w Arch. min. just. w Moskwie.

[2]) Praemisl. Castr. lc. 520—21 i 612. Regesty 6 pozwów. Jeden pozew w całości, wystosowany do wojewodziców przytoczony w dekrecie królewskim r. 1568. Arch. akt dawnych w Warszawie, Assessorya t. 20 f. 59.

dwa młyny drohobyckie i o niedopuszczenie lustracyi i taksacyi tych dóbr — dalej pozwy o to, że sami (już po śmierci ojca) wojewodzice nie dopuścili królowi odebrać te «bona... executioni subiecta» (Stebnik, z wójtostwem, Bolechowce Tynów i t. d. drohobyckie młyny, myta i łaźnie), o bezprawne («nullo iure» «contra ius commune iure privato») zatrzymanie klucza medynickiego, o zatajenie (suppressio) dochodów z mostów, karczm, myt, o przywłaszczenie sobie (arrogatio, vendicatio) pod pozorem swego prawa wójtowskiego całej władzy sądowniczej w mieście Drohobyczu, jakoteż nad ludźmi sól warzącymi, o «uzurpacyę» żup i dochodów z nich w Drohobyczu i Stebniku i wszelkich czynszów z domów mieszczan i podmieszczan drohobyckich, zajęcie stawów drohobyckich, o stawienie oporu przy rewizyi tych dóbr Zamoyskiemu, wreszcie samego Wojciecha Starzechowskiego o porąbanie mieszczanina, mimo że był opatrzony glejtem królewskim.

Sąd królewski zebrał się do rozstrząsania tych spraw na rozprawie, odbytej pod koniec roku 1568 (5 listopada). Zażądano tu od Starzechowskich, aby okazali dowody swoich uroszczeń a więc nadania i wszystkie dokumenty, na których podstawie roszczą sobie prawa do dóbr wskazanych. Przytem zwrócono się do nich z żądaniem, aby nareszcie sumy zastawne od króla napowrót sobie zechcieli odebrać, odbiór pokwitować i z dóbr cedować.

Przy tem wszystkiem instygator nie zaniedbał zaznaczyć, że wskutek zwlekania ustąpienia z starostwa, skarb królewski corocznie ponosił uszczerbku około 20,000 zł. [1]).

Starzechowscy nie wiele mogli przedstawić dowodów na poparcie swej sprawy. Na wieś Stebnik wraz z Bolechowcami Stanisław wojewodzic okazał tylko przywilej królewski dany jeszcze ojcu jego, nieboszczykowi na te wsie. Na posiadanie wójtostwa w Stebniku nie umiał dać dostatecznych dowodów. Sąd uznał, że tak posiadanie Stebnika przez Stanisława, jak i ów przywilej królewski, są bezpodstawne i niesłuszne. Ów przywilej, dany jego ojcu, został uznany za nieważny, bo «constitutionibus Regni generalibus donationes et alienationes quaevis bonorum nostrorum *novae* quaque ratione contra praescriptum statutorum Regni obtentae, sublatae sunt» (bo ustawą państwową zniesiono wszelkie nowe tj. po r. 1504 nadane darowizny dóbr królewskich, z jakiejkolwiekby przyczyny wbrew przepisowi statutów je otrzymano).

Dekretem królewskim odtąd Stebnik z wójtostwem, ze swemi żupami, z wsią Bolechowcami

---

[1]) «fisco nostro, cui hoc nomine ad 20,000 flor. pecun. annuatim detractum est». Dekret sądu królewskiego za relacyą kancl. Dębińskiego w Arch. akt dawnych w Warszawie «Assessorya» t. 20 f. 59.

wrócił do dóbr królewskich, a król zaraz zarządził intromisyę.

Dalszy ciąg rozpraw nad innemi kwestyami limitowano do sejmu następnego. Rozprawa następna odbyła się na sejmie lubelskim 2 sierpnia 1569. Tu Starzechowscy na swą obronę przynieśli dokument, dowodzący, że ich ojciec swego czasu kupił istotnie od dawnych właścicieli jedną trzecią wójtostwa drohobyckiego; sam zaś wojewodzic Stanisław okazał kwit, że zapłacił już posłusznie kwartę z swego klucza medenickiego. Co do reszty spraw, udali się w prośby i tem najwięcej zyskali, bo król ulitowawszy się, przebaczył im i nawet jeszcze Stanisławowi dożywociem puścił nadal klucz medenicki (dzierżony przezeń od r. 1563), byle tylko Starzechowscy swą $^1/_3$ część wójtostwa drohobyckiego odprzedali (za 1000 grzywien) nowemu staroście drohobyckiemu, Herburtowi tak, aby całe już to wójtostwo po śmierci tegoż Herburta mogło wrócić do stołu królewskiego [1]).

W ten sposób wszystkie dobra roztrwonione

[1]) Dekrety sądów apelacyjnych w tej sprawie w Metryc. koronn. w Warszawie t. 106 f. 67 i to samo t. 128 f. 74. Pozwolenie zaś Herburtowi na wykupno wójtostwa w t. 107 f. 430. Stanisław Starzechowski istotnie dzierżył ten klucz aż do swej śmierci r. 1584. (Metr. koronn.). Taksa jednak tego klucza już w r. 1580 jest wyższa niż przedtem, bo obliczono dochodu 1948, stąd kwarty 389. Pawiński, Księgi podskarbiń. IX 261.

wrócić miały do stołu królewskiego i ostateczna ich «ekzekucya» się dokonać [1]).

* * *

Owocem tej «egzekucyi» obu starostw był ostateczny upadek rodziny Starzechowskich. Sta-

[1]) Wskutek wszystkich powyższych przeszkód dopiero w r. 1569 mógł ostatecznie nastąpić właściwy układ między królem a Herburtem co do warunków dzierżenia obu starostw. Za 30,000 zł. dostał w zastaw starostwo samborskie na lat $7^1/_2$, tak że się corocznie miała umarzać z dochodów tego starostwa owa suma (po 4000 zł. a więc po tyleż, co i za Starzechowskiego). Dochód starostwa oznaczony na 7,354. (Pawiński Skarbowość. 247. Księgi podskarbińskie IX str. 144 i 2). Jak już zwrócił uwagę Pawiński, dochód właściwy starostwa przewyższał prawie o połowę pożyczkę daną królowi: $7^1/_2 \times 4000 = 30000$ a $7^1/_2 \times 7354 = 55155$. Z tegoż roku 1569 pochodzi odmienna ocena dochodów tegoż starostwa (u Pawiń. lc. 9); memoryału, który Pawiński obiecuje tu wydrukować w tomie następnym, a który miałby usprawiedliwić tę taksę nie znalazłem. Za to jest w Bibliotece Baworowskich we Lwowie (dawniej sygnatura Nr. 12 str. «00051», w kopiaryuszu biskupa Konarskiego z r. 1575). «Taksa dóbr J. K. Mci 1565 opisana przez rewizory (dane jej jednak pochodzą z kilku lat po 1565 jak np. wiadomość, że starostwo samborskie należy już do Herburta) i w tej taksie oszacowane dochody starostwa samborskiego wynoszą istotnie 11,626. Na czem polega różnica tych taks raz na 7354, drugi raz na 11,626? Pochodzi to zdaje się stąd, że w pierwszej niższej ocenie nie wliczono dochodu z tej części starostwa, którą pierwej już posiadał Herburt tj. ziemi ozimińskiej. Aliści znowu w «Źródłach dziejowych» t. XI str. 287 podano znowu inny dochód z tego starostwa, bo aż

rzechowscy nie byli wprawdzie jeszcze magnatami w całem tego słowa znaczeniu, ale już byli na drodze do tego stanowiska — i wtem nagle uderzyła w nich burza ruchu egzekucyjnego. Padli ofiarą, nie dostrzegłszy dosyć rychło, jak inni, że ruch ten zbyt potężny, że chwila jego tryumfu właśnie już nadeszła. I ta rodzina, którą tak wysoko stawia Orzechowski, rodzina, dla której poeta Sęp Sarzyński układał tyle wierszy i nagrobków, wynosząc pod niebo «szczodrobliwą rękę» wojewody Jana (zdaje się, że tento poeta znajduje się w gronie domowników Starzechowskiego, spierających się z Zamoyskim, por. powyżej str. 221), — rodzina, która wydała raz po razu dwu wojewodów (Jana podolskiego i jego ojca Wojciecha bełzkiego) już nie doczekała się w następnem pokoleniu krzesła senatorskiego, upada ona pod kołami ruchu egzekucyjnego, ruchu młodszej braci szlachty — a właściwie nowych rodów szlacheckich. Przeciw niej zwrócił się prąd czasu. Z nim

14,200. Niezgodność tych danych można zauważyć w tymże tomie na str. 266 i 287 i t. IX str. 308. Wnioskować można tylko, że początkowa taksa była bardzo pobłażliwa, gdyż następnie arendę Herburtowi podwyższono nawet ponad taksę (taksa 7354, arenda 8500). Osobno zupełnie traktowano dzierżawę żup ruskich przez Herburta. Właśnie arendy tych żup dotyczą listy tegoż Herburta do Jana Zamoyskiego, ale już z czasów późniejszych, bo z 7 i 13 czerwca 1579 (Źródła do dziejów M. Grabowski i Przezdziecki T. I r. 1843 str. 60 i w drukującem się obecnie «Archiwum Jana Zamoyskiego»).

szły nowe rody Zamoyskich, Herburtów i innych, z nim szedł młody rewizor — przyszły najwybitniejszy i najwspanialszy przedstawiciel braci szlachty i na ich fali się coraz wznoszący. Ten młody rewizor widocznie obecnie stoi po stronie młodszej braci szlachty i należy do zasadniczych zwolenników egzekucyi. Wskazuje na to i wybór jego przez króla do tej misyi, i gorące przekładanie Starzechowskim o krzywdzie jakąby skarb królewski i «obrona potoczna» Rzptej poniosła, gdyby zatrzymali sobie dochody starostwa [1]), wreszcie to jego bezwzględne postępowanie z Starzechowskimi odróżniające go od tych pobłażliwych rewizorów, z którymi «panowie chcieli czasem nadrobić» [2]). Niemniej widoczna tu jest i walka rodzin: pokrewieństwo Herburta z Zamoyskim wskazuje, że nawet taki ruch jak «egzekucyjny» odgrywa się na tle odpowiednich konstelacyi rodów, ich zawiści czy koligacyi.

Czy na Zamoyskiego cały ten spór nie wywarł głębszego wrażenia? Czy ten zatarg, jaki w charakterze komisarza krolewskiego toczył z wo-

[1]) Castr. Praemisl. lc. t. 287. Szósta protestacya Zamoyskiego przeciw Starzechowskim, według której miał im przedstawiać: «aequum esse atque etiam id a Sacra Regia Maiestate deberi Reipublicae et thesauro Regni sui providere, ne interim tam ampli totius anni (r. 1567) proventus dictae praefecturae thesauro Regiae Maiestatis et Reipublicae defensioni debiti decendant».

[2]) Rykaczewski, Rel. nunc. I 107—110.

jewodzińską rodziną, nie zespolił go silniej z antimagnackiem stronnictwem reformy? Te wyzwiska, jakich nasłuchał się przed bramami Sambora, strzelanie ku niemu z rusznic i przedrwiwanie nie wyszły mu może tak łatwo z pamięci i po części może nawet były jednym z tych drobnych bodźców, które go pasowały na trybuna szlacheckiego. W całej akcyi Zamoyski, lubo młodzieniec dwudziestokilkoletni, zdołał utrzymywać się w roli przezornego urzędnika królewskiego, nie dał się mimo tylu podrażnień wyprowadzić z równowagi, czego nie szukać u przeciwników — wojewodziców, którzy porąbali mieszczanina drohobyckiego. Ten milczący «clancularius revisor» lubo tak nikłym się wydawał dworakom samborskim w porównaniu z potężnym wojewodą podolskim — miał się stać z czasem najwybitniejszą postacią Polski i kiedyś z równą bezwzględnością wystąpić w imieniu praw Rzptej przeciw innej magnackiej rodzinie — Zborowskich...

* * *

Zdawało się, że «wojna» w starostwie samborskiem i drohobyckiem — już raz na zawsze skończona. Zaznawszy przez dwa lata niepokoju i napastowania to przez jedną, to przez drugą stronę — mieszkańcy obu starostw nareszcie wrócili do swych zwykłych zajęć. Niestety, niebawem — pokój ten znowu miał być zakłóconym —

co prawda, na ich szczęście, na bardzo... krótko. Starzechowscy czyhali na sposobność i myśleli nad sposobami wyrwania z rąk Herbutowi utraconych starostw, a szczególnie drohobyckiego, z którem zżyła się ich rodzina przez tyle pokoleń... I otóż nadszedł czas ogólnej zawieruchy — bezkrólewie po ucieczce Henryka Walezego, w czasie którego w całej Rzptej niezmiernie namnożyło się mężobójstw, tumultów, najazdów i bezprawi. Skorzystali z tego Starzechowscy i — siłą zdobyli starostwo drohobyckie; aby zaś przed światem upozorować czemś ten swój zajazd, głosili, że jakaś część sumy samborskiej im nie została zwróconą [1]).

Atak ten — to ostatni rozpaczliwy wysiłek Starzechowskich, ostatni awanturniczy krok, którym jednak Herburtowi starostwa nie wyrwali, a sami nie zdołali się już zatrzymać na pochyłości, po której się zwolna staczali...

[1]) Heidenstein. Rer. Polonic. na początku księgi II. Dlaczegóż rzucają się na drohobyckie starostwo, jeżeli mieli pretensye do samborskiego? O tym napadzie nic więcej nie wiadomo oprócz tej krótkiej notatki u Heidensteina.

ZAPOMNIANY BOHATER ŚLĄSKI

Połowa państwa niemieckiego leży na ruinach dawnej Słowiańszczyzny. Cały świat odrębnej, rodzimej kultury Słowian lechickich, który wykwitał prawie w środku dzisiejszej Europy, ze swymi bogami, swymi «Delfami», potężnymi grodami, wszystko znikło na zawsze bez śladu, bez żadnej puścizny.

«Znikło!» Ileż to słowo oznacza bolów, rozpaczliwych wysiłków, strasznych zapasów, beznadziejnego konania. Na miejsce wytępionych ludów weszli pod hasłem rozszerzenia wiary... miłości bliźniego, — «koloniści». Kolonizacya ta była na wstępie zaprawiona chrztem krwawym. Zaczynem dla tego rodzaju «krwawych» kolonistów był ów legion skazańców i ostatnich wyrzutków, którym cesarz Henryk Ptasznik (zamiast ukarać ich za morderstwo lub kradzież) rozdawał oręż i ziemię tuż pod grodem Merseburgiem, byleby nie tykając Niemców, łotrowali wedle pragnienia śród okolicznych «barbarzyńców» słowiańskich.

Takim kolonistą był słynny Gero, morderca zaproszonych na ucztę trzydziestu książąt słowiańskich i tylu, tylu innych. Ta bezustanna krucyata,

z cesarzem i biskupami na czele, sunęła szparko naprzód, tworząc coraz to nowe pograniczne «marchie». Nie znajdując przed sobą gór jak w obwarowanych niemi dokoła nakształt twierdzy Czechach, po równininie rwał się naprzód ten «furor teutonicus» coraz dalej na wschód, aż utknął na nas. Nas broniły niezgłębione, dziewicze bory ze słynnemi polskiemi «przesiekami». Ale niebawem przyszedł czas, że koloniści złożyli zakrwawione miecze do pochwy i z siekierą w ręku rzucili się trzebić owe puszcze i lasy. To już nie rycerze krzyżowi, to *extirpatores silvarum*: karczownicy lasów, przodownicy oświaty... z nimi szła w kraj nasz już nie krzywda i grabież, ale «błogosławieństwo» cywilizacyi. Śród huku zwalających się odwiecznych puszcz wkraczają do nas z pieniądzmi gospodarni sołtysi, mieszczanie, rzemieślnicy, a z nimi nowe wynalazki, «cuda» kultury...

Uosobieniem błogosławieństw, jakie w kraj nasz wniosła kolonizacya niemiecka, jest św. Jadwiga, córka Bertolda, księcia Meranu. Przybyła na Śląsk, oddawszy rękę Henrykowi Brodatemu, księciu śląskiemu.

Była to kobieta w owych czasach niezwykła. Pełna nadzwyczajnej litości dla wszystkich, którzy ulegli w walce o byt, a więc dla żebraków, dla chorych, dla więźniów, a przytem wszystkiem rozumna i wykształcona, «litterata», t. j. umiejąca po łacinie.

Z nadzwyczajnem zajęciem przysłuchiwała się

lekturze, lub późno w noc zasypiała nad książką. Raz nawet świeca wypadła jej przytem z rąk i, o cudo, książki nie spaliła [1]).

Kobieta o takich przymiotach w owych czasach oczywiście wywierała wpływ potężny na dworze księcia śląskiego. Wpływ ten sam przez się musiał zaznaczyć się i pod względem narodowym, tem więcej, że germanizacya już przed nią tu się zakradła. W czasie doby dzielnicowej, właśnie linia śląska szukała związków z Niemcami i u nich szukała oparcia przeciwko reszcie Piastów. Sam Henryk Brodaty był wnukiem i synem Niemek, gdy nadto teraz pojął tak niezwykłą księżniczkę niemiecką, uległ zupełnie wpływowi kultury niemieckiej.

Dwór jego zaroił się Niemcami, w orszaku księcia pełno rycerzy teutońskich. Są i Peregryn, i Gebhard v. Wissenburg, i Rudolf, i Günter v. Biberstein, i Godfryd Bawarczyk, i Emmeram de Stregun i t. p. Śród takiego otoczenia o polskości księcia Piasta przypominał chyba ów *sclavus saltans*, błazen-chłop nazwiskiem Kwiatek, który dziwaczną swą postawą i ruchami uciesznymi wywoływał potoki śmiechu śród dworzan książęcych.

Właśnie od czasu tego to Henryka Brodatego i żony jego św. Jadwigi, germanizacya Śląska szczególnie żwawo postępuje naprzód, oczywiście

[1]) Vita S. Hedvigis. Mon. Pol. t. IV.

stopniowo i zwolna, bez nacisku i bez protestu i oporu ludności polskiej. Znalazł się jednak wyjątek, znalazł się jeden człowiek, który odczuł instynktownie niebezpieczeństwo i zerwał się do obrony kraju przed nawałą germańską — fakt w owym świecie internacyonalnego wszechchrześcijaństwa, w czasach prawie zupełnie nieuświadomienia narodowego — niezwykły. Oto w kronice śląsko-polskiej czytamy o następującem ciekawem zdarzeniu, które przypadło około roku 1213. W tej kronice, ułożonej w 90 lat niespełna po tym fakcie, autor Niemiec pisze, co następuje [1]):

«Za życia jeszcze Henryka (Brodatego) i jego małżonki (św. Jadwigi) rzucił dyabeł ziarno niezgody między syny ich, Henryka i Konrada. Dla młodszego syna Konrada starał się ojciec o córkę księcia saksońskiego, naznaczając mu ziemię łużycką i lubuską, starszego zaś Henryka postanowił zostawić ogólnym spadkobiercą na tronie polskim (regem Poloniae instituere). Dowiedziawszy się o tem, Konrad, który Niemców nienawidził (qui Teutonicas exsecrabatur), zebrał Polaków z różnych dzielnic i postanowił wypędzić brata i tych niewielu Niemców, którzy wówczas byli na Śląsku. Rodzice, gdy tego nieszczęścia nie mogli zażegnać, ojciec do Głogowy, matka zaś do Niemczy ustąpiwszy, dopuścili synom iść w zapasy.

[1]) Mon. Pol. t. III, str. 647.

Ci spotkali się na polu między Lignicą a Goldbergiem, w miejscu, które zowie się Studnicą albo Rothkirch. Henryk przybył z Niemcami, przybyszami, i to tak rolnikami, jak i rycerzami, których skądinąd sprowadził. Po wyrznięciu niezliczonej liczby Polaków, a rozproszeniu tych z nich, którzy umknąć zdołali, Henryk z tryumfem plac boju otrzymał. Konrad, ratując życie, umknął do ojca i schronił się do puszczy tarnowskiej, gdzie na łowach spadł z konia i złamawszy golenie umarł. I zaniesiono do Trzebnicy i pochowano go w kaplicy, ze względu na siostrę, która go bardzo kochała [1]). Zwano go Kędzierzawym. Gdy miano zaprosić matkę na jego pogrzeb zatajono przed nią jego śmierć i wezwano ją do syna jakoby tylko chorującego. Ale ona rzekła: «Darmo udajecie, że chory ten, którego idę pogrześć, bo ja jego śmierć przedtem już przewidywałam, gdy wskutek jego lekkomyślności popłynęła krew wielu niewinnie...»

Nie trzeba zapominać, że opis przedstawionej tu katastrofy, zaszłej w łonie śląskiej dynastyi Piastowskiej, jest urywkiem z kroniki, której autor Niemiec miał właśnie na celu chwałę i podniesienie tej gałęzi Piastów. Pisał w czasie, gdy zaczęła wzna-

---

[1]) Siostra ta, Gertruda, była właśnie ksienią tegoż klasztoru Cystersek w Trzebnicy. Przywdziała habit, dotknięta śmiercią swego narzeczonego palatyna Ottona v. Wittelsbacha, zabójcy króla Filipa.

wiać się myśl zjednoczenia dzielnic polskich i koronacyi wspólnego króla, pisał w chwili, gdy właśnie pierwsza próba koronacyi przez Przemysława wielkopolskiego zakończyła się zgładzeniem jego przez skrytobójców, nasadzonych przez margrabiów brandenburskich. Kronikarz wymienia właśnie całą gegealogię Piastów, aby udowodnić, że najstarsza a zniemczona linia śląska wespół z potomkami następnymi Henryka (brata Konrada) ma przedewszystkiem prawo do korony polskiej. Dlatego to podkreśla (popełniając anachronizm), że Brodaty syna Henryka mianował po sobie «królem polskim». Wszystko to tłumaczy jasno pewien fałsz, którego się dopuścił w przedstawionym ustępie kronikarz. Oto nazwał Konrada młodszym synem, a Henryka starszym, gdy było wprost przeciwnie [1]).

Konrad był starszym, on zatem miał prawo do następstwa po ojcu. Miał prawo wystąpić przeciw uroszczeniom brata młodszego i bronić się przeciw zamiarom wysunięcia Henryka na właściwego spadkobiercę. Matka widocznie stała po stronie młodszego syna Henryka. Tak przypuszcza w swej kronice Długosz [2]). Długosz sądzi nawet, że i sam plan usunięcia Konrada od rządów wyszedł z głowy księżny Jadwigi. Nic dziwnego.

---

[1]) Dowody u St. Smolki «Henryk Brodaty», str. 100, uwaga.

[2]) Pod r. 1214. Nie wiedział, że Henryk był młodszym.

Między tą Niemką a synem, który «exsecrabatur Teutonicos», nie mogło być takiej miłości, jaka ją wiązała z Henrykiem, zwolennikiem i przyjacielem Niemców. Stąd to — rzecz znamienna — matka tak ostro potępia starszego syna Konrada za lekkomyślne przelanie krwi pod Studnicą, gdy to skarcenie raczej należało zwrócić ku młodszemu, który mniejsze miał prawa do następstwa po ojcu. Przeczuwał dobrze snać Konrad, że nie u matki Niemki, lecz w piastowskiem sercu ojca znajdzie więcej współczucia, kiedy do ojcowskiego grodu ucieka po klęsce, a nie do Niemczy. Matka jego z góry przepowiedziała, że zapasy braci skończą się wygraną jej umiłowanego syna, a śmiercią «lekkomyślnego» Konrada. Z góry przeczuwała jak wypadnie ten «sąd Boży». Wypadł na niekorzyść tego syna, który wystąpił przeciw prądom swej epoki, który nie chciał być synem swoich czasów...

Człowiek to osobliwy. W chwili, gdy wokoło niego cała Polska wita Niemców i garnie się ku nim, gdy zaprasza usilnie Krzyżaków, gdy książęta i rycerze zwabiają Niemców ku sobie, rozdając im puszcze na budowanie nowych osad, klasztorów, miast, młynów, kuźnic i błogosławią ich następnie za wprowadzone narzędzia i wynalazki, gdy całe wieśniactwo rade im za swobody i wolności «prawa niemieckiego», które rozkuwają je z dawnej niewoli — on wtenczas «exsecraba-

tur Teutonicos», chciał bawić się w zawiści rasowe, wtedy gdy cały świat oddany był internacyonalnej ascezie średniowiecznej lub myślał o pomnożeniu zasobów gospodarczych!

Wpatrzony w przeszłość «barbarzyńską», nie odczuwał tego, co się koło niego dzieje, nie wierzył w dary «kultury» niemieckiej. On, najstarszy syn, najstarszej linii Piastowskiej, śród ruin Polski dzielnicowej poczuł w sobie tętno krwi dawnych Bolesławów, swoich w najprostszej linii antenatów, uczuł się powołanym do wskrzeszenia tradycyi Chrobrych, Śmiałych, Krzywoustych, i jak oni chciał usłać wrogom «psie pola». A więc jak oni zaczynali swe rzędy, tak i on umyślił zacząć od wypędzenia innych Piastów, a więc naprzód brata ze Śląska, a może potem i reszty Piastów z innych dzielnic i wszystko w swej ręce zjednoczyć.

Marzenia to były. Przewaliła się przez niego powódź kolonizacyi niemieckiej. Zwyciężony przez Niemców, tułał się po borach, które dawniej chroniły jego przodków od Niemców, ale dziś już je huk toporów niemieckich napełniał.. W tych rzedniejących puszczach zginął Konrad Kędzierzawy.

Był to ostatni, a ze śląskich jedyny Piast, który podniósł oręż w obronie tej dzielnicy przed pokojowem a powolnem jej niemczeniem.

Po bitwie studnickiej, która jedynie zamąciła postęp germanizacyi, wynarodowienie dzielnicy szerzyło się już bez przeszkody. Nie! prawda na

krótki czas zakłóciła tę pracę kolonizacyjną inna zawierucha. Od wschodu słońca przypadła straszna nawałnica — napad Tatarów. Wtedy jakaś nemezis dziejowa kazała synowi Henryka stoczyć z tymi Tatarami bitwę, właśnie tuż pod samą Lignicą, pod którą pogromił starszego brata Konrada, i pod razami tej dziczy ledz na pobojowisku. Matka jego miała doczekać tej śmierci syna «Europejczyka» w walce ze wschodnimi «barbarzyńcami», wylęgłymi z «Tartaru».

Henryk, jako rycerz, który padł na wyłomie w bramach Europy, w walce z dziką tłuszczą azyatycką, przeszedł do historyi. Brat jego starszy do niej się nie dostał. Niktby o nim nawet sobie nie przypomniał, ani wiedział o jego zaletach duszy, gdyby nie nienawistna dla niego notatka kronikarza Niemca. Dziś nawet jedyny ocalały przed zniemczeniem chłop Górnoślązak nie wie podobno nic o swym bohaterze Piaście. Przed trybunałem dziejów nie ostoją się ci, dla których współcześni byli zimni jak głaz, nie ostoją się ci, którzy zginęli nawet bez echa, bez łzy, niezrozumiani przez nikogo, nawet przez matkę swoją świętą...

Nie przed trybunał dziejów iść marzycielom, takiej postaci stanąć raczej przed jakim wieszczem i natchnąć go do pieśni, a ona może ludzi dopiero rozgrzeje! Taka postać zapomniana wstaje wtedy, jak on ptak cudowny z popiołów, po wiekach zapomnienia staje się zrozumiałą dla nastę-

pnych pokoleń, a nawet czasem ich promiennym, pozagrobowym wodzem.

«...Alboż wiedzieć jesteś w stanie,
Gdzie kiełkuje siew z przed lat tysiąca
I jakim kwiatem wspaniałym powstanie,
W jutrzejszych promieniach słońca?
Jaka ożywcza i płodna potęga,
Zamierzchłej pracy wiek nowy zasila?
I gdzie lecąca z ust oddechem chwila
W potężnych skutkach swych sięga?...

Z HISTORYOZOFII NIEMIECKIEJ

(UWAGI O POJMOWANIU DZIEJÓW K. LAMPRECHTA)

«Bez hypotezy i uogólnienia historya staje się bawidełkiem w ręku antykwarzy, bez krytyki i erudycyi ulatuje w przestwory fantazyi».

Pirenne. Une polemique historique en Allemagne.

I.

Wiek XIX przeszedł już do historyi. Pod koniec swego stuletniego żywota, jakby chcąc zaskarbić sobie jej względy, okazał się dla niej bardzo życzliwy. Naukom kazał się nazwać «historycznemi», wszystkie zjawiska kazał traktować «historycznie», «genetycznie», «retrospektywnie» a na polu samego właściwego dziejopisarstwa wzbudził niezmiernie ożywiony ruch.

Jakie to stosy wydawnictw źródeł idą w świat i piętrzą się coraz wyżej i wyżej, ile to kroci monografii, obejmujących szersze lub szczuplejsze objawy życia ludzkości, ile to specyalnych rozprawek, badających najdrobniejsze, najbardziej lokalne wypadki i wypadeczki, opisujących szczegółowo choćby najmniej znamienne pamiątki i drobiazgi, pozostałe

po historycznych osobistościach, stawiających kunsztowne hypotezy co do rozmiarów... szpilek do krawatów lub pieprzyków na twarzy dawnych bohaterów!... Mnoży się las faktów i szczegółów, ale kto to wszystko ogarnie, kto opanuje, kto wtłoczy w jedno łożysko?

Wszak według starej oklepanki z postępującą coraz dalej specyalizacyą pracy podział pracy gwałtem domaga się uogólniającej wszystkie gałęzie jednej dyscypliny i t. d. i t. d. Cóż, kiedy ta mrówcza praca gromadzenia niezliczonych materyałów i szczegółowych wiadomości, budowanie coraz liczniejszych «magazynów antykwarycznych» i cały ów wzrost erudycyi odbywa się przy wtórze... szyderczych nawoływań, i to coraz donośniejszych, że cała tak zwana «historya» to zbieranina bezcelowa, bezmyślna, że to właściwie... żadna nauka...

Wszak niedawno (1892) Lorenz w Niemczech nie uląkł się wyrazić zdania, że naukowo i metodycznie historya od czasów... św. Augustyna prawie na krok nie postąpiła, a cały postęp tkwi tylko w rozwoju nauk «pomocniczych» i... pomnożeniu bibliotek. Wszak niedawno we Francyi Bourdeau w znanem u nas dziełku zawyrokował z emfazą, że dotychczasowa historya, jako nauka — to zero, że dopiero trzeba ją na nowo budować...

Historyków-syzyfów, nad stosami dokumentów ślęczących, odrywa od pracy zarzut, przerażający

ich jak głos puszczyka, niby nowy, a jednak tak dawno czyniony historyi, który swego czasu wyraził już Sextus Empiricus, dając jej przezwisko «ἀμέθοδος ὕλη...»

Owoce rosnącego dziś sceptycyzmu historycznego widoczne. Wszystkie podwaliny dziejopisarstwa wstrząśnięte. Tysiące krzyżuje się pytań i zagadek niewyjaśnionych. Co to jest historya? Jakie jej zadanie? metoda? stosunek do innych nauk? Wszystko przekopane, wywrócone. Prawda, że równocześnie gradem leci mnóstwo pomysłów i rad przyjacielskich dla przechodzącej przez kryzys historyi. Ale wszystkie te lekarstwa pochodzą przeważnie z koła jej niezawodowych opiekunów — nie zaś ze strony samych dziejopisarzy. Nie polegają one na znajomości dokładnej pacyenta, nie na bezpośredniem zaznajomieniu się z faktami historycznymi, ale na czystej abstrakcyi lub na przystosowaniu obcych nauk do historyi, że wspomnę np. u nas zastosowanie do historyi zasad geometryi wykreślnej przez Tadeusza Chrzanowskiego lub świeżo zasad mechaniki przez L. Winiarskiego[1]).

Czy tego rodzaju ustronne posiłki rozjaśnią — i wytkną jakieś drożyny w dzisiejszej, zagadkowej głębi lasu faktów, czy też nadal będzie szumieć owa przeklęta «ἀμέθοδος ὕλη», szydząc z wysiłków śmiałków, wdzierających się do jej łona?

---

[1]) Porów. «Ateneum» r. 1897—1900.

Najwięcej tych zuchwalców wydał świat uczony francuski. Może z dumą Francya wskazać na cały ich szereg od Comte'a do Taine'a. W porównaniu jednak z Francyą i Anglią — Niemcy, «naród filozofów» — w ostatnich czasach — przyznać trzeba ku ogólnemu zdumieniu — zostały pod tym względem bardzo w tyle.

Rozwinąwszy i wydoskonaliwszy znakomicie technikę krytyki źródeł, czyli tak zwaną Niebuhrową metodę, uczeni niemieccy jęli lekceważyć i ignorować uogólnienia szersze w historyi, wychodzące poza zakres samego «rzemiosła» dziejopisarskiego. Najbardziej powołany pod tym względem sędzia, Bernheim, otwarcie przyznaje[1]), że niemiecka historyozofia od czasu zrażenia się do jednostronnej ideologii Hegla legła ugorem w porównaniu z zagranicą do tego stopnia, że nie tylko uczony świat niemiecki nic nowego w tym rodzaju nie wytworzył, ale wprost nie czytał, nie zajmował się choćby najważniejszymi objawami ruchu zagranicznego. Jedynie Buckle był znany[2]), ale ten przez swoje jednostronnie «statystyczne» tendencye wywołał taki odruch w Niemczech, że nie postarano się poznać nawet jego wielkiego

[1]) Hist. Vierteljahrschrift, 1899, p. 374.

[2]) Nastrój ówczesnych uczonych niemieckich znamionuje zdanie, wypowiedziane przez jednego z nich, że każdego, przyznającego się do teoryi tego socyologa, uważa... za niemoralnego i zepsutego człowieka. Lorenz, Geschichtswissenschaft I. 184.

protoplasty — Comte'a. Rzecz dziwna, powiada Bernheim, rzecz, w którą późniejsze pokolenia nawet wierzyć nie będą chciały: — pomysły Comte'a pozostały w Niemczech ogólnie... nieznane. Teorya marxistów jeszcze bardziej odstraszyła zawodowych niemieckich profesorów od zajmowania się historyozofią. Zresztą nie brakło i zewnętrznych powodów tego zacofania. Jednym z najważniejszych był ten, że ostatnie pokolenia historyków w Niemczech skierowały całą swą uwagę na politykę, żyły bowiem w czasach ogólnego parcia inteligencyi ku politycznemu zjednoczeniu Niemiec, a w związku z tem skierował się cały ruch ku badaniom dziejów politycznych.

Wytknął ten błąd starej generacyi historyków na zjeździe historycznym w Norymberdze w r. 1898 jeden z historyków. Między innymi odważył się im powiedzieć jasno i bez ogródek, że hasłem dawnej szkoły było: osiągnąć polityczną jedność narodu za wszelką cenę czy to «głoszeniem idealnych celów, czy też, gdyby trzeba było, krwią i żelazem», — wykazał im, że dlatego historya w ich ręku była prawie tylko politycznym środkiem i że dlatego to w niej szukali dowodów, aby wykazać, iż państwo jest wszystkiem w dziejach, że nie prawo, ale siła jest właściwą podstawą państwa i t. d. Przypomniał im wyraźnie oświadczenie Sybla z r. 1856, że charakterystyka współczesnych mu historyków nie wiąże się zupełnie

z ich naukowym aparatem, gdyż — zdaniem Sybla — metoda historyczna nie postąpiła na krok od czasów Niebuhra i Rankego, ale tkwi w politycznem stanowisku autorów. Ów historyk przedstawił, że o ile to pokolenie Sybla potężnie wsparło polityczne dążności narodu, o tyle pod względem naukowym i metodycznym zubożyło historyę. «Historyczno-polityczna szkoła niezawodnie zasługi położyła niepospolite około dobra państwa i cesarza», ale cofnęła w tył naukę historyczną, zaniedbała przedewszystkiem znamiennej dla nauk dzisiejszej doby — «metody porównawczej» [1]).

Historykiem, który wypowiedział te słowa staremu pokoleniu, był profesor lipski Karol Lamprecht, pierwszy z a w o d o w y historyk niemiecki, który przerywał ciszę, na tem polu panującą [2]), — z zupełnem przeświadczeniem trudności swego zadania. Jak z góry spodziewał się, a nawet chciał, wywołał istotnie niebywałą wrzawę i hałas.

* * *

[1]) Die Entwickelung d. d. Geschichtswiessenschaft. K. Lamprecht, s. 20.

[2]) Przedtem w latach 1888—1891 zajątrzał się co prawda, już spór w Niemczech między «kulturalną» a polityczną historyą, między Schäferem a Gotheinem. Schäfer, Das eigene Arbeitsgebiet d. Gesch., 1888. Gothein, Die Aufgaben d. Kulturgeschichte, 1889. — Tu załączam wzmiankę biograficzną: K. Lamprecht, ur. 25 lutego 1856 w Iessen w Saksonii, studya odbywał w Getyndze, w Lipsku, w Monachium, habilitował się w Bonn, gdzie został profesorem. Następnie wykładał w Marburgu, obecnie w Lipsku.

Polemika o pojmowaniu dziejów Lamprechta toczy się w Niemczech w latach 1896—1900. Wprawdzie już od r. 1891 wychodzić zaczęły tomy jego «Dziejów Niemiec» (dziś doprowadzone do w. XVIII), zbudowane już na «nowych» podstawach, ale świat naukowy historyczny zwrócił uwagę na te nowinki Lamprechta dopiero od lat pięciu. Lamprecht, zaniepokojony tem, że mimo zainteresowania się szerszych kół publiczności jego «Dziejami» i wielkiej ich poczytności — w świecie naukowym jednak ciągle panuje złowroga cisza, przywdział sam przyłbicę i pierwszy wyzwał przeciwników. Wystąpił w roku 1895 w październiku na lipskim «Historischer Abend» z odczytem, skierowanym przeciw Syblistom: oni pojmują dzieje teleologicznie, indywidualistycznie, gdy tymczasem trzeba badać «stany» (Zustände) i przyczyny faktów «generycznych», bezcelowych, co spełnić może historya «statystyczna», «ewolucyonistyczna...» Jest to pierwszy jego krok na arenie polemiki historyozoficznej, trochę niepewny, trochę przesadny...

Niebawem znalazł przeciwnika. W r. 1896 do turnieju z nim pośpiesza zawodowy historyk Rachfahl, który krytykując historyę Lamprechta, nie poprzestał, jak dotychczas postępowano, na dotknięciu drobnych błędów faktycznych i dat w jego historyi, ale zadrasnął też i samą teoryę i wiązanie jego dzieła. Za hasło do szermierki wziął Rachfahl ustęp z IV tomu «Dziejów» Lamprechta (s. 133—134),

gdzie autor w rozmachu pióra jednym tchem w kilku zdaniach wyrzucił z siebie istotnie wszystko to, co później znamionuje jego metodę, gdzie wzmiankuje już i o psychologicznych podstawach historyi, i o «typach», i o jednorazowych faktach, których naukowo ująć nie można i t. p.

W odpowiedzi na to Lamprecht wydał broszurę «*Alte und neue Richtungen*» 1896, gdzie rzucił się na mistrza dawnej szkoły historyków, Rankego. To była rękawica rzucona pod nogi staremu dziejopisarstwu. Odtąd wre namiętna walka. Sypią się broszury, mnożą się artykuły po rocznikach, miesięcznikach, tygodnikach, pismach codziennych, nieraz tak drobne, tak ulotne, że dziś ich wszystkich pozbierać prawie niesposób [1]).

---

[1]) Ważniejsze broszury samego Lamprechta: Alte und neue Richtungen. Das Arbeitgebiet geschichtlicher Forschung (Zukunft 4 kwiet. 1896). — Die geschichtswissenschaftliche Probleme der Gegenwart (lc. 7 i 14 list. 1896). — Was ist Kulturgeschichte (Deutsche Zeitschrift für Geschichtswissenschaft, Neue F., t. I, 1896/7, s. 75—150 por. 97/8, s. 46). — Individualität, Idee u. socialpsychische Kraft in der Geschichte (Jahrbücher f. Nationalökonomie u. Statistik, Jena 1897, III F. tom 13, s. 880 i t. d. por. też 69 (161). — Eine Wendung im geschichtswissenschaftlichen Streit (Zukunft. 2 stycz. 97). — Zwei Streitschriften des Herrn Oncken, Delbrück u. Lenz zugeeignet (częściowo w Zukunft, 16 i 30 paździer. i 6 listop. 1897). — Der Ausgang d. geschichtswissensch. Kampfes (Zukunft. 31 lip. 97). — Die Entwickelung d. deutsch. Geschichtswissenschaft vornehmlich seit Herder. München, 1898. — Epilog (Zukunft. 5 mar. 98). — Die historische

W czasie tej szermierki na pióra po jednej stronie stoi sam Lamprecht, nie pozostawiający ani jednej zaczepki bez odpowiedzi, z drugiej strony cały szereg «starej daty» historyków. A więc Rachfahl, Meinecke, Lenz, Below, Oncken, Delbrück. Nieco później zaczynają się zjawiać pisarze o tonie mniej zawistnym, uznający niektóre dodatnie strony w teoryi Lamprechta, jak Hintze, Buchholz; w końcu zyskuje zwolenników, jak wspomniany Barth, we Francyi Pi-

---

Methode des Herrn von Below. Berlin, 1899. — Die kulturhistorische Metode, 1900.

Ważniejsze broszury innych: Below. Die neue historische Methode (Hist. Zeitschr. Sybla). — Buchholz. Zur Lage der Geschichtswissensschaft (Akademische Rundschau, I. Jahrg. Nr. 15). — Hannak. Lamprechts deutsche Geschichte (Zeitschrift für die öster. Gymnasien, 1897, 293). — Hintze. Ueber individualistische u. kollektivistische Geschichtsauffassung (Historische Zeitschrift Sybla, 1897. Neue F., t. 42; w temże piśmie dużo rozsypanych krytyk, jak Meineckego, odpowiedź Lamprechta i t. p.). — Lory. Geschichtsphilosophische Systeme d. Gegenwart. (Umschau, 1, 1897, s. 751). — Oncken. Lamprechts Vertheidigung. Berlin, 1898. — Pirenne. Une polemique historique en Allemagne (Revue historique r. 1897, 64 (54). Rachfahl. Deutsche Geschichte vom wirtschaftlichen Standpunkte (Preussische Jahrbücher, w temże piśmie passim). — Rachfahl. Ueber die Theorie einer kollektivistischen Geschichtswissenschaft (Jahrbücher für Nationalökonomie u. Statistik, Jena 1897, III, F. 13 tom. s. 658 i 901). — Winter. Die Begründung einer socialistischen Methode (Zeitschrift für Kulturgesch., 1, 196).

renne, a nawet gorących wielbicieli, jak Barge, Lory, Hannak i wielu innych, których przeciwnicy zwą szyderczo «cechem» Lamprechtowym.

Obóz nieprzyjacielski skupił się głównie około dwu berlińskich pism, syblowskiej «Historische Zeitschrift» i Delbrücka «Preussische Jahrbücher», podczas gdy dla nowych kierunków stanęły otworem łamy pism «Die Zukunft» i lipskiej «Deutsche Zeitschrift für Geschichtswissenschaft». Berlin, stolica politycznych działań, stał więcej za starą szkołą, «polityczną», Lipsk z Barthem, Hintzem, Bargem i t. p. skłaniał się więcej ku tym nowym «naukowym» prądom.

Polemika wzmagała się, prowadzona z coraz rosnącą zaciekłością, zupełnie nie licującą z powagą uczonych. Niemiecka nauka zupełnie nie okazała owego, rzekomo sobie właściwego, zimnego spokoju. Mniejsza o to, że w gorączce polemiki korzysta się z widocznych «lapsusów» przeciwnika; — ale oburzają nas owe brutalne wybuchy iście niemieckiego ferworu, które raz w raz z jednej i drugiej strony mącą tok dyskusyi, zdumiewają namiętne osobiste napaści, które rzuca się i odbiera jak z płatka.

Celuje w tem przed innymi Below. Zwie Lamprechta «Don-Quixotem», który zapala się do nowości, «jak młody student», tworzy z «cynizmem» «komiczne produkty», a na zaczepki daje odpowiedzi «najnędzniejsze ze wszystkich, jakie kiedy-

kolwiek się zjawiły w polemice literackiej...» [1]). Drażniony podobnemi wyrażeniami Lamprecht nie przebiera w nich także. Krytyków, szperających w jego dziełach za drobiazgowemi usterkami, porównywa z łatającym buty szewcem, który nie zdolen jest wznieść się nad swoją robotę... Kiedy zrobiono mu zarzut — zresztą nie słuszny — że jest «materyalistą», Lamprecht przypisał to posądzenie osobistym pobudkom swych nie «przeciwników», ale «wrogów» i w odwet zarzucił anarchistyczne... tendencye, «naiwność...» i t. p.

Zapamiętałość w polemice doszła do szczytu, kiedy Oncken nazwał Lamprechta «plagiatorem», wytykając mu, że nie zawsze w swych «Dziejach» powołuje się na dzieła konstrukcyjne, choć z nich czerpie dosłownie (zamiast bezpośrednio ze źródeł). Lamprecht uparł się przy tem, że większe dzieła muszą opierać się na drobniejszych monografiach i istotnie co do pomowy o plagiatorstwo wyszedł etycznie obronną ręką, a samemu nawet Onckenowi uczynił zarzut, że jest figurą, podstawioną tylko przez swego profesora Lenza, głównego Lamprechta przeciwnika.

Niemało dostało się przytem i redaktorom pism, w których pomieszczano polemiczne artykuły. Nawet tych pisarzów, którzy silili się, aby całkiem bez-

---

[1]) Broszurę v. Belowa streścił p. Krotoski w «Przeglądzie Powszechnym» r. 1899, 289 (luty).

stronnie zdawać sprawę z broszur polemicznych, redakcye musiały brać w obronę przed atakiem rozgorzałych walką przeciwników, ich samych zaś musiały po kilkakroć wzywać, aby usunęli z rozprawek osobiste napaści, albo znowu narazić się na ich oburzenie w razie nieprzyjęcia sprostowania pełnego osobistych napaści (jak np. Delbrücka w «Zukunft»).

Oczywiście taki ton polemiki nie może wzbudzić zaufania dla powagi nauki i ich przedstawicieli... Przyznać jednak trzeba, że w czasie tej walki prowadzonej bez rękawiczek, poruszono i oświetlono mnóstwo ciekawych zagadnień, przetrząśnięto niejeden dawny systemat historyozoficzny, zainteresowano nimi, co więcej, nie tylko świat uczony, ale wogóle czytającą inteligencyę. Kto wie, czy nawet takie uniesienie w polemice nie pozostawi za sobą śladów trwalszych, aniżeli kadzidła, palone na ołtarzach wzajemnej adoracyi przez tych, co z ironicznym półuśmiechem powtarzają monotonne «Ignorabimus...»

* * *

Jak nie uwierzyć w żelazne ryskale,
Co w pył wiekowe epoki rozkruszą?!
I... bałwochwalcze już kadzidła palę
Tobie, o tłumie, żeś owładł mą duszą!...
J. Kasprowicz.

Śród poprzednich historyków, z którymi polemizował Lamprecht, nie wspomniałem o L e h m a-

nie, i to umyślnie, aby teraz na tle jego poglądów, jaskrawo odbijających od teoryi Lamprechta i skwapliwie przez tegoż zaatakowanych, tem wyraźniej uwypuklić tę ostatnią.

W roku 1893, przy objęciu katedry historyi w Lipsku, M. Lehman wypowiedział wstępną przemowę. W niej dobitnie zaznaczył, że dzieje ludzkości są tylko historyą bohaterów i górnych postaci: historya to opowiadanie o indywiduach. Nie szukaj w niej żadnych typowych, regularnie się powtarzających zdarzeń, żadnych praw, nie ujrzysz żadnej prawidłowości w rozwoju zdarzeń, czy to się oprzesz na badaniach socyologicznych, czy gospodarczych, czy topograficznych. Niema analogii w dziejopisarstwie, analogie zdarzają się tylko w przyrodoznawstwie. Dziejowe zjawisko nie da się przenigdy wyrozumieć przyczynowo. Czynnik, w dziejach działający — to bohater. Bohater tworzy nowe warunki życia wbrew prądom przeszłości. Bohater nie daje się porwać ogólnym prądom, on sam je wtłacza w łożysko. Geniusz nie da się ująć w formułki. «Dwie sykstyńskie madonny — to niemożliwość...»

W tym samym Lipsku w kilka lat potem zjawia się kontrast Lehmana — jakby przedstawiciel reakcyi przeciw wybujałemu indywidualistycznemu pojmowaniu dziejów — Lamprecht, głosiciel wręcz przeciwnej «kollektywistycznej» historyozofii.

Przy tem starciu dwu kierunków najłatwiej

uchwycić i zrozumieć, w czem tkwi właściwy punkt sporu. Ni mniej ni więcej, spór toczy się o zagadnienie tak stare i tak zawsze nowe, a tak dziś jednak inaczej oświetlone: — o to, czy, w dziejach można wyśledzić pewną prawidłowość w objawach i w jakim stopniu. Czy da się przedstawić pewien typowy schemat rozwoju ludzkości, czy w dziejach, przeciwnie, są tylko drobne, jednorazowe, wyjątkowe zdarzenia? Oto jabłko niezgody śród historyków niemieckich, zagadnienie nie nowe, które (jak słusznieby zauważył jaki Ben-Akiba) już swego czasu ilustrował poglądowo Pascal, biorąc za przykład ów czarujący... nosek Kleopatry.

Spór ten jednak dziś przechodzi przez nową fazę. Zeszedł na grunt psychologiczny. W przeciwieństwie do indywidualistycznego zjawia się nowe socyalno-psychiczne pojmowanie dziejów. Lamprecht podnosi myśl zresztą nie nową, że przedewszystkiem psychologia powinna stać się taką dla historyi podstawą, jak mechanika i matematyka dla przyrodoznawstwa. Zdawna już zmierzały badania historyczne ku temu, aby rozwój ludzkości oprzeć na podstawach psychologii, tylko wpadały zawsze w jednostronność: albo podkreślały wolę, jak dawni indywidualiści, widząc wszystko w potęgach etycznych, albo jak nawet marxiści, podkreślający produkcyjne czynniki, działające na wolę, albo, jak Comte i jego uczeń Buckle, zapatrzeni w umysł człowieczy. Zamiast wpadać w tę jedno-

stronność trzeba ująć w całość i skojarzyć wszystkie te objawy — a tego dokona socyalna psychologia.

Ona konstatuje już u gromad pierwotnych gromadne objawy woli, uczucia i wyobrażenia. Te gromadne objawy psychiczne nie są jednak tylko sumą poszczególnych indywidualnych uczuć, wyobrażeń i t. p. Socyalno-psychiczne zjawisko jest czemś nowem, czemś odrębnem od poszczególnych składników: jest to nowy twór, niby akord, który przecież różnym jest od pojedyńczych tonów. Wskutek zestrzelenia się w jedno ognisko drobnych psychicznych porywów okazuje się pewna nadwyżka, jako produkt nowy, zrodzony nieświadomie, niezależnie od woli jednostek. — Objaw ten występuje tak śród najdrobniejszych gromadek i zawiązków społecznych, jak i śród tak potężnych zbiorowisk, jak państwo. Wszędzie wyłania się nowy, odrębny skutek («heterogonia skutków»). «Oto — przypuśćmy — istnieje jakiś naród, składający się z 20 milionów osobników. Jednym z socyalno-psychicznych tworów tej masy jest patryotyzm. Jak powstaje to poczucie narodowe? Czy z tych uczuć, jakie każda jednostka żywi względem swej ojczyzny, — zbiera się ono w końcu, jako ich suma? Nigdy! Onoby nigdy nie powstało z sumy nie zwartych w społeczeństwie jednostek. W czasie, gdy wszyscy tak samo lub podobnie czują, powstaje w sposób

twórczy coś, jakościowo całkiem nowego, coś, co istnieje poza indywidualnem uczuciem każdego!!...» Gdzie istnieje gromadny objaw uczuć, wyobrażeń i napięcia woli, tam można wszystkie osobistości uważać za identyczne, regularne, typowe, przeciętne, za okazy gatunkowe... I tu wychyla się w konsekwencyi owo nowe «veto» przeciwko «starej historyi», która przeczy prawidłowości zjawisk dzisiejszych, ale wszystko przedstawia jako poszczególne, wyjątkowe, indywidualne...

Znaczenia socyalno-psychicznych sił nie zapoznawano i przedtem w niemieckiem dziejopisarstwie. Nadawszy im nazwę «Zustände» — «stanów», uważano je jednak zawsze za jakieś nieruchome, a przedewszystkiem bierne potęgi, które nie inaczej wpływały na bieg historyi, jak przyroda, klimat i t. p. Były to sobie poboczne warunki dziejowych zdarzeń, ot dodatkowa illustracya «właściwej» politycznej historyi.

Tymczasem Lamprecht w polemice z Rachfahlem uwydatnia, że te socyalno-psychiczne prądy są ustawicznie przetwarzającemi się, nieustannie zmieniającemi się przyczynami i podstawami rozwoju. Ciągle działa samodzielnie owa tworząca nadwyżka sił psychicznych, ten ich kompleks, który Lamprecht lubi modnie nazywać psychicznym dyapazonem epoki. Działanie tych sił jest tylko psychiczne. Wszystko bowiem, co historyczne, ma psychiczny charakter... «Ruiny Pompei są dla nas

tylko materyą, niczem historycznem, jeżeli ich nie pojmujemy, jako symbolu i pozostałości rzymskich uczuć i myśli» [1]).

Tylko wspomniane siły gromadno-psychiczne

---

[1]) Lamprecht według poglądu dziś powszechnego (przyjętego i przez marxistów) uważa wszystkie fakty dziejowe za objawy psychiczne. Każdą, choćby jak najbardziej «materyalną» czynność traktuje — rzecz jasna — jako psychiczne zjawisko. Dlatego to Lamprecht, zajmując się klasyfikacyą nauk w ostatniej broszurze swojej (Kulturhistorische Methode, s. 15) nazwał historyę w przeciwieństwie do przyrodoznawstwa «w najszerszem słowa znaczeniu» «nauką o psychicznych zmianach społeczeństw ludzkich». Na podstawie tej definicyi, danej przez Lamprechta, prof. Dembiński w referacie, przedstawionym na ostatnim krakowskim zjeździe historycznym — ukuł zarzut przeciw Lamprechtowi, jakoby jego punkt widzenia psychologiczny był nazbyt jednostronny: «niepodobna z tego punktu rozważać i przedstawić całych dziejów narodu». Dalej wytoczył prof. D. w związku z tem zarzuty, że Lamprecht, zapatrzony w owe psychiczne «nastroje» epok, nie uwzględnia innych (niepsychicznych?...) objawów, jak zmian w ustroju państwa, wpływów polityki zewnętrznej i t. d.... Widoczne tu nieporozumienie. Jakto? więc ten sam Lamprecht, który toczył spór o ważność (nastrojowych?) ekonomicznych czynników w historyi w polemice z «hyperidealistami», a w swej historyi uwzględnić chciał wszystkie objawy kultury — ten sam terazby je lekceważył?... Cóż to się stało? — Dla wyjaśnienia nieporozumienia zaznaczyć trzeba, że, kto choćby powierzchownie zapoznał się z teoryą poznania dzisiejszej doby, przyzna słuszność poglądom Lamprechta, gdy ten chce wszystkie objawy historyczne w gruncie rzeczy uważać za zjawiska psychiczne. Po drugie, każdy, kto choćby kilka jego rozprawek przejrzał, musi przyznać, że sam Lamprecht, uprzedzając z góry nieporozumienia, wyłuszczał po niezliczone razy zupełnie jasno,

zwracają na siebie uwagę Lamprechta. Tylko one, jako objawy prawidłowe, są — zdaniem jego — godne być przedmiotem n a u k i. One jedynie dadzą się ująć badawczo, naukowo rozjaśnić i porównawczo uporządkować. One obejmują postępki ludzkie, dokonane bezcelowo, raczej z przyzwy-

co przez to rozumie. Szczególnie wyraźnie w tej sprawie rozmówił się Lamprecht z Belowem. Prof. Dembiński, jakby zapomniawszy o tej polemice z Belowem, znowu odświeża zarzut, nad którym w Niemczech przeszło się już do porządku dziennego. Prof. Dembiński mianowicie przedstawia przed oczy Lamprechtowi, że przecież «zachodzą wypadki i położenia, które nie podpadają wyłącznie pod ten mianownik psychologiczny, np. gwałt zewnętrzny, dokonany na narodzie»; tymczasem na takiż sam zarzut ze strony Belowa odpowiedział był już Lamprecht (Die histor. Meth. des Herrn von Below, 33—34), oświadczając, że stosunki zewnętrzne polityczne nie są niczem innem, tylko też w gruncie «socyalno-psychicznymi prądami i siłami, działającymi z zewnątrz czy to przez pewną oznaczoną rękę, czy to przez mniej osobisty ruch», tak, że «w sumie chodzi tu wszędzie zatem o socyalno-psychiczne siły...» Prof. Dembiński stoi na tem stanowisku, zdaniem mojem, dziś już przestarzałem, na którem stał dawniej sam Lamprecht wtedy jeszcze, kiedy nie myślał zajmować się kwestyami historyozoficznemi i co do nich polemizować. Zaraz jednak na początku polemiki wyleczył się i przestał wyobrażać sobie przeciwieństwo «duchownych i materyalnych» czynników w dziejach na podobieństwo stosunku ciała do duszy (porównaj «Was ist», str. 138). Czemuż nie korzystać z doświadczenia innych, zwłaszcza, kiedy się przedstawia ich samych. W miejsce teoryi Lamprechta prof. Dembiński proponuje coś nowszego, mianowicie, pogłębić starą «prawdziwą historyę prawdziwego życia». Pochlebniej ocenia zasługi Lamprechta prof. Finkel (Kwartalnik historyczny z roku 1897, tom IV).

czajenia, — czynności generyczne, statystyczne — stąd związane z sobą łańcuchem konieczności przyczynowej, prawidłowości...

Przeciwnie jednostka. Ona się wymyka z pod ręki uczonego badacza. Nie przyczyny, ale cele nią kierują. Pomijając fakt, że właściwie jednostka ludzka, zupełnie odosobniona, nie jest znaną doświadczeniu ludzkiemu [1]), trzeba się zgodzić na to, że wyrozumieć i racyonalnie wytłómaczyć sobie indywiduum niepodobna: *individuum est ineffabile.* Chyba jedna twórczość niewyrozumowana artysty zdoła odtworzyć indywiduum, ale nie nauka; stąd historya, traktowana nie jako nauka, tylko jako sztuka, może artystyczne tworzyć bohaterów żywoty [2]).

---

[1]) Przeciwnik Lamprechta Seignobos w «Introduction aux études historiques p. Langlois et S.», 1898, s. 213 zaznacza przeciwnie, że działają tylko jednostki, a instytucye — to metafory, abstrakcye myśli ludzkiej. Jak wiadomo, Comte i niezależnie od niego Wundt doszli do przeciwnego przekonania, że właśnie pojedyńczy człowiek — to tylko abstrakcya.

[2]) W tej sprawie «heroizmu» w historyi pośpiesza z pomocą Lamprechtowi sojusznik jego *Barth*, dorzucając kilka ciekawych uwag w książce: «*D. Philosophie d. Geschichte als Sociologie*», Lipsk, 1897, I, 217. Między innemi zaznacza, że sama praktyka dziejopisarska uznawała już dawno instynktownie, że przeciętna jednostka nie jest godną studyum historycznego, ale tylko taka, która była typowym przewodnikiem mas. Sam fakt, że istnieją tylko życiorysy «wielkich» ludzi, dowodzi, że «historyczne» ruchy i stosunki to są ruchy i stosunki mas. Skądże pochodzi ich

Zresztą «wielki» człowiek, heros — jest obdarzony nie jakąś mistyczną łaską, ale tylko bystrem zrozumieniem i odczuciem dyapazonu współczesnej mu epoki, jakoteż wyposażony odpowiednią ku temu siłą, aby to zrozumienie przelać w czyn. Masy, na które wpływa bohater, nie są bierną maszyną, którą można dowolnie kierować. Wielki człowiek musi przekonywać potężniejszych członków gromady. Jeśli gorący mowca chwilowo porwie za sobą małe gromady (parlament), to dlatego, że w ich łonie tleją podobne porywy, że zresztą te masy chłoną w siebie te aspiracye mówcy, przetwarzając je na swój sposób tak, że zawsze dążność masy będzie aktem twórczym nie tylko bohatera, ale i samego tłumu.

Zdaniem Lamprechta sami wielcy ludzie, bohaterzy dziejów, na podstawie własnego doświad-

---

«wielkość», jak nie z uznania u gromady? Najgenialniejsza jednostka — jeśli zginie, izolowana, bez wpływu na gromady ludzkie, nie należy do historyi. Należeć będzie do niej chyba dopiero wtedy, kiedy pamięć o niej w jakikolwiek sposób przedrze się do mas, i wydobędzie ją na wierzch jakiś masowy renesans... Wspomniana książka Bartha (I tom) podaje streszczenia najrozmaitszych systemów historyozoficznych i socyologicznych. Historyozofia a socyologia to dla niego jedno. Na podział systemów nie zawsze można się zgodzić. Nie zawsze poddaje je krytyce. Najlepsze ustępy o Comte'ie i Spencerze. Zresztą książka informująca o samej teoryi Lamprechta wyraża przekonanie, że «ma tyle w sobie siły przekonywującej («die Kraft der Wahrheit»), że jego przeciwnicy ledwo są w stanie jeszcze się bronić, w nas zaś budzi się ku niej mimowolna skłonność...»

czenia najlepiej mogą o tem rozstrzygnąć, czy sami byliby w stanie dowolnie zmienić psychiczne kollektywne potęgi współczesnej im doby, czy nie. Lamprecht zebrał całą wiązankę poglądów na tę sprawę wielkich ludzi. Aż do znudzenia powtarza prawie co w drugim artykule zgodne z jego teoryą zdania świeżo upieczonego «boga» germańskiego — Bismarcka, a potem rzuca garść pytań w rodzaju następnych:

«Czy Karol Wielki w swych czasach gospodarstwa naturalnego byłby w stanie stworzyć... bank krajowy? czy mógłby Bismarck zmusić swe społeczeństwo do powrotu do gospodarstwa naturalnego? Czy mógłby malarz z czasów Fryderyka Rudobrodego malować tak jak Rembrandt? Czy może być dramaturgiem poeta, żyjący w dobie, kiedy wszyscy odczuwają pierwotnie — epicznie?...»

Rezultat tego szeregu pytajników: nawet najpotężniejsza jednostka jest wciągnięta w wir fundamentalnych podstaw kultury, w której żyje, a cóż dopiero mała i słaba. To zdanie uważa Lamprecht za podwalinę nowego dziejopisarstwa.

* * *

Dwie są tendencye śród historyków.

W obliczu rozszalałego morza dziejów, co przez tyle wieków niezmordowane kłębi się i przewala,

jedni z zachwytem śledzą na niem każdy spieniony bałwan i choć wiedzą, a może właśnie dlatego, że wiedzą, iż każdy z nich tylko raz się wzniesie i w tejże chwili na zawsze zaniknie, pragnęliby wszystkie najdrobniejsze zakręty każdej z tych fal, wszystkie cudne linie każdego z bałwanów, wszystkie gry barw i światła każdego z malstromów uchwycić i potomnym na wieki przekazać. Drudzy gardzą temi igraszkami morza i, przymrużywszy oczy na wszystkie te przemijające powaby, obliczają porównawczo owe wielkie ruchy i prawidłowe wahania morskich bezmiarów, odpływy i przypływy oceanów, ich regularne prądy i golfy, zadumani nad ich powodem...

Te dwie tendencye zwarły się właśnie w polemice o teoryę Lamprechta. Na czoło obrońców pierwszego kierunku wysunął się Rachfahl. Gdzież mają się ukryć, w co się rozpłynąć — pyta Rachfahl — owe olbrzymy ducha i czynu, owi wielcy inicyatorzy czy w dziedzinie polityki, czy gospodarstwa, czy obyczajowości, owi reformatorzy, których nie brak nigdy nawet na najniższych szczeblach rozwoju? Wszak owe przełomowe, choćby najpierwotniejsze wynalazki, jak rozniecania ognia, lepienia garnków, wyrabiania łuków, nie są dziełem grup społecznych, ale jednostek... Prądy dziejowe nie są wywoływane przez masy, tylko przez jednostki, prądy te zaś działają na jednostki nie zawsze w sposób równomierny, ale zawsze zależ-

nie od usposobienia indywidualnego, na które wpływają. Prawda, że w większej gromadzie dane uczucie wzmaga się i potężnieje więcej, aniżeli zamknięte u jednej osoby, ale nie zawsze musi ono wezbrać u wszystkich członków zbiorowiska (np. patryotyzm może nie objąć ludzi o usposobieniu kosmopolitycznem). Przedewszystkiem jednak razi Rachfahla zdanie Lamprechta, jakoby działanie mas opierało się na przyczynowości, działanie zaś jednostek na celowości. Owszem, są i postępowania gromad, — całych narodów, zmierzające ku pewnemu celowi przez wieki.

Ależ — odpowiada Lamprecht — sam Rachfahl przyznaje, że te gromadne cele są nieświadome pojedyńczym jednostkom, więc w takim razie są konieczne — więc nie są celami, ale przyczynami...

Są przyczynami — odpowiada Rachfahl — ale nie działającemi z koniecznością nieubłaganą, — nie tak, aby zawsze tylko ten, a nie inny skutek wywoływały. Zawsze są one tylko zbiorem celów. Tak prąd pobożności i głębokiej wiary, znamionujący czasy średniowieczne, niewątpliwie wpływał przyczynowo na rozwój gospodarczy. Kiedy jednak chłop frankoński przekazywał swe grunta klasztorowi w tym celu, aby zarobić na niebo, to tutaj tkwi tylko cel, tylko motyw, a w takim razie mieć tu będzie zawsze szerokie pole pewna

dowolność indywidualna, tak, że zawsze nie będzie wiadomo zgóry, czy ta, czy owa pobudka zawładnie duszą jednostki. Zazwyczaj o motywach działaczy mało wiemy, ale, gdybyśmy nawet mogli przeniknąć ich pobudki i widzieć je, jak na dłoni, to jeszcze nic nas nie może upoważnić do przeświadczenia, że ten, a nie inny motyw musiał wziąć górę i pchnąć jednostkę do czynu. «Znamy pobudki, które skłoniły Cezara, aby przeszedł przez Rubikon, ale czy stąd zaraz wyniknąć ma twierdzenie, że Cezar musiał przejść przez Rubikon? Zupełnie dobrze możemy sobie wyobrazić, że Cezar zawrócił się z nad Rubikonu. Tymczasem nie sposób wyobrazić sobie kuli, któraby nie musiała się stoczyć po równi pochyłej... i oto właśnie różnica między przyczynowością przyrodoznawczą a historyczną, z której pojęcie konieczności trzeba wykluczyć».

W odpowiedzi Lamprecht, napomknąwszy, że i w przyrodoznawstwie spotkać się można ze zboczeniem od praw (praw, które zresztą buduje się tylko na podstawie typów i abstrakcyi) — protestuje przeciw usiłowaniom Rachfahla, aby całą historyę tłómaczyć tylko na podstawie motywów indywidualnych, przejściowych. Byłoby to bowiem to samo, co poprzestawać na przestarzałych regułach pragmatyki historycznej. Wszystkie objawy gromadno-psychiczne wytłómaczyć się dadzą przyczynowo — to dla Lamprechta oczywiście jest tak

jasne, jak słońce. Tylko co do indywiduum napadają go pewne wątpliwości. Wprawdzie godzi się na słowa Windelbanda, że o człowieku, któryby osiągnął najzupełniej ideał wewnętrznej wolności, moglibyśmy zgóry z zupełną pewnością przepowiedzieć, jakby zachował się wobec każdego wypadku; wprawdzie podnosi usiłowania modnych żywotopisarzów, którzy tłómaczą postępowanie swych bohaterów wpływem czy to środowiska, czy spółczesnego nastroju, ale zastrzega się w końcu jednak wyraźnie, że do dzisiaj nie zdołała myśl ludzka rozplątać prawidłowej sieci nieskończonych, krzyżujących się w sercu jednostki motywów.

Stąd to racyonalne tłómaczenie można zastosować raczej tylko do szarej masy przeciętnych jednostek, a nie do ludzi wybitnych, genialnych, nieobliczalnych...

W ten sposób, według Lamprechta, snują się przez ciąg dziejów dwa różne szlaki zjawisk: jedne faktów dowolnie spełnianych — indywidualnych, drugie socyalno-psychicznych, z koniecznością na arenę dziejów występujących. Pierwsze są dziełem ...wybranej gastki ludzkości — drugie znamieniem ciemnej, szarej masy. Każdy z tych szlaków wymaga odmiennej metody badania.

Przeciw temu to jednostronnemu zabarwieniu tylko pewnych faktów, przeciw temu rozdarciu dziejów na dwa szeregi faktów posypały się na

Lamprechta najostrzejsze zarzuty. Najjaśniej sformułował je w rozprawie, jednej z najkrótszych, ale zato bodaj najlepszej ze wszystkich ocen teoryi Lamprechta, Hintze, który umiał jednak obok wykazania jej błędów uwydatnić w niej także z całą bezstronnością sporo stron dodatnich.

Hintze stanowczo zaprzecza, jakoby w rzeczywistości istniał podobny rozdział i przepaść między szeregami faktów. Lamprecht z podziału czysto subjektywnego wytworzył objektywny. Tymczasem niema zasadniczej różnicy między kompleksem psychicznych momentów a każdym momentem indywidualnym. Życie ludzkie to mieszanina w różnym stopniu indywidualnych i gromadnych motywów. Niemasz objawu natury czysto indywidualnej lub czysto masowej.

Hintze pod pewnym względem przekonał Lamprechta. Ten w odpowiedzi zgadza się, że istotnie życie ludzkie jest kombinacyą obu tych czynników, i zaznacza, że on przenigdy nie miał na myśli wyrzucać precz z dziejów jednostki. On tylko «in abstracto» — izolował jedne fakty od drugich, na co zresztą zawsze pozwalają reguły umiejętnego myślenia. W praktyce oczywiście niema tego rozszeregowania. Uznaje obie metody i indywidualistyczną, i kolektywistyczną za zupełnie równouprawnione i wzajemnie się uzupełniające, a nawet dla usunięcia nieporozumień zmienia odtąd

nazwę swej metody z kollektywistycznej na więcej wszechstronną... uniwersalistyczną [1]).

* * *

Indywiduum a masa — oto zatem dwa bieguny przedstawionej polemiki. Tu tkwiła oś całego sporu. Ubocznie jednak wplątała się tu i przyczepiła sprzeczka naukowa o stosunek historyi kultury do historyi politycznej.

Zachowanie się Lamprechta wobec tej kwestyi jest pełne niekonsekwencyi. Raz słyszymy od niego, że dziejopisarstwo dzisiejsze przeszło już nad tą sprawą do porządku dziennego, że «nowe» kierunki nie odnoszą się wcale wrogo względem państwowego pojmowania dziejów; przeciwnie uznaje za swój obowiązek na widok wtłaczania coraz nowych objawów życia kulturalnego w ramy dotychczasowej historyi przestrzec, że postęp historyografii nie polega na zdobywaniu nowych dla niej obszarów i terenów, tylko na pogłębianiu samej metody badania. Drugi raz jednak zupełnie naodwrót wykazuje, że tylko starej historyi politycznej

[1]) W związku z tem Lamprecht usuwa dawną terminologię na oznaczenie różnicy między «historyą osób» a «historyą stanów» («Personengeschichte» a «Geschichte der Zustände» lub mniej zgrabne «Lebenshaltungsgeschichte»), przyznając w polemice z Meineckem, że po prawdzie wszystka historya jest właściwie zawsze historyą osób (Hist. Zeit. Sybla, 1896, s. 258).

szczególnie odpowiada i z nią się wiąże indywidualistyczne pojmowanie dziejów, a nawet w rozmachu stwierdza, że nowem hasłem w starciu się nowych prądów historyograficznych ze starymi jest zawołanie: «państwo czy kultura...» [1]).

Na tę niezgodność u Lamprechta przeciwnicy jego nie zwrócili uwagi, ale zato zupełnie słusznie wytknęli mu błąd, popełniony przez owo identyfikowanie indywidualnych faktów z politycznymi, a koniecznych, masowych z kulturalnymi... Dość przytoczyć kilka pytań, misternie ułożonych przez Rachfahla, aby zrozumieć, gdzie słuszność.

«Czyż dla (politycznej) akcyi jakiegoś tam drobniutkiego dyplomaty w książęcym dworku (niemieckim) z XVIII-go wieku ma mieć uprawnienie antynomia między wolnością a koniecznością, a dla (kulturalnych) wielkich ducha czynów Michała Anioła albo Szekspira, Kanta, Goethego, Rankego — nie? Gdy konwent narodowy słał Ludwika XVIII-go na gilotynę, to miał działać na podstawie wolnej woli (bo politycznie), a gdy Rousseau pisał swój «Kontrakt społeczny», tj. to właśnie dzieło, które stało się kodeksem Robespierre'a i jego sojuszni-

---

[1]) «Alte u. neue...», str. 4, str. 19. «Was ist», str. 99, 144. «Individualität», str. 886. «Entwickelung», str. 28—29. «Zukunft» z 4 kwietnia 1896, 7 listopada 1896, 31 lipca 1897, 6 listopada 1897.

ków, to dziać się to miało (jako rzecz należąca do historyi kultury) pod naciskiem konieczności, i to tak nieubłaganej, że się jej autor nie mógłby oprzeć?...»

Do muru przyciśnięty profesor lipski godzi się na to, że trzeba dać w istocie spokój używaniu nazwy historyi indywidualistycznej w znaczeniu politycznej, przyznając, że i w politycznej historyi spotyka się oczywiście i socyalno-psychiczne objawy; mimo to jednak dodaje swoje «*e pur si muove*», nadmieniając, że historya polityczna, związana z pewnem tylko społeczeństwem czy narodem, dzieje się tylko raz, gdy rozwój kulturalny odnawia się i powtarza w każdem społeczeństwie według pewnych typowych stadyów, które nadają się więcej do naukowego traktowania.

Chociaż nieudane — zupełnie jednak zrozumiałe są dla nas porywy Lamprechta przeciw «jednostronności» politycznej historyografii, przeciw temu starszemu dziejopisarstwu, które zyskało sobie we Francyi przydomek «*l'histoire — bataille...*» Jeden z ich przedstawicieli Seignobos [1]), występując niedawno przeciw pomysłom Lamprechta, przytoczył na dowód ich błahości przykład z dziejów, który miał wykazać, jak drobny przypadek może stać się przyczyną niezmiernie ważnych, wprost epokowych zdarzeń. Taką iskierką, wzniecającą wielki pożar, był np. jeden tylko cios, zadany lancą z ręki hr.

[1]) Introduction aux études historiques p. Langlois et S.

Montgomery, ten cios był przyczyną śmierci Henryka II, ta śmierć przyczyną opanowania władzy przez Guizyuszów, to zaś przyczyną poruszenia protestantów, wojen religijnych... Myślałem, czytając to, że z kolei za tą grudką posypie się jeszcze większa lawina faktów, przygotowany byłem nawet na... wojnę chińską.

Wszystko to są oczywiście same tak zwane «noski» Kleopatry. Są one za... delikatne, aby na nich mógł śmiało Seignobos budować swoje granitowe twierdzenie, jakoby sama historya polityczna wypełniała i wyrażała w sobie całe... życie ludzkości. Przeciw tak przesadnym uogólnieniom — nic dziwnego, że zrywa się od czasu do czasu również jaskrawo wyrażony protest.

II.

Panie! jeżeli zamkniesz słuch narodu,
Napróżno człowiek swe głosy natęża:
Choćby miał siłę i odwagę męża,
Z niemiłowania umrze tak, jak z głodu...
J. Słowacki.

Myśleć to znaczy sądzić. Ja sądzę: «Ten a ten przedmiot — to jest kij». Przez to oświadczam, że między zjawiskami świata są przedmioty, które mają typowe znamiona kija i że właśnie ta rzecz, którą oto widzę, należy do tego pewnego sze-

regu zjawisk. Sądy więc polegają na porównaniu. Sądzić czy to na polu dociekań przyrodniczych, czy psychicznych — zawsze znaczy tyle, co szukać wspólnych cech śród przedmiotów, znaczy to wiązać jednorakie przedmioty w jedno pojęcie, znaczy to tworzyć t y p y...

Wszystko to są powszechnie znane oklepanki. Dodać tylko wypadnie, że prawdopodobnie dlatego tak postępujemy, gdyż w ten sposób łatwiej nam opanować myślą tyle różnorodnych objawów świata. Ten to sposób coraz to większej ekonomii i uproszczenia w myśleniu wzmaga się z dnia na dzień. Ażeby módz wchłonąć szybko sumy doświadczeń tylu pokoleń, tworzymy sobie coraz bardziej wyrafinowane i coraz to wyższe sądy. Zajmują się tem poszczególne gałęzie nauk, które są poprostu systemami sądów. Stąd nauki, czy przyrodnicze, czy «duchowe», nigdy nie zajmują się faktem indywidualnym, jednorazowym, lecz zawsze dążą do uogólnień, szukając objawów liczniejszych, zbiorowych.

To jest, zdaniem Lamprechta, zasadniczy punkt wyjścia wszelkiej nauki, przez dziejopisarstwo samo jednak pominięty. Ono uznawało zawsze i dotąd uznaje (jak dziś np. Bernheim), że właściwym przedmiotem badań historycznych są tylko jednorazowe, indywidualne, przejściowe, wyjątkowe zdarzenia. Uznawali to i nie historycy, odmawiając na tej właśnie podstawie historyi miana «nauki».

Czy słusznie? Czy analogia i porównawczość jest dozwolona tylko przyrodnikowi? Czy istotnie, jak «stylowo» wyraża się Below, okulary naturalisty są inne, a inne — historyka? Oto dwa liście, dwa kwiaty tego samego typu. Sąż one bezwzględnie równe? Nie, tylko podobne. A jednak przyrodnik ma prawo tworzyć dla nich na podstawie wspólnych im cech jeden typ. A oto znowu historyk ma przed sobą dwa ustroje analogiczne cechów, albo dwie wspólnoty domowe, albo dwa kościoły gotyckie. Czyż ma koniecznie za przykładem artysty przykuć swą uwagę tylko do indywidualności każdego z tych poszczególnych objawów? Czyż przeciwnie niema prawa iść za przykładem badaczów naukowych i zapomocą metody p o r ó w n a w c z e j, zapomocą umiejętnego myślenia, które nas uczy przecie *de lege ferenda* — tworzyć jakieś wspólne style, jakieś typy?

Powiadają, że dzieje powszechne to jedyny, jednorazowy, więc nie podlegający żadnym prawidłom proces; ależ w tym sensie można uważać tak samo i rozwój przyrody i wszechświata za jednorazowy, a przecież wypisano dla nich niezłomne prawa.

W dziejach ludzkości wolno dopatrywać się praw, zdaniem Lamprechta. Pod tym względem nie różnią się od niego tak poważni badacze historyczni, jak w Niemczech Ed. Meyer albo we Francyi Monod. Lamprecht nie omieszkał nawet

przytem przestrzec, że owa prawidłowość rozwoju nie jest niczem przedmiotowem, ale tylko kategoryą naszego myślenia i pojmowania zjawisk.

Owe pojęcia i uogólnienia, polegające na porównaniu cech analogicznych, muszą, jak w każdej nauce, tak samo i w dziejopisarstwie tworzyć pewną hierarchię. Weźmy dwa odpowiadające sobie pojęcia: gospodarstwo naturalne i odpowiadające mu, jak wiadomo pojęcia feudalizmu, a więc pojęcia z dwu sfer różnych, gospodarczej i prawno-społecznej. Otóż dla nich da się utworzyć wyższe, wiążące je pojęcie rozwoju gospodarczo-społecznego — w odróżnieniu od innego pojęcia rozwoju duchowego, takiego np., jak humanizm i t. p. W końcu nad temi pojęciami dwu stron życia ludzkości da się zawiesić jeszcze wyższe pojęcie, obejmujące czynniki tak duchowne, jak i «materyalne», ogólne pojęcie kultury (cywilizacyi [1]).

Kultura to stan psychiczny pewnego okresu,

---

[1]) Dotąd terminologia wyrazu «kultura» a «cywilizacya» u nas nie ustalona. Świadczyć o tem mogą definicye tych pojęć przez najpowołańszych w Warszawie pod tym względem uczonych: Korzona, Krzywickiego, Mahrburga (porów. Poradnik dla samouków, Część III. 1889, str. 201—2, 295, 459—61, uw. str. 487). W terminologi niemieckiej Barth, zastanowiwszy się nad genezą tych słów, proponuje utożsamienie tych dwu wyrazów wraz z największem rozszerzeniem ich znaczenia na wszystkie czasy i objawy.

dyapazon duchowy pewnej epoki, to najwyższe pojęcie, korona całego życia dziejowego. Historya kultury to nauka, która porównawczo bada prądy socyalno-psychiczne, a właściwie: epoki.

Nie tą drogą logicznego rozumowania doszedł wszakże początkowo Lamprecht do «wynalezienia» swoich «stadyów» kultury, do których przywiązuje takie znaczenie. Nie doszedł do nich także drogą badania dawnych systemów i prób szablonowych, rozpoczętych przez Condorceta. Doszedł do nich drogą, jak powiada, empiryczną, w czasie, kiedy jeszcze nie marzył o polemice historyozoficznej, w czasie, kiedy pracował nad pierwszymi tomami swoich «Dziejów Niemiec». Kiedy oto zajęty studyami nad dziejami kościoła w Niemczech badał źródła X-go wieku, zauważył w czasie systematycznego ich czytania różnicę między nastrojem ówczesnym a dzisiejszym. Rzucił się tedy do badania dziejów sztuki w tym samym wieku i spostrzegł tożsamość «dyapazonu» sztuki z «dyapazonem» literatury. Ażeby wymierzyć odległość i różnicę owych czasów od naszych, musiał przejrzeć szereg zmian, zaszłych w 8-iu następnych stuleciach. Aby nie budować na lodzie, postanowił pogłębić swe wiadomości studyami nad rozwojem gospodarstwa, a ich owocem były olbrzymie tomy pod tytułem «*Deutsches Wirtschaftsleben im Mittelalter*» (od 1886). Pracował następnie nad

historyą francuską[1]) i włoską, przyczem ogromne na nim wrażenie wywarła «Kultura Odrodzenia we Włoszech» Burckhardta. Spotkał tam poglądy na jedną epokę dziejów, bardzo zbliżonych do własnych. Odtąd za najważniejsze swe zadanie uważał pogłębienie znajomości historyi sztuki, z uwagi, że ona jedyna przekazuje nam w pomnikach obraz przeszłości w całej nagości, bezpośrednio i doskonale. Jako owoc badań tych, wyszła w roku 1882 Ornamentyka inicyałów w VIII i XIII wieku». W następnych swych pracach nad sztuką literaturą, religijnością, nad obyczajami i prawem przekonał się, że podwaliny ich rozwoju są w pewnej epoce wspólne. Ogólnie przyjęta nazwa dla XVI wieku, jako okresu indywidualistycznego, to dla Lamprechta punkt wytyczny w jego teoryi o okresach kulturalnych; do tej epoki przyczepia następnie z przodu i z tyłu inne okresy kultury: symbolistyczny, typowy, konwencyonalny, indywidualistyczny i wreszcie subjektywistyczny.

Różne objawy życia ludzkości czy to na polu sztuki, czy gospodarstwa są z sobą w tak ścisłym związku, że każdy okres przedstawia pewną zwartą całość. W ten sposób urósł wzór rozwoju kultury niemieckiej, której oto próbka:

---

[1]) Studyum Lamprechta o rozwoju gospodarstwa we Francyi w IX wieku tłómaczono na język francuski.

Ogólna nazwa epoki	Współczesne znamiona w sztuce	Współczesne znamiona gospodarstwa		i t. d.
Symbolistyczny	Ornamentacya	Ekspansywne		. . .
Typowy	Naturalne barwy	Wspólnota domowa	Gospodarstwo naturalne	. . .
Konwencyonalny	Pełne kontury	Wielka własność		. . .
Indywidualistyczny	Zupełne opanowanie z wyjątkiem:	Cechy, gildye, korporacye	Gospodarstwo pieniężne	. . .
Subjektywistyczny	Światła i krajobrazów	Indywidualizacya		. . .

* * *

Oto «odkrycie» w historyi — odkrycie stadyów kultury. Krytyka uważa je za najsłabszą stronę teoryi Lamprechta, on sam jednak przypisuje im ogromne znaczenie i przyznaje im niemal wartość niewzruszalnych praw statystycznych.

Tego rodzaju podział (ułożony na podstawie tylko fragmentu dziejów, bo historyi jednego narodu niemieckiego) da się, zdaniem Lamprechta,

mutatis mutandis zastosować i nagiąć do dziejów każdego «normalnie rozwijającego» się narodu czy to w najodleglejszej starożytności, czy w nowszych czasach, a szereg i następstwo tych okresów jest tak ścisłe i stałe, jak fazy rozwoju u roślin lub zwierząt...

Ten w podstawie swej niewzruszony wzór będzie można drogą badań porównawczych coraz uzupełniać w szczegółach, ustalać i rozszerzyć na narody całej kuli ziemskiej...

Niestety okresy te zastosowane w «Dziejach Niemiec» Lamprechta, pod probierzem krytyki nie bardzo wytrzymywały[1]), i dotąd niewiadomo, czy dla jednego nawet narodu mogą mieć znaczenie. Skąd zaś dopieroż owa pewność, że w danym narodzie jedne objawy życia mają zawsze postępować ramię w ramię z innymi? Dlaczego wszystkie mają koniecznie sobie odpowiadać? Czyż społeczeństwo nie może bardziej rozwinąć się w jednym kierunku, a zostać w tyle w drugim? Cóż zaś przemawia za tem, że podział okresów w jednym narodzie odpowiada podziałowi w drugim narodzie, albo nawet wogóle w dziejach powszechnych? Lamprecht nie zwraca uwagi na to, że pewne recepcye kultury czyli, jak je zwie «endosmosy» i «egzosmosy», wobec nierównie szybko rozchodzących się fal naśladownictwa, renesansów i t. p. zachodzą śród różnych na-

[1]) Rachfahl. Ueber die Theorie, s. 687.

rodów nie w jednej i tej samej chwili, że co więcej czasem nawet zupełnie się nie przyjmują... czasem «przedwcześnie» pobudzają dane społeczeństwo, czasem znowu u niektórych narodów idących «na ogonie» cywilizacyi, jeśli

... duch przyjdzie, to już stary
Przez wszystkie wieki i przez wszystkie wiary
Jak żóraw ciężki i smętny wędrował...

I tak recepcya jednych objawów, np. romantyzmu może być łatwiejszą i szybszą śród jakiegoś społeczeństwa, aniżeli recepcya innych prądów (np. gospodarczych), tak, że jedne mogą być przejęte w jednym «okresie», a inne dopiero w następnym, a przez to typ i całokształt okresów w jednem zbiorowisku będzie inny, jak w drugiem.

Tu nasuwa się jeszcze jedna uwaga. Poprzedni zarys epok kulturalnych Lamprechta jest w ścisłej łączności z jego przekonaniem, że rozwój kultury odbywa się przedewszystkiem w ramach narodu. Nie tyle państwo, ile naród jest właściwym aktorem dziejów, wyrażającym całokształt wszystkich stron życia gromadnego. Pewna zgodność i równoczesność rozwoju i przemian w narodzie, ów już przez Comte'a ogólnie zauważony *consensus*, jest dowodem istnienia czegoś wspólnego w narodzie, pewnej jedności, pewnej duszy «zbiorowej».

Ta właśnie «dusza zbiorowa» Lamprechta ściągnęła na siebie szereg zarzutów, przed którymi trzeba go wziąć w obronę. Ta «psyche narodu«

nie jest bowiem w pojęciu Lamprechta — co mu niesłusznie wytykano — jakąś odrębną wielką jaźnią, jakiemś «mistyczno-romantycznem» widmem, unoszącem się nad społeczeństwem. Wbrew posądzeniom nie mogę dopatrzeć się w lamprechtowskiej *Volksseele* znamienia nadpływających ponownie z powrotną falą *Weltgeist'ów*, nie mówiąc już o jakichś zakusach tworzenia nowej... mitologii, nowych «geniuszów» narodowych, zamiast dawnych «opatrzności» i bogów...

Lamprechtowska «Volksseele» to poprostu poczucie narodowe w jego poszczególnych etapach rozwoju, to świadomość narodowa, tak mało mająca wspólnego z personifikacyjnymi pomysłami, że zasadniczo nie różni się w niczem od świadomości narodowej, świeżo przedstawionej przez Fouillego, któremu chyba jednak nikt tego rodzaju zarzutów postawić się nie ośmieli [1]).

Zapatrzony jednak zbytnio w świadomości i indywidualizmy poszczególnych narodów Lamprecht przesadnie wszystkie zjawiska dziejowe kładzie na wagę ruchów narodów, nie dostrzegając, że są przecież objawy kulturalne, które się wymykają poza ramy samego narodowego życia. Równie

[1]) La science sociale 195—242. Mimochodem pozwolę sobie wskazać na bardzo piękną rozprawkę p. Abramowskiego (w «Ateneum» 1896. 4), w której autor jednak doszedł do zaprzeczenia bytu świadomości narodowej. (Przeciw temu w «Przeglądzie filozoficznym» J. K. Potocki).

stanowczo można twierdzić, że recepcye uniwersalne wprost tak do gruntu przekształcają typowy rozwój narodu, że nie naród, ale one to przedewszystkiem stają się osią dziejów powszechnych. Nie zbija tego gołosłowne twierdzenie Lamprechta, «że tylko zdrowy (!) naród recypuje, gdy jest już po temu dojrzały!» Równie słusznem może wydać się przypuszczenie, że główną rolę w dziejach odgrywają nie pojedyńcze narody, ale raczej pewne jednolite rodziny narodów, pewne konglomeraty społeczeństw o pewnej wspólnej kulturze jak np. śródziemnomorskiej, średniowiecznej i tym podobnych cywilizacyi, które wytwarzają wspólne międzynarodowe objawy takie, jak religia, kościół, «imperium rzymskie» — objawy, sięgające daleko poza obręb pojęcia narodowości...[1]).

Mimo to wszystko trzeba uznać w usiłowaniach Lamprechta jedno. Oto do dziejów kultury, które niejednokrotnie dotąd przedstawiały skład najrozmaitszych w «poetycznym nieładzie» porzucanych, żadną nicią przewodnią z sobą niezwiązanych antykwarycznych rupieci i drobiazgów, chce on wprowadzić pewien ład. Do dziejów kultury, w których jedna gałąź np. rozwoju piśmiennictwa rozpadała się na okresy według dat, dajmy na to, śmierci pewnego osobnika lub daty ukazania się

[1]) Nie mogę się zgodzić na zdanie Lamprechta, że religia pochodzi ze zmian świadomości narodowej. Alte u. neue., str. 69.

pewnego dzieła i t. p., a druga gałąź życia narodowego dzieliła się na okresy na podstawie innych zupełnie kryterów — chce wprowadzić pewien ogólny wspólny szablon, który przynajmniej na pewien czas dla utrzymania pewnego porządku, dla podania oceny ważności zjawisk dziejowych — może przynieść pewną korzyść. Dziś, gdy duch ludzki porywa się, aby objąć jednym rzutem oka cały zasób życia w najrozmaitszych jego przejawach, schemat Lamprechta może poddać tym porywom o wielkim rozmachu skrzydeł podkład naukowy i miernik, co prawda bardzo jeszcze chwiejny.

W stadyach kultury Lamprechta trzeba uznać jeszcze jedną stronę dodatnią. Nie uważa on swych epok za szereg jakichś nieruchomych obrazów. Chce być «ewolucyonistą» i powstaje przeciw tym, którzy układają jakąś kamienną mozajkę biernych «stanów» *(Zustände)*. On nie chce wiedzieć, «jak było», «ale jak się działo» (nie, *wie es war*, ale *wie es geworden*) i pod tem hasłem bezustannej przemienności staje w szeregu «darwinistów». Widzi przyczyny zjawisk dziejowych w nich samych. O to właśnie pojęcie «immanentności» przejawów dziejowych stacza walną rozprawę — z rankistami i... odnosi zwycięztwo.

* * *

Zarzuty, miotane na Lamprechta przez tych historyków (np. Seignobos), którzy dopatrują się

w jego «duszach narodu» jakichś mglistych, metafizycznych pojęć, brzmią tem dziwniej, że właśnie charakterystyczną dla samej teoryi Lamprechta jest jego dążność ku wyplenieniu raz na zawsze z historyi wszelkiego mistycyzmu historycznego. Znamienną pod tym względem jest mianowicie jego walka z rankistami i «ideami» starej szkoły.

Aby odczuć nastrój tej «starej szkoły», posłuchajmy, co pisze w r. 1886 Lorenz, jeden z pierwszych buntowników przeciw ówczesnemu wszechwładztwu «idei» w dziejopisarstwie: «Dziś władają wyłącznie w historyi idee. I tak, dzieli się pewien przeciąg czasu na okresy wedle panujących w nich idei, ideom każe się państwa dźwigać albo niszczyć. Idee zjawiają się w dziejach, jak chochliki, które tu trzymają króla za rękaw, tam popychają ministra na zgubne tory, indziej to raz pomagają wodzowi w jego wojennych działaniach, to znowu oślepiają go, jak duch Cezara pod Filippi...» [1]).

Najpierwszym teorykiem ówczesnej ideologii historycznej był *W. Humboldt*, który złożył jej kanon w dziełku «O zadaniu historyka» (1821), a najznakomitszym przedstawicielem praktycznego jej zastosowania w dziejopisarstwie był Ranke. Lamprecht, lubo żywi dlań wysoką cześć, zwąc go «jednym z największych mistrzów naszej nauki

[1]) «Geschichtswissenschaft», I. 268.

i sztuki», mimo to napada na jego ideologię z całą natarczywością.

Jak wiadomo Ranke nie zostawił nigdzie zwartego systemu swych poglądów. Lamprecht też krytykę swą opiera na podstawie tylko wyimków i luźnych uogólnień, często nawet z sobą sprzecznych, rozsypanych szczodrą dłonią po jego sławnych dziełach.

Według Rankego wszystkie fakty dziejowe powstają z idei duchowych; idee są czemś niezmiernie realnem; przez nie wszystko się dzieje; ludzie są niemi owładnięci; idee walczą z sobą lub sprzymierzają się; o ich pochodzeniu nic nie wiadomo; nie mają jakiejś jednej spójni; po za niemi — Bóg.

Idee te były koniecznem uzupełnieniem historyografii indywidualistycznej[1]). Jej wyznawcy bowiem, kusząc się o jakieś syntetyczne ujęcie rozstrzelonych postępków poszczególnych jednostek, wielkich bohaterów i t. d. — wyszukać dla nich musieli jakieś ogólniejsze bodźce. Znaleźli je w postaci tajemniczych, niezrozumiałych, «boskich» idei. Oczywiście, wodą na młyn tej ideologii była niemiecka filozofia «tożsamości», szczególnie Fich-

[1]) Przeciw indywidualistycznemu kierunkowi Rankistów miał Lamprecht sposobność wystąpić na zjeździe historyków w Innsbrucku, o czem szerzej G. Blondel w *Revue historique*, 1897, t. 65, str. 326—30. Por. Bericht über den 4 deutschen Historikertag, Leipzig, 1897, str. 38—46 (Hartmann v. Scala i t. p.).

tego, a nadto — zdaniem Lamprechta jakiś specyalnie niemiecko-protestancki mistycyzm, szczególnie wybujały u Rankego. Domysł swój popiera Lamprecht uwagą, że Ranke początkowo czuł w sobie, jak wiadomo, powołanie na... pastora.

Ten mistycyzm religijny Rankego najjaskrawiej ujawnił się w jego wyznaniu, że tylko idee są rzeczywistością, podczas gdy cały ten ziemski «realny» świat — to świat ułudy, *eine Welt des Scheins*. Stosunki gospodarcze — to nikłe... mgiełki.

Nigdzie wyraźniej nie wyłania się przepaść, dzieląca poglądy dzisiejszego nowszego pokolenia od dawnych, jak właśnie w tych ostatnich odgłosach filozofii tożsamości. Ranke nigdy nie stawiał stosunków «materyalnych» narówni z «duchownymi», i przeciwko temu właśnie wygłasza protest lipski historyk. Znamienne są pod tym względem jego słowa, wysłane pod adresem młodo-rankistów, którzy — co prawda, (od lat 70-ch) licząc się i uwzględniając warunki gospodarcze, — zaczęli jednak bronić i osłaniać przed jego atakami swego mistrza Rankego.

«Protestuję — powiada Lamprecht — nie raz ale tysiąc razy, przeciw hyperidealistycznemu zapatrywaniu, jakoby wyłącznie siły duchowe były potęgami twórczemi, a czynniki gospodarcze i społeczne przewijały się tylko, jako mniej ważne czynniki. Niema w tem krzty słuszności; warunki duchowe i «materyalne» mają jednakowe znaczenie,

są równorzędne, a nawet w dziedzinie prawnopublicznej społeczne i gospodarcze objawy dadzą się najczęściej łatwiej poznać; są one, co więcej potężniejsze...», są tem cenniejsze, że jako przedmiot badania, użyczają naszym studyom trwalszej podstawy.

Przedewszystkiem jedna cecha idei rankowskich pobudziła Lamprechta do ich bezlitośnej krytyki: ich t r a s c e n d e n t n o ś ć, ich pozaświatowość, ich nadnaturalność.

Rzecz znamienna, że tylko jeden ze starych wiarusów szkoły rankowskiej uparł się i niezachwianie przyznał do wiary w nadnaturalność idei, cały zaś chór reszty młodo-rankistów godzi się już na ich immanentność, starając się, oczywiście, na wszelki sposób wykazać, że i sam ich stary mistrz Ranke nigdy na seryo nie wierzył w ich pozaświatowość, że to tylko Lamprecht zabarwił zbyt jaskrawo jego przygodne wyrażenia i t. p.

Między innymi np. Rachfahl sądy Rankego o niemożności wytłómaczenia, skąd pochodzą rządzące w dziejach idee, usprawiedliwia tem, że ich geneza jest dla nas istotnie zawsze niezrozumiała. Genealogię takiej np. «idei» wszechwładztwa ludu skrystalizowanej w głowie Monteskiusza, można, badając jej rozwój, doprowadzić aż w głąb filozofii starożytnej, lecz w końcu dojdziemy do takiej pomroki dziejów, że pozbawieni źródeł historycznych załamujemy ręce i zrzekamy się dalszych badań

jej pochodzenia śród zbyt «pierwotnych» stanów ludzkości. Stąd głąb historyczna rozwoju każdego czynu ludzkiego ma w sobie coś niewyjaśnionego, bezdennego. Wszak sam Lamprecht nie udowodnił immanentności swych «dyapazonów» epoki, bo ostatnie uogólnienia co do ich najdawniejszych, najpierwotniejszych zarodków oparł tylko na przypuszczeniach psychologicznych, a nie na źródłach historycznych. Stateczniej — zdaniem Rachfahla — postąpił Ranke, który swe ogólne uwagi metafizyczne uważał za swe osobiste przekonanie, ubocznie tylko ozdabiając niemi karty swych dziejów, — stateczniej, aniżeli Lamprecht, który swym hypotezom przypisuje naukową, doświadczalną wartość...

Czyż zaraz na podstawie kilku frazesów — dorzuca Hintze — trzeba nazywać Rankego mistykiem? Wszak i Du Bois-Reymond rozpowiadał o zagadkach świata, a czyż dlatego mamy go uznawać za mistyka...?

Nie — odpowiada Lamprecht — bo Du Bois Reymond wykluczył swe zagadki z szeregu przedmiotów swych badań, kiedy Ranke przeciwnie złączył je i związał ze swemi opowiadaniami... Przedmiotem naszych badań powinny być tylko pozytywne fakty dziejowe. Ostateczną zaś przyczyną tych faktów nie są jakieś idee nadpowietrzne. Boć jeśli się przyznaje wpływ idei na działalność ludzką, to trzeba zgodzić się i na to, że one same podob-

nież wypływają i wykwitają na glebie dawnych czynów ludzkich. Inaczej idea stałaby się jakiemś widmem, unoszącem się nad ludzkością. Sama idea nie wystarczy na to nigdy, aby uderzyć w czynu stal. Wszak taka idea wszechmocy państwa kościelnego istniała już od czasów św. Augustyna, a jednak dopiero po tylu, tylu latach mogła stać się ciałem. Zabłysnąć może idea nieraz, ale to nie dowodzi jeszcze jej panowania w tym — jak chce Ranke «świecie ułudy» [1]). Wprawdzie w tym świecie «ułudy» przyczyna bytu zawsze będzie okryta zasłoną przed naszemi oczyma, ale z dziedziny badań historycznych musimy raz na zawsze wykluczyć wszelkie c u d a ... [2]).

---

[1]) Myśl tę wypowiedział już swego czasu Lelewel: «Wczesno rzucaną bywała wielka myśl, wielka zasada, a wieki upływały, nim do jakiej takiej rzeczywistości przychodziło. A to wszystko nie dlatego, aby nie było ludzi, coby tych teoryi do rzeczywistości nie mieli ochoty popchnąć, ale że nie było masy, o swoje upominającej się...»

[2]) Zapał, z jakim Lamprecht walczył przeciw nadnaturalności idei Rankego, podsunął jego przeciwnikom podejrzenie, że kierunki socyologiczne, dalej idące nie przebrzmiały bez wpływu na światopogląd Lamprechta, że jego historyozofia jest w gruncie rzeczy «materyalistycznem pojmowaniem dziejów». Co prawda, o tożsamość z marksyzmem nikt nigdy go wyraźnie nie pomawiał. Wytykano mu tylko ogólnikowo jednostronność, z jaką tłómaczy zjednoczenie państwa niemieckiego — na podstawie pewnych gospodarczych, w łonie niemieckiego społeczeństwa zaszłych przeobrażeń. Zdaniem ich tedy, Lamprecht popada «w ma-

Nie był to jeszcze «Amen» polemiki. Rankiści uknuli bowiem spisek, grożący ruiną wszystkim

---

teryalizm» dziejowy, a wogóle jest prawdziwym synem pozytywizmu, «który ostatecznie w swej ostatniej podstawie nie jest niczem innem, tylko osłoniętym materyalizmem» i t. p. Gdzie właściwe źródło tych pomawiań? Sam Lamprecht tak je tłómaczy. Kiedy zawiały nowe kierunki w historyozofii niemieckiej, nawet najmniejszy w Izraelu musiał zauważyć tę bijącą w oczy cechę charakterystyczną młodych historyków, że rzucali się głównie do opracowania stosunków gospodarczych. Sam Lamprecht wydał olbrzymie dzieło o historyi gospodarstwa w Niemczech. Pociągały ich zaś te strony dziejów dlatego, że wszystkie nowe prądy rzucają się najpierw na łatwiejsze do strawienia przedmioty, a takimi były stosunki gospodarcze. Przypomina to prądy impresyonistyczne w malarstwie, które zaczęły od malowania najpierw kapusty, sałaty i t. p.... Tymczasem starzy historycy, zauważywszy analogię z marksistami, zajętymi badaniem stosunków produkcyjnych — chórem okrzyknęli nowych historyków (podobnie jak dawniej marksistów) «materyalistami», niby dlatego, że stosunkom gospodarczym nadano miano «materyalnych», lubo, — jak wiadomo — «każda działalność gospodarcza jest psychologicznie tak samo uwarunkowana, jak każda tak zwana czynność «duchowa», a każda suma zdobyczy gospodarczych jest tak samo objawem aktów psychicznych, jak jakikolwiek poemat, książka prawnicza, instytucya państwowa...». Zasługą Hintzego jest wskazanie, że właśnie Lamprecht przez to subjektywno-psychologiczne traktowanie zjawisk różni się od dawnych marksistów wraz z ich dawną objektywną wszechpotęgą produkcyi. Wprawdzie marksiści przyznawali, że czynniki produkcyjne, aby wywołać skutek, muszą przejść przez «głowy ludzkie», ale to psychiczne medium, przez które przejść musiały, zdaniem dawnych marksistów, tak zawsze jednakowo na nie oddziaływało, było więc tak obojętne, że można go było nie brać w rachubę.

jego wynalazkom. Zaczęli Lamprechtowi przedstawiać, że jego «dyapazony» to tak po prawdzie niczem się nie różnią od ich «idei», jeśli się je tylko (na co oni teraz już się godzą) pojmie, jako immanentne.

Co? jego wynalazki — owe «dyapazony» — równe starym znienawidzonym ideom? Jego teoryę śmią przezywać «wznowioną, a sfałszowaną, edycyą teoryi rankowskiej...».

Z oburzeniem odparł Lamprecht podobne przypuszczenia, zaprzeczając stanowczo tożsamości swych dyapazonów z ideami, a co więcej, na podstawie zbadania prac dawnych «ideowców» wykazał nawet pewne przeciwieństwo tych pojęć. Wyszperał, że nazwy «idea» używali dawni historycy-ideowcy na oznaczenie objawów i instytucyi, które tylko r a z się zdarzyły, podczas gdy jego dyapazony znamionują ustawicznie się powtarzające

---

Lamprecht innego jest zdania, i dlatego główną rolę u niego odgrywa apercepcya psychologiczna, i, zamiast np. samych środków produkcyi, u niego występują na plan pierwszy psychiczne siły zbiorowe. Lamprecht zresztą wyraźnie się zastrzegł, że nigdy nie przystanie na «wyłączną» zależność czynników «duchowych» od «materyalnych». Sami marksiści uważali go początkowo za historyka, który z «burżuazyjnych» najwięcej zbliżył się do ich pojęć, lubo nie miał odwagi zerwać stanowczo z ideologią, wskutek czego został eklektykiem. W końcu całą tę «ciuciubabkę» przeciął sam Lamprecht, miotając potępienie na marksistów, których nazwał «socyalno-demokratycznymi ateuszami». (*Zukunft* z dnia 31 sierpnia, 201).

w dziejach, typowe zjawiska kultury. I tak, idee zawsze łączono z czemś konkretnem (np. idea jezuityzmu, idea papiestwa, idea państwa pruskiego), lecz nigdy nie mówiono: idea np. «gospodarstwa naturalnego». Idee były artystycznem ujęciem jednorazowych faktów dziejowych, jego dyapazony — naukowem, porównawczem pojęciem tylko dla objawów analogicznych. Tylko ten, kto widzi w dziejach same objawy jednorazowe, może posługiwać się szczęśliwie i nadal staremi «ideami...».

Dla jednorazowych objawów dziejowych Lamprecht pozwala zastosować nadal pojęcie «idei», lubo zamiast tego niecierpianego przez siebie terminu proponuje raczej inne słówko: «tendencya». Przestrzega przytem, że te jednorazowe «tendencye» trzeba zawsze ustawiać na tle jego dyapazonów i ich wpływów. Tak śród jednej «tendencyi» np. papiestwa trzeba uwzględniać zmiany, zachodzące bezustannie pod wpływem spółczesnych prądów dziejowych, bo inne przecież jest papiestwo z czasów średniowiecza, a inne z epoki odrodzenia. W ten sposób i te jednorazowe tendencye dają się wcielić w ogólny łańcuch przyczynowy kultury powszechnej, w ramy prawidłowych zmian i działań...

Rzecz jasna, że w ten sposób idee tracą dawny swój charakter transcendentny, pozaświatowy, ale przestają zarazem być głównymi motorami dziejów. Kiedy dawniej «ideami» zwano właściwie i lamprechtowskie tendencye, a czasem i jego dya-

pazony, a przytem i nadnaturalne siły, teraz rozpadają się one na trzy rzesze, z których ostatnie ulatują z dziedziny historyi, zdaje się, na bardzo długo, słysząc przy rozstaniu, jak sami ich dotąd wierni wielbiciele, rankiści wyprzysięgają się ich na zawsze...

* * *

Przed ostatecznem zakończeniem pozwolę sobie jeszcze na eksperyment, zabierając się do wypróbowania wartości «wynalazków» Lamprechta na nich samych, t. j. tłómacząc jego teoryę na tle «dyapazonu» spółczesnej nam doby i wyjaśniając jej genezę w świetle nurtujących Europę dzisiejszą prądów socyalno-psychicznych...

Niestety, na wstępie tego przedsięwzięcia spotykamy się, ku swemu zdziwieniu, z głosem protestu ze strony samego wynalazcy, który w żaden sposób nie chce dziecięcia swego ducha poddać podobnego rodzaju operacyi. Oświadcza, że historya jest nauką indukcyjną, niezależną od jakichś prądów spółczesnych, że szczególnie jego pojmowanie dziejów wolne jest od wpływu spółczesnego mu światopoglądu i teoryi innych nauk (np. biologii), że jego historya wolna jest «od porywów ikarowych, właściwych filozofii spekulatywnej...», on jest tylko... empirykiem...

Ten sam Lamprecht, który uznawał tak potężny wpływ sił socyalno-psychicznych, wyklucza

wyjątkowo ich działanie na siebie, traktując swą osobę zanadto indywidualistycznie, z czem... kolektywistycznemu pisarzowi nie jest zupełnie do twarzy...

Zresztą, nie potrzebujemy przytaczać wielu zasadniczych dowodów przeciw temu mniemaniu Lamprechta, — dowodów, które dawno już wyłuszczył Simmel, rozwodząc się nad wpływem współczesnej metafizyki na poglądy historyczne[1]), — gdyż Lamprecht sam, o to zaczepiany, w końcu wbrew poprzednim swym wywodom uznał, że «niema historyozofii bez światopoglądu», co więcej, nawet z radością dopatrzył się w swej historyi znamion, odzwierciedlających najnowsze prądy, i na tej podstawie przepowiedział jej zwycięstwo, «bo pod znakiem czasu kroczy, a nie przeciw niemu...».

Nie potrzeba też długo szperać, aby na pierwszy rzut oka odczuć w teoryi Lamprechta wpływ nauk przyrodniczych, które tak wzbiły się wysoko w przeszłych lat dziesiątkach — czy to w analogiach, często przez Lamprechta czerpanych z dziedziny biologii (w porównaniach narodu do... komórki), czy też w klasyfikacyi nauk historycznych na podobieństwo nauk przyrodniczych... Podobnież niemylne będzie przypuszczenie, że jego teorye kolektywistyczne są w części odblaskiem nie-

[1]) Simmel. Die Probleme der Geschichtsphilosophie, r. 1892, s. 82—86.

dawnych prądów i teoryi — zacząwszy od darwinizmu, który przeniósł uwagę ogólną z indywiduum na gatunki, a skończywszy na statystyce, która przyzwyczaiła oko nasze do ilościowej oceny wszystkich faktów spotykanych, — że już nie będę mówił o rozkwicie nowych gałęzi wiedzy — socyologii, etnologii, psychologii mas i t. d., które już bezpośrednio i widocznie wywierają wpływ na teoryę Lamprechta. Ton ogólny, który najwyraźniej przebija się w jego historyozofii, to pozytywizm. Mniejsza o jego «epoki kulturalne», które mają być główną nowością u Lamprechta, a których genezy szukać trzeba w klasyfikacyi Comte'a (jeżeli nie Condorceta). Mówię tu o światopoglądzie pozytywistycznym, o agnostycyzmie, który w nauce dziś wszechwładnie panuje...

Zresztą wszelkie prądy — i mniej z nauką bezpośrednio związane — znajdują oddźwięk większy lub mniejszy w teoryi Lamprechta. Dziś, kiedy ruchy narodowościowe wstrząsają i budzą najdrobniejsze odłamy ludków, kiedy podniecają Niemców do barbarzyńskich wybuchów hakatyzmu — co za dziw, że historyozofia profesora lipskiego uważa naród za najważniejszy przedmiot historyi ludzkości i równocześnie każe mu w «Dziejach» rozpowiadać o Wszech-Niemczech, sięgających daleko — jak mówi — poza «czarno-biało-czerwone słupy graniczne» (włącznie z Holandyą i Szwajcaryą...).

A w końcu — co najważniejszą jest cechą

w historyozofii lamprechtowskiej — cóż dziwnego, że w czasach demokratyzacyi, coraz większych głębin społecznych sięgającej, przy coraz potężniejszem, wprost w oczy bijącem rozszerzaniu się więzi społecznej i coraz wybitniejszem występowaniu szarych tłumów miejskich na arenę, w obliczu rosnących w oczach stolic europejskich, cóż dziwnego, — pytam — że w tych czasach, kiedy myśl ludzka krąży, zastanawia się nad tymi tłumami i pod wrażeniem ich potęgi tworzy uogólnienia, że — obok powieściopisarzów tych bezimiennych m a s wyrastają i ich historycy, którzy posługują się już inną miarą wartości przy wyróżnianiu faktów dziejowych — inną od miary dziejopisarzów z czasów dawnych, kiedy «bohaterowie» trzęśli całym światem i jego dziejami. Historyozofia dzisiejsza jest wyrazem pragnień stugłowych tłumów, wyrazem atmosfery, która dziś wytwarza obok tego jednego systemu cały rój prób nowych teoryi, odpowiednich nowym czasom, (że przypomnimy np. nowego historyka francuskiego Lacombe'a, który główny czynnik rozwoju widzi w p o t r z e b a c h masy...).

Ta dzisiejsza gorączka demokratyzacyi wionie z niejednego ustępu Lamprechta. Czyż to tętno nowoczesne nie bije w takiem np., mniej naukowo zabarwionem, ale za to szczerem wyznaniu: «Stara historyozofia indywidualistyczna wyznacza niegodne, niechrześcijańskie stanowisko człowiekowi, który nie miał czy to talentu, czy szczęścia, by

umrzeć historyczną osobistością... Za bohaterów miała stara szkoła tylko wielkich ludzi, a właściwie nie tak ludzi, jak raczej jakichś bogów, zupełnie różnych od przeciętnych jednostek, które mozoliły się w pocie czoła na to, aby w końcu przepadnąć — bez śladu w dziejach... Te miliony pracowników dopiero nowsza teorya włącza w pochód dziejów, wyznaczając przynależne im miejsce. Te miliony dziś dopiero dziejowo powracają do życia...».

Pod gazą tych gorących wyrażeń kryją się nie tyle naukowe zasady, ile drgnienia serca, — przejętego nawskróś uczuciem wszech-demokratycznem, z coraz to większą rozlewnością dziś ludzkość obejmującem. To też w istocie swej tendencyi pragnienie Lamprechta niemieckiego nie różni się niczem od pełnych poetycznego rozmarzenia historyozoficznych perełek myśli, które w swym «Królu Duchu» rozsypał największy poeta historyi polskiej, Słowacki:

Któż ją ma? — czasem gdzieś w pastuszku siedzi
Ta myśl najczystsza, więc władnąca światem,
A nikt jej krokiem ziemskim nie wyprzedzi,
Choć owce ludem jej — a berło kwiatem...

III.

Lamprecht wysokie i szczytne zakreślił historyi cele. Kiedy woła, że historya nie powinna być

«służebnicą ani dyplomaty, ani polityka, ani pedagoga», trzeba mu tylko przyklasnąć. Chociaż mogą się tu nasunąć pewne zastrzeżenia, szczególnie u dziejopisarzów tych narodów, dla których życie polityczne zespolone jest z każdym prawie krokiem, z każdym niemal oddechem człowieka, to jednak każdy musi przyznać, że takie pojęcie nauki historycznej jest wysokie. Inna rzecz, czy te usiłowania Lamprechta, aby dziejopisarstwu nadać piętno niezawisłej nauki — zupełnie udało się mu w czyn wcielić w jego «Historyi Niemiec». Czy, przeciwnie, nie zostało ono jeszcze marzeniem, ideałem uczonych, słowem — próbą, godną wielkiego uznania, ale dotąd nieudaną?

Ogólnie «tak» lub «nie» odpowiedzieć na to nie można. Jedne zagadnienia Lamprechtowi udało się bardzo daleko posunąć naprzód i rozwinąć, innych nie. Niektóre zgrabnie wyłuszczył w teoryi, gorzej w praktyce.

Nie mogę znaleźć słów uznania, aby podnieść i podkreślić zasługi Lamprechta, które położył, używając metody porównawczej do dziejów kultury i jej typowych epok rozwoju. Lubo ani ich nazwy nie są trafne, ani nawet same ich podziały ścisłe i nienaruszalne, zawsze jednak pozostaną szacowną wskazówką na przyszłość, tak, że każdy, kto będzie szukał pewnych śladów prawidłowości i wogóle powtarzania się pewnych objawów w dziejach, będzie się musiał liczyć zawsze z jego teoryą

i zawsze zajrzeć do jego praktycznych wypracowań.

Prawda, w badaniach swych nad kulturą Niemiec Lamprecht zacieśnił swój kąt widzenia, ograniczył się do jednego tylko narodu i stąd pozbawił się szerszego, więcej uniwersalnego widnokręgu, który mógł mu podać do rąk więcej materyału porównawczego.

Wprawdzie ten zarzut Lamprecht z góry uprzedza, wskazując na to, że nauki przyrodnicze zyskały tylko na szerokości poglądów właśnie wskutek skupienia uwagi i ześrodkowania badań nad najmniejszemi drobinami, komórkami i t. p. Lecz czyż ta analogia koniecznie ma stać się drogowskazem dla innej gałęzi nauk? Przeciwnie, rozwój dziejopisarstwa samego ukazuje nam coraz znaczniejsze rozszerzanie horyzontu historyków: od historyi Grecyi przez rzymskie imperyum aż do pojęcia dziejów całego chrześcijaństwa rośnie coraz przestrzeń badana... Pod tym względem wyżej stał historyk dziejów politycznych świata romańsko-germańskiego, — Ranke. Dziś, kiedy historya współczesna rozlewa się szeroką falą poza dawne swe łożysko, gdy różne narody wyłamują bramy «murów chińskich», a do samej Europy zawionęły recepcye dalekich japońskich i różnych wschodnich motywów, — może dziś nie czas zasklepiać się w «komórkach narodów...»

Z drugiej jednak strony trzeba przyznać, że

Lamprecht, badając jedno społeczeństwo, rzucał przytem od czasu do czasu wzrok i na losy sąsiadów i zawsze dążył do wyników, któreby dały się zastosować i dla każdego narodu. Zgoda bowiem, że dzieje polityczne jakiegoś państwa europejskiego mało mogą interesować np. uczonego japońskiego, ale pewne odkrycia naukowe o prawidłowości rozwoju kulturalnego w danem społeczeństwie i użyta przy tem metoda badania będzie zawsze niezmiernie żywo wszystkich zajmować. Dzieje feudalizmu we Francyi interesować będą historyka feudalizmu japońskiego [1]).

Zastosowania praktyczne naogół jest gorsze od samego wyłożenia teoryi. W jego «Dziejach Niemiec» [2]) na uznanie zasługuje uwzględnienie najrozmaitszych przejawów kultury zamiast dotychczasowych przeważnie tylko dat politycznych; są w nich bardzo cenne przyczynki, są ogólne zarysy kultury, lecz poza tem raczej spotyka się tu tendencye w zwrotach i zdaniach urywkowych i nawiązanych tylko zewnętrznie do przedmiotu badanego, aniżeli sam owoc jakiegoś nowego sposobu badań. Są to raczej ozdoby dzieła, aniżeli z jednej bryły i w jednym duchu wykuty twór.

---

[1]) Istotnie rozgłos pojmowania dziejów Lamprechta sięgnął daleko. W pracowni historycznej K. Lamprechta kolegowałem z Japończykiem, dwoma Amerykanami, Holendrem i t. p.

[2]) Oczywiście pomijam drobnostkowe usterki w rodzaju np. pomieszania Bolesława Chrobrego ze Śmiałym...

Oto np. Lamprecht wysławia Karola Wielkiego, jako olbrzymie indywiduum, które cieniem swym zasłania wszystko dokoła siebie, aż nagle przy końcu przypomina sobie, że taki obraz człowieka-olbrzyma zakrawać może na historyę «osób», na historyę jednostek, nie licującą z jego kolektywistycznem *credo*. Więc przyszywa następujący frazes dodatkowy w celu zażegnania możliwych zarzutów, jakgdyby tego rodzaju zwrotem mógł istotnie zatrzeć poprzednie wrażenia:

«Ale nawet energia Karola Wielkiego nie mogła wytworzyć nagle nowej kultury germańsko-romańsko-chrześcijańskiej, bo, aczkolwiek jego dążenie wydaje się tak wspaniałem, jego siła tak nieograniczoną, jednak walczy on tu przeciw geniuszowi całych narodów. Mogą, co prawda, pewne duchy jakiś rozwój pchnąć naprzód o wieki całe albo też go zatrzymać; bezwątpienia w ich mocy leży dola i niedola tysięcy spółczesnych, mimo to jednak nie są w stanie własnemi siłami wytworzyć nowych epok wyższego typu. Losy narodów idą swą drogą według praw w ich łonie tkwiących; przeciw ich działaniu nie mogą nawet najwybitniejsi synowie narodu przeciwstawić swej wolnej woli, która tyle znaczy, co wolna wola przeciętnego człowieka w stosunku do swego małego otoczenia...»

Na usprawiedliwienie trzeba przyznać, że dopiero po napisaniu — lub w czasie pisania tych

«Dziejów» krystalizował się ostatecznie w głowie Lamprechta całokształt jego teoryi.

Jak wiadomo, traktowanie kolektywistyczne dziejów jest głównem znamieniem teoryi Lamprechta. Pod tym względem dorzucił on sporo nowych wyjaśnień i na podstawie dawnych już dorobków myśli ludzkiej utworzył pewien zwarty system. Wiele zagadnień wysnuł z większą dokładnością — wiele rozwikłał. Celuje go pewna jaskrawość wyrażenia, jak wogóle w każdej teoryi, torującej sobie dopiero drogę śród uznanych dawnych współzawodniczek.

Jakkolwiek się kto będzie zapatrywał na socyalno-psychiczne traktowanie dziejów, musi przyznać, że jest ono ważnym dorobkiem na polu nawet samej zwykłej metody historycznej. Jeżeli bowiem zważymy, że praktyka dziejopisarska zawsze dążyła do wykrycia «najprawdziwszych» pobudek i motywów, że zawsze chciała wyszperać najtajniejsze, najbardziej poufałe zwierzenia i źródła, to dziś w tym samym kierunku zdobyła sobie nowe drogi. Przekonała się, że indywidualna psychologia niewiele jej tłómaczy, że nigdy nie podpatrzy, co działo się w duszy działaczów, że śród ciągłej walki i powikłania różnych kaprysów świadomych i mniej świadomych, przy obłudzie i pokrywaniu właściwych zamiarów i całem wyrachowaniu ludzkiem; w żaden sposób nie można dotrzeć do «właściwych» pobudek działania. Dziś zatem historya

rzuca się w objęcia psychologii socyalnej i z jej pomocą zwraca uwagę na te motywy, które zazwyczaj zwyciężają, które prawidłowo i powszechnie są górą, te pobudki, które w masach zwyciężają... Nie myśli badać motywów «anormalnych» jednostek, robi przypuszczenie, że najprawdopodobniej w postępowaniu człowieczem zwycięża ten motyw, który zwycięża najczęściej w masach, w środowisku, w otoczeniu...

Rozpatrując jednak stosunek mas do jednostek, Lamprecht uwikłał się w sfinksową antinomię stosunku wolności do konieczności. Zapomniał przytem, że jednostka to nie *tabula rasa,* że nie daje się, jak wosk, bezgranicznie przerabiać i przetwarzać [1]), ale ma pewne pierwotne podkłady, polegające między innymi i na pochodzeniu «rasowem», na które Lamprecht prawie zupełnie nie zwrócił uwagi.

Niemała oczywiście zasługa Lamprechta polega na tem, że, idąc za przykładem innych nauk, także i z dziedziny naukowego dziejopisarstwa w sposób dobitny i stanowczy wydalił raz na zawsze (po zapamiętałych zapasach z rankistami) wszelką nadnaturalność przyczyn, ograniczając pole badań tylko do samych faktów historycznych.

Niejedną myśl już dawniej mimochodem poru-

---

[1]) Das Recht des Individuums, J. Volkelt. Zeitsch. f. Philosophie u. philosophische Kritik. 1897. November.

szono. Ale dopiero obecnie Lamprecht wystawił ją na czoło, w pełnej świadomości jej znaczenia i przeciwieństwa do komunałów dotychczasowych. Cóż z tego bowiem — weźmy dobitny przykład — że nawet taki Carlyle w swych «Bohaterach» podkreśla, że «Boska komedya» Dantego jest raczej dziełem dziesięciu wieków, niż jednego poety, i że jego szczytne i piękne myśli wypłynęły z rozmyślań chrześcijańskich wszystkich poczciwych ludzi, co przed nim żyli? Ale ten sam pisarz nie przywiązuje wagi do tego oświadczenia, bo zaraz wbrew temu wszystkiemu głosi bez ogródek, że historya jest właściwie «rozczynem biograficznym» i areną zapasów pojedynczych bohaterów. Kiełkowały myśli pojmowania dziejów socyalno psychicznych już dawno, świtały nieraz, ale w całej świadomości i uszeregowaniu wyszły w świat dopiero w ostatnich czasach. Zasługą jest Lamprechta, że je z stanowczem i pełnem umotywowaniem w pełnym szyku wyprowadził w świat.

Naogół system Lamprechta sprawia wrażenie, jakgdyby był echem wszystkich spółczesnych porywów myśli z pewną cechą raczej eklektyczną. Zapomocą ostrożnie zaokrąglonych zastrzeżeń chce je razem pogodzić. To nie jest jednolity wybuch o cechach karykaturalnie przesadnych takich Rousseau, Lorii i t. p., to jest wyłuszczenie — zapalonego do swojej teoryi — ale niemieckiego profesora.

Nakoniec dla dziejopisarstwa wystąpienie Lamprechta będzie miało jeden ważny rezultat. Dotąd przez cały wiek XIX socyologia i historya żyły w odosobnieniu. Pierwsza lekceważyła fakty i rozprawiała o rzeczach, których się nie dotykała, druga drwiła sobie z fantastów. Aż oto na samym schyłku XIX w. pierwszy «zawodowy» historyk, żmudny pracownik, zacząwszy od badań specyalnych-historycznych, czuje konieczną potrzebę przejścia do historyozofii i spotyka się nagle w jednym szeregu z socyologami. Krytyk Below nie może tego przełknąć, że ku zgorszeniu świata dotąd tak w świecie erudycyi poważany *ein deutscher Geschichtsprofessor* oddaje się igraszkom socyologów. Oburzono się na renegata, radzono, aby lepiej został przyrodnikiem albo... «redaktorem». Bezskutecznie. Sam ten fakt zaświadcza najlepiej, że dwie sfery myśli ludzkiej — socyologia i dziejopisarstwo dotąd — nienawidzące się wzajemnie i przepaścią rozdzielone, zaczynają się spływać, ręce sobie podawać. Odtąd i fachowi historycy, i socyologowie będą musieli bliżej się zejść i nigdy odtąd nie zapominać o słowach, wyrzeczonych gdzieś przez Giddings'a, że «historya bez oświetlenia dedukcyjnego to chaos, dedukcya zaś bez sprawdzenia, to niby światło, co nigdy nie przyświeca ni morzu, ni ziemi...» [1]).

[1]) Dla uzupełnienia już przytoczanej literatury, traktującej o poruszonych zagadnieniach, zaznaczam dodatkowo: *R. Breysig.*

Ueber Entwickelungsgeschichte (Deut. Zeit. f. Geschichtswissensch., 1896/97; Monatsblätter, 3, 161—174; 193—211). *P. Barth.* Fragen d. Geschichtswissensch. (Vierteljahrsch. f. wissensch. Philosophie, 23 (1899), 322—359; 24 (1900) 69—98). *W. Schuppe.* Das System der Wissensch. u. das des Seienden (Zeit. f. immanente Philosophie 3, 1898). *E. Bernheim.* Geschichtswiss. und Erkenntisstheorie (tamże 3, 1898), 255—87). *Flügel.* Idealismus u. Materialismus der Geschichte (Zeit. f. Philosohpie und Pädagogik 4, 161—5, 265). *H. Rickert.* Culturwissen. u. Naturwiss.. Freiburg, 1899. *W. Fryetag.* Ueber Rankes Geschichtsauffassung... (Archiv f. Philosohpie II, Archiv f. System Philosophie 6 (1900), 129—55; 310—40). W francuskiej historyografii wyraził wielkie uznanie dla teoryi Lamprechta Pirenne (Revue historique 1897, t. 64). Nie mogłem dostać do rąk amerykańskiej pracy: *E. F. Dov.* Features of the new history. Apropos of Lamprechts Deutsche Geschichte (Americal historical Reviev 3 (1897—98, 431—48) i belgijskiej: *L. Leclère:* La theorie historique de L. (Revue de l'Université de Bruxelles 4 (1894—99, 575—595), *Ch. de Smedt.* L'histoire est-elle une science? (Academie royale de Belgique Bulletin de la classe des lettres etc. 1899, 353—81).

Warszawa, styczeń 1901.

BIBLJOTEKA KORPUSU KADETÓW Nr. 2 W MODLINIE
41073

TREŚĆ.

str.

Żałobny hetman (szkic historyczny) 1
Pierwszy protektor Samozwańca (z nieznanych archiwaliów) 47
Rola jezuitów w dziejach Rzptej polskiej (kilka zastrzeżeń) 105
Upadek rodziny Starzechowskich (przyczynek do historyi egzekucyi dóbr) 185
Zapomniany bohater śląski 239
Z historyozofii niemieckiej (uwagi o pojmowaniu dziejów K. Lamprechta) 251

BIBLIOTEKA
ASG
NAUKOWA
17085

Chmielowski Piotr. A
literacki. W
2 tomy . .
W oprawie płóciennej . . . . . .
W oprawie w pół-skórek . . . . . .
— Obraz literatury polskiej w streszczeniac
niejszych wyjątkach. 3 tomy . . . . .
Oddzielne tomy . . . . . .
W oprawie płóciennej . . . . . .
W oprawie w pół-skórek . . . . . .
Dante A. Boska komedya w przekładzie Edw. I
cza t. I. Piekło . . . . . .
W oprawie . . . . . .
— Tom II. Czyściec . . . . . .
W oprawie . . . . . .
El...y. Pisma. Wydanie nowe, 5 tomów . . . .
W oprawie ozdobnej . . . . . 7.—
— Wybór pism. Wydanie miniaturowe z portretem autora . . . . . 1.—
W ozdobnej oprawie 1.80
Gostomski W. Historya literatury powszechnej w zarysie, 2 tomy . . . . . 5.—
W oprawie płóciennej . . . . . 6.—
Kaczkowski Zygmunt. Wybór pism w 10-ciu tomach, z przedmową Ig. Chrzanowskiego . . . . . 5 —
W oprawie . . . . . 7 —
Treść: Tom I. Mąż szalony. — Bitwa o chorążankę. Tom II. Junakowie. — Swaty na Rusi. — Kasztelanice Lubaczewscy. Tom III—IV. Murdelio. — Tradycye Sanockie. Tom V—VI. Gniazdo Nieczujów. — Starosta Hołobucki. Tom VII—VIII. Grób Nieczujów. Tom IX—X. Anuncyata.
Kochanowski Jan. Wybór pism. Z portretem poety według obrazu J. Matejki . . . . . 1.—
W ozdobnej oprawie 1.80
Konopnicka M. Dym. Nasza szkapa. Głupi Franek. Z ilustrac. Sawiczewskiego. (Biblioteczka ilustrowana) 1.—
W oprawie 1.40
— Fragmenty. Poezye . . . . . 1.—
W ozdobnej oprawie 1.40
— Ludzie i rzeczy. Szkice i obrazki . . . . . 2.—
— Hellenica. Poezye . . . . . 1.—
W ozdobnej oprawie 1.40
— Italia. Poezye . . . . . 1.—
W ozdobnej oprawie 1.40
— Wybór poezyi. Wydanie trzecie . . . . . 1.—
W ozdobnej oprawie 1.80